

Angela Merkel
Tak się odchodzi z polityki

Krzysztof Daukszewicz
Przeżyłem, Panie Hrabio

Sławomir Jerzy Tabkowski
Życiorys lewicowego humanisty

Jasmila Žbanić
Srebrenica i lekcje z przeszłości

BANAŚ OBALI RZĄD

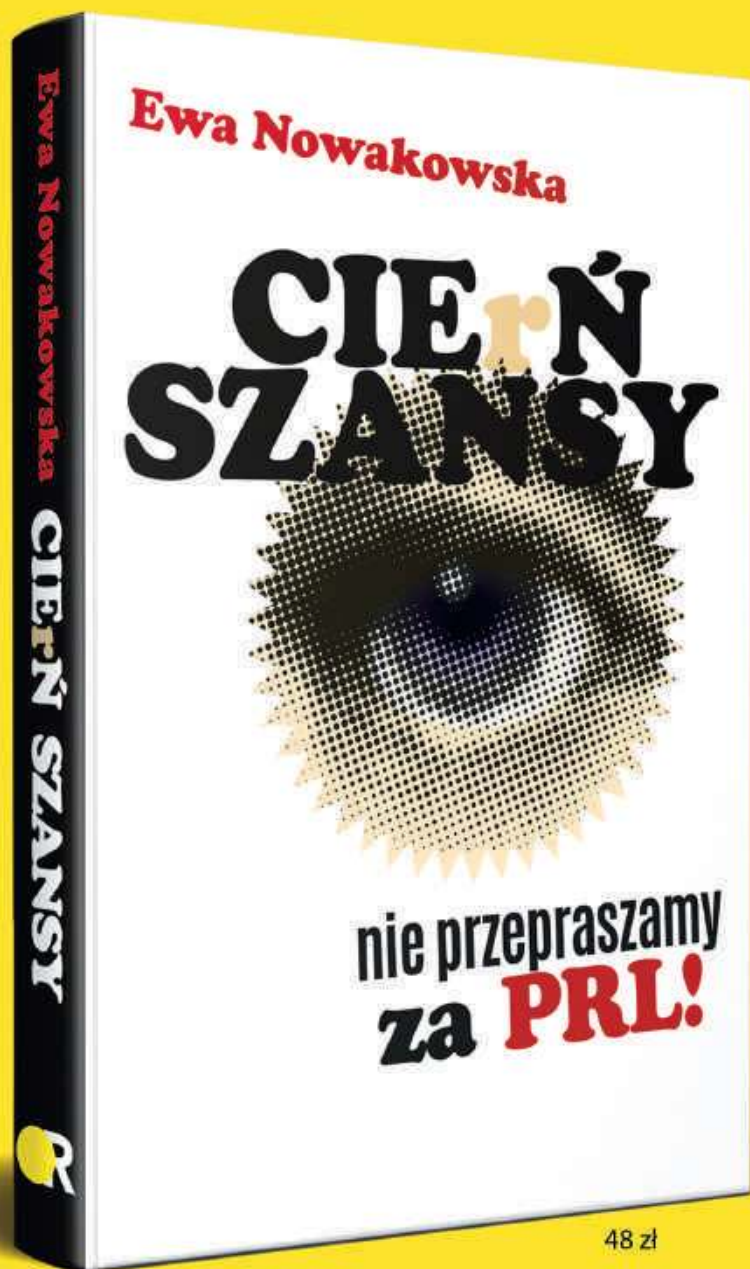
ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



Kup książkę PRZEGLĄDU

**Od PRL
do III RP**

**Oczami znanej
dziennikarki**



48 zł

E-BOOK
19,90 zł



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 48 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Sami swoi na imprezce

Każdego dnia życie dostarcza nowych dowodów, jak wielkim złudzeniem jest wiara, że ludzie wybrani na posłów czy senatorów będą się zachowywać inaczej, niż to robili wcześniej. Albo że domowi przemocowcy i bumelanci nagle staną się aniołami i pracusiami.

Zdarzają się oczywiście wyjątki. Bywa, że człowiek dorasta do ważnych funkcji czy stanowisk. Ale najczęściej jest tak, że po wyborach nie obserwujemy w życiu wybrańców narodu przyływu mądrości, uczciwości i przejścia od prywaty do dbania o interesy państwa. Kto miał pociąg do lewych interesów, ten w parlamencie może tę przypadłość twórczo rozwinąć, i to na dużą skalę. A ten, kto traktuje politykę jako trampolinę do kariery, będzie zmieniał partie z każdą zmianą wiatru. Kto zaś uważa za największą wartość dobro własnej rodziny, ten powsadza nawet najdalszych kuzynów na dobrze płatne posady. I tak dalej, i tak dalej. A efekt jest taki, że przysła nadzieja. Kto jeszcze wierzy, że politycy odmienią nasz kraj? Zostało rozczarowanie. I coraz bardziej krytyczny stosunek do całego świata polityki. W rosnącym pesymizmie umacniają ludzi kolejne informacje o kulisach życia na Wiejskiej, przecieki z ministerstw czy sztabów partyjnych.

W minionym tygodniu mieliśmy głośną imprezę. Taką, która jest jednocześnie zbiorem głupoty, bezczelności i obłudy. Polityka w pigułce. Na urodzinach dziennikarza o prawicowych sympatiach pojawiła się kawalkada polityków wszystkich opcji. Jak wszyscy mają oni prawo chodzić, gdzie chcą – byle nie robili tego w godzinach pracy. Gdy w Sejmie prezes NIK Marian Banaś prezentował doroczne sprawozdanie z prac Izby, mówił do pustej sali. Frekwencja przegrała z urodzinami. Tam był tłum. Czasem błahe wydarzenie towarzyskie lepiej opisuje naszą klasę polityczną niż tysiąc debat i wywiadów dla mediów. Gdy dziennik „Fakt” pokazał zdjęcia z tej imprezki, zobaczyliśmy świat inny od tego, jaki widzimy w czasie obrad Sejmu. Zobaczyliśmy polityków PO w komitywie z pisowcami. W dobrze bawiącym się i dobrze dogadującym towarzystwie byli też reprezentanci lewicy, PSL i Hołowni. Ileż interesików sobie wtedy załatwili?

A jak ta mozaika personalna świadczy o wiarygodności dziennikarza jubilata? I o zaufaniu do tej politycznie wielobarwnej grupki?

Skoro więc oni ciągle kpią sobie z traktowanego instrumentalnie społeczeństwa, to czas pomyśleć o radykalnym przerwaniu tego chocholego tańca. I przyspieszonych wyborach.

BAKOWSKI



JESIENNA PROMOCJA

Załącz konto i kup
za min. 100 zł nasze książki
na www.sklep.tygodnikprzeklad.pl
Otrzymasz W PREZENCIE



**PAKIET E-BOOKÓW
POLSKI LUDOWEJ**

Promocja do końca października

CYTATY TYGODNIA

ANDRZEJ SKWORZ, redaktor naczelny
*Jeszcze w czerwcu Polski Ład miał
wygrać PiS-owi następne wybory,
a nagle jest dla partii obciążeniem.*
„Press”

JOHAN ROCKSTRÖM, szwedzki klimatolog
*W ciągu mojego życia straciliśmy
dwie trzecie dzikich zwierząt.*
„Forum”

W NUMERZE

KRAJ

- 8** Czy Marian Banaś obali rząd Morawieckiego?
Boją się Kaczyński i Ziobro
- 12** Tusk, czyli powrót antypolityki
PO ciągle bez programu
- 16** W cieniu szpitala
Jak się żyje w Grudziądzu
- 20** Ale co ty mu zrobiłaś?
– rozmowa z Iwoną Chodorowską
- 44** Optymistyczny obserwator otoczenia
– rozmowa z Krzysztofem Daukszewiczem
- 48** Praga wczoraj i dziś

ZAGRANICA

- 24** Czy Niemcy są gotowe na kanclerza mężczyznę?
Angela Merkel odchodzi z polityki
- 30** Czeski film?
ANO może wygrać wybory
- 32** Anglosasi kontra Chiny
Pacyficzny wyścig zbrojeń
- 34** Premier wiecznie niepełny
Problemy Justina Trudeau

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 36** Niebezpieczne zmiany w programie
Rodzina 500+
- 38** Rady wojewódzkie OPZZ w walce o godną pracę

HISTORIA

- 39** Podwójna tragedia
Świadectwo ocalałego z powstania

KSIAŻKI

- 40** Polityka i sztandar
Sławomir Jerzy Tabkowski o przełomie lat 80. i 90.

KULTURA

- 50** Gdyby Srebrenica wydarzyła się dzisiaj
– rozmowa z Jasmilą Žbanić
- 53** Kulturalia
- 66** Satyrykon Legnica 2021

OBSERWACJE

- 54** Żyjąc na krawędzi
Wędrowki Jacka Pałkiewicza
- 56** Cuda z Bieszczad
– Adam Lato o czarnym czosnku

SPORT

- 58** Czy spełnią się marzenia o Katarze
Futbolowa kadra walczy o mundial

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Sami swoi na imprezce
- 14** Roman Kurkiewicz
Zbrodnie polskiego przygranicza
- 23** Jan Widacki
Test na wschodniej granicy
- 29** Andrzej Romanowski
Kłopot z Idą Fink
- 37** Tomasz Jastrun
Frunący wieloryb
- 47** Wojciech Kuczok
Czas niemocy

34

ZAGRANICA



PREMIER WIECZNIE NIEPEŁNY

Problemy Justina Trudeau



50

KULTURA

GDYBY SREBRENICA WYDARZYŁA SIĘ DZISIAJ

– rozmowa z Jasmilą Žbanić



56

OBSERWACJE

CUDA Z BIESZCZAD

– Adam Lato o czarnym czosnku

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. AREK MARKOWICZ/FORUM



✉ Syndrom sztokholmski — odmiana edu

Jest ciężko. Co roku powtarza się taka sytuacja — rodzice, którzy przez wiele miesięcy nie mieli czasu na kontakt z nauczycielami w sprawie swoich dzieci, ich sukcesów i trudności, gdy problemy się nasilają, przystępują do ataku. Niestety, atakują nie problemy, ale ludzi. Skargi, donosy, straszenie nauczycieli, próby grożenia. Zamiast pomocy dla swoich dzieci, żądają krwi!



I to nie są ludzie z niskim potencjałem edukacyjnym, społecznym czy materialnym. Był nawet prokurator, powołujący się na znajomość z kuratorem i ministrem sprawiedliwości! Był adwokat, urzędnik, ale i ludzie innych profesji.

Nauczyciele, zamiast koncentrować się na uczeniu, muszą odierać absurdalne ataki, bezpodstawne zarzuty. Tracić czas i nerwy. Kosztem tych uczniów, którzy solidnie pracują, uczą się, bo mają swoje cele i chcą je osiągać.

Takie postawy znalazły wsparcie w zmianie przepisów o tzw. nadzorze pedagogicznym. Teraz w razie skargi nauczyciel i dyrektor będą musieli przedstawić dowody. Tak — dowody, że skarga jest bezzasadna. Dowody niewinności! W efekcie ogrom biurokracji w szkole stanie się jeszcze większy.

A relacje... Jakie relacje mogą być, jeśli każdą rozmowę z rodzicem nauczyciel będzie musiał udokumentować, a notatkę opatrzyć podpisem swoim i rodzica? To nie będą rozmowy pedagogów z rodzicami dla dobra dziecka. Będą tworzone protokoły z rozmów!

Nauczyciele jeszcze są. Choć wielu odchodzi. A nie wiadać, by na ich miejsce ciągnęły zastępy młodych, świetnie

wykształconych absolwentów dobrych uczelni, entuzjastów nauczania...

To nie tylko MEN systemowo rozwala edukację. Rozwalamy ją my sami, pozwalając na takie odnoszenie się niektórych nadopiekuńczych czy też nadpobudliwych rodziców do nauczycieli. A przecież możemy, za każdym razem, gdy szkalowany jest nauczyciel, jasno i zdecydowanie wyrażać swoje zdanie! Wierzę, że zdecydowana większość rodziców ceni nauczycieli swoich dzieci. Czas więc, by przestali milczeć, gdy ktoś niesłusznie obraża czy oskarża nauczyciela. Szanuj nauczyciela swego, bo możesz nie mieć żadnego!

Andrzej

✉ Najlepsze miejsce na pomnik Lema to...

Biblioteka, bo w jego dziełach jest najlepszy i najtrwalszy pomnik!

Michał Wiśniewski

W wyobraźni widzę pomnik tego pisarza i futurysty gdzieś w Bieszczadach, w odludnym miejscu, z którego najlepiej widać gwiazdy, Drogę Mleczną i kosmos. Pomnik Lema byłby serią hologramów 3D wyświetlających się zwiedzającym nocą, przedstawiających sylwetkę pisarza i obrazy o tematyce science fiction, nawiązujące do twórczości Lema.

Nas Madzia

Już ma pomnik — Ogród Doświadczeń jego imienia przy alei Pokoju w Krakowie.

Andrzej Gutorski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Migrantka kąpie się w rzece Rio Grande, Acuña, Meksyk, 19 września 2021 r.



TVN 24 ma przedłużoną koncesję, ale Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji grozi nadawcy jej cofnięciem.

Prof. Wojciech Sadurski został prawomocnie uniewinniony od zarzutu zniesławienia TVP Jacka Kurskiego poprzez nazwanie jej „goebbelsowskimi mediami”.

Vital Heynen, trener polskich siatkarzy, zakończył pracę z kadrą. Odchodzi, mając złoto Mistrzostw Świata, dwa brązowe medale Mistrzostw Europy, srebro Pucharu Świata i Ligi Narodów. Belg cieszy się sympatią kibiców, którzy doceniają 75,5% wygranych za jego kadencji meczów.

Andrzej Latussek, prezes Fundacji Silesia, doprowadził do uroczystego pogrzebu 48 ekshumowanych żołnierzy radzieckich na Cmentarzu Żołnierzy Radzieckich w Kędzierzynie-Koźlu. Żołnierze zginęli w 1945 r. w miejscowościach Długomitowie i Biała Nyska.

Karolina Lewicka, dziennikarka, reporterka m.in. w TVP Info w lepszych dla tej stacji czasach, a dziś w TOK FM i Collegium Civitas, **została wyróżniona za niezależność dziennikarską Nagrodą im. Aleksandra Małachowskiego** przyznawaną przez Kapitułę Unii Pracy.

Sędzia Michał Lewoc z Sądu Rejonowego w Legnicy otrzymał Obywatelską Honorową Odznakę Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia” za walkę w obronie sędziów represjonowanych przez PiS.



44% Polaków nie posiada żadnych oszczędności (badania Assay Index).

500 tys. euro kary dziennie będą płać polscy podatnicy za konflikt rządu z Czechami w sprawie kopalni węgla brunatnego Turów.

Nikt nie chce kupić 418 respiratorów, które Ministerstwo Zdrowia kierowane przez Łukasza Szumowskiego i Janusza Cieszyńskiego nabyło po 47,7 tys. euro za sztukę od handlarza bronią. Respiratory nie mają gwarancji ani zgody na użytkowanie na terenie Unii.

Ks. prezbiter Daniel Galus po powrocie z półrocznych rekolekcji, na które wysłała go kuria częstochowska za wypowiedzi na temat COVID-19, **wrócił do poglądu, że szczepionki to eksperyment na ludziach.** Nic, tylko wezwać eazorcystę.

Ministerstwo Edukacji i Nauki uruchomiło telefon zaufania dla dzieci i młodzieży. Ale taki, który od startu sam ma problemy z zaufaniem. Bo tylko minister Czarnek mógł powierzyć to zadanie swojemu koledze z KUL, ks. Józefowi Partyce.

W ostatnim numerze popełniliśmy fatalny błąd, umieszczając powiaty kolbuszowski i ropczycko-sędziszowski w woj. świętokrzyskim, zamiast na Podkarpaciu. Przepraszamy.

PRZEBŁYSKI

Listy bardzo drogie. I tajne

Co się stało z listami Anny Teresy Tymienieckiej do papieża Jana Pawła II? Amerykańska filozofka polskiego pochodzenia przyjaźniła się z bp. Karolem Wojtyłą przez dziesiątki lat jego kariery. Podobno w listach było dużo emocji i wątków osobistych. Podobno, bo jak informuje tygodnik „Nie”, listy i inne dokumenty z archiwum Tymienieckiej zostały zakupione przez Bibliotekę Narodową. Nie szczędzono pieniędzy. Na zakup poszło 11 mln zł. I co? Czarna dziura. Do listów i do tego, co zostawiła Tymieniecka, nikt nie ma dostępu. Dyrektor Biblioteki Narodowej dr Tomasz Makowski położył na tym szlaban.

Pikanterii dodaje temu bliska relacja Tymienieckiej z amerykańskim arcybiskupem Theodore’em McCarrickiem. Pedofilem, którego protegowała papieżowi.



Sekretne życie na Złotej

Mało jest od niej sławniejszych. Spółka Srebrna, założona przez Jarosława Kaczyńskiego w 1995 r. i zatrudniająca 12 osób, ma się oczywiście dobrze. Starają się o to działacze PiS. W zarządzie spółki są: Małgorzata Kujda (prezes) oraz Janina Goss i Jacek Cieślowski. Na ich płace wydano w 2020 r. 365 tys. zł. Z czego do Cieślowskiego trafiło skromne 18 tys. zł. Resztę, czyli 347 tys. zł podzieliły między siebie panie. 170 tys. zł poszło do Haliny Wojnar-skiej, żony Adama Lipińskiego, do byłej kierowniczkii sekretariatu prezesa Barbary Skrzypek i kuzyna prezesa Grzegorza Tomaszew-skiego. Wszystko dzieje się jawnie.

Lepiej zatem niż na Złotej. Co wyborców lewicowych musi bardzo dziwić, bo o wydatkach Nowej Lewicy nie wiedzą nic. Na Złotej (siedziba Czarzastego) wszystko jest tajne. Place, premie doradców, autorów ekspertyz. Dużo, dużo tajemnic. A przecież wiedza o wydawaniu środków publicznych jest jawna.

Dolce vita Sadurskiej

lekkor spojrzymy na Małgorzatę Sadurską, pojawia się ta sama myśl: człowiek może wyjść z PiS, ale PiS z człowieka nie wyjdzie. Patrzysz i widzisz kogoś od o. Rydzka i nadzorcę Dudy z ramienia partii. PiS wiele od niej wymagało, ale też szczerze zapłaciło. W myśl hasła, że kasa państwa i kasa partii to ta sama kasa. Sadurska dostała złoty fotel członka zarządów PZU i PZU Życie. Zarobki ma z sześcioma zerami.

W rozmowie z „Rzeczpospolitą” Sadurska szpanuje takimi terminami jak *bancassurance*, *assurban-king* czy *stand-alone*. Jak na cztery lata pracy za bankę rocznie, to mizerny urobek. Równie skromny jest jej dorobek myślowy. Powie-
dzień: „Działamy jak jedna drużyna, w której wszyscy zawodnicy wygrywają”, to zakpić sobie z tysięcy pracowników ubezpieczycie-
la i z ich zarobków. Sadurska boleje też nad wzrostem szkodowości
w ubezpieczeniach na życie. No cóż, za rządów PiS więcej Polaków
umiera i trzeba płacić świadczenia.





PYTANIE TYGODNIA

Kto z Polaków po Oldze Tokarczuk ma szansę na literackiego Nobla?

PROF. ANNA NASIŁOWSKA,

autorka m.in. „Historii literatury polskiej”
i tomu wierszy „Sztuczne światła”

Zawsze po Literackiej Nagrodzie Nobla dla twórcy z pewnego kraju kolejna szansa pojawia się mniej więcej za 10 lat. To pytanie należy więc zacząć zadawać około roku 2030. W przeszłości nie zostali nagrodzeni Gombrowicz, Lem, Mrozek czy wreszcie Zagajewski. Polska literatura zawsze miała dobrą poezję. Może więc wtedy przyjdzie pora na poetów.

RAFAŁ SKĄPSKI,

Polskie Towarzystwo
Wydawców Książek

Zasługuje na niego trzech wybitnych prozaików: Józef Hen, Wiesław Myśliwski i Eustachy Ryłski. Tuż za nimi usytuowałbym, znacznie od nich młodszego, Andrzeja Stasiuka. By otrzymać Nobla, nie wystarczy jednak być uznanym i poczytnym w ojczyźnie, trzeba także mieć tłumaczenia na wiele języków, być znanym za granicą. Najbardziej rozpoznawalnym w świecie polskim pisarzem spośród wymienionych jest niewątpliwie Wiesław Myśliwski.

ADAM WIEDEMANN,

poeta, prozaik, tłumacz i krytyk literacki

Po Oldze będzie ciężko... W trybie natychmiastowym przyznałbym tę nagrodę Urszuli Koziół i Wiesławowi Myśliwskiemu, ale to oczywiście pobożne życzenia. Widzę też ileś osób ciężko „pracujących na Nobla”, ale nie będę tu ich wymieniał, bo i tak go dostaną i będzie to wtedy dla wszystkich wielkim zaskoczeniem. A tak poważnie mówiąc, myślę, że największe szanse na międzynarodowy rozgłos, oczywiście za jakieś 20 lat, ma Michał Sobol (tyle że trzeba by go z większą parą zacząć tłumaczyć na języki obce).

MARTA ZDANOWSKA,

redaktorka, recenzentka,
Dom Literatury w Łodzi

Uważam, że w tym momencie nie ma polskiego pisarza ani pisarki, którzy mogliby otrzymać tę nagrodę. Na jej przyznanie wpływa wiele czynników poza talentem: przekłady na język angielski i szwedzki, literacka obecność w świecie, oryginalność tematyki, wyobraźni i narracji. Olga Tokarczuk łączyła popularność wśród polskich czytelników z międzynarodową roz-

poznawalnością po tłumaczeniach. To nie jest częsty przypadek, podobnie jak konteksty, które poruszała, takie jak ekologia, wątki kobiece czy dystopie. Na przyznanie Nagrody Nobla wpływa też polityczność, rozumiana jako odniesienie literatury do globalnych punktów zapalnych i podsumowań historycznych; nieprzypadkowo otrzymali ją Swietłana Aleksijewicz czy Mo Yan. Myślę, że obecnie oczy świata patrzą w inną stronę niż Polska: na kontynent afrykański, Bliski Wschód, Afganistan. Literatury mniej znane, opisujące odmienność kręgu kulturalnego i porażające doświadczenia zniewolenia, przemocy, niesprawiedliwości. Już najwyższy czas, aby nagradzać pisarzy i pisarki z tych regionów.

NATALIA KRÓLIKOWSKA,

redaktorka, autorka bloga o książkach
Propsiaki

Jacek Dukaj, który w swoich literackich realizacjach alternatywnych rzeczywistości ocala najdoskonalsze dokonania epiki światowej. Jego twórczość to futurystyczna wariacja na temat arki Noego, której misją jest zachowanie form i gatunków wartych przetrwania nadchodzącej katastrofy.

Not. Michał Sobczyk

Czy Marian Banaś obali rząd Morawieckiego?

Żaden polski polityk nie budzi takiego lęku w Jarosławie Kaczyńskim, Mateuszu Morawieckim i Zbigniewie Ziobrze

Marek Czarkowski

Przez lata był jednym z nich. Ma głęboką wiedzę o kulisach działania Prawa i Sprawiedliwości. Wie, kto z kim trzyma i przeciw komu. Wielu wpływowych polityków PiS jest przekonanych, że jako były szef Krajowej Administracji Skarbowej orientuje się, którzy prominentni działacze partii rządzącej kręcili lody albo pomagali je kręcić. Ma silną motywację, odpowiednie środki i ludzi. Stoi na czele instytucji, której zadaniem jest kontrola władzy. Marian Banaś, prezes Najwyższej Izby Kontroli, postawił sobie za cel konsekwentne pokazywanie Polakom zorganizowanego złodziejstwa, zalegalizowanej korupcji i kolesiostwa, które rozkwitły pod rządami jego dawnych kolegów. Żaden polski polityk, nawet Donald Tusk, nie budzi takiego lęku w Jarosławie Kaczyńskim, Mateuszu Morawieckim i Zbigniewie Ziobrze.

Bat na Morawieckiego to wyniki kontroli tzw. wyborów kopertowych. Inspektorzy NIK precyzyjnie opisali, na czym polegało łamanie prawa przez najwyższych przedstawicieli władzy. W ślad za tym do prokuratury poszły zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez premiera Mateusza Morawieckiego, szefa KPRM Michała Dworczyka, ministra aktywów państwowych Jacka Sasina, ministra spraw wewnętrznych i administracji Mariusza Kamińskiego oraz władze Poczty Polskiej i Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. I choć prokuratura odmówiła wszczęcia postępowania, dla wszystkich było jasne, że gdy PiS straci władzę, doniesienia te zostaną podjęte i wnikliwie zbadane.

Premier Morawiecki wie, że na względy Najwyższej Izby Kontroli

liczyć nie może. Jego problemy są jednak niczym wobec tego, co już spotkało i jeszcze czeka Zbigniewa Ziobrę. Ministerstwo Sprawiedliwości od stycznia 2020 r. do dziś było kontrolowane co najmniej osiem razy. A informacje płynące z NIK nie są laurkami.

Najświeższe, z 23 września, mówią o wynikach kontroli korzystania z wyłączeń stosowania prawa zamówień publicznych przez jednostki podległe ministrowi sprawiedliwości i przez niego nadzorowane. Inspektorzy NIK ustalili, że przywieźzione zakłady pracy stały się pośrednikami między zleceniodawcami a zewnętrznymi podwykonawcami, w większości niezatrudniającymi więźniów. Stąd już krok do podejrzeń, że podlegający ministrowi Ziobrze klawisze mogli na tym procederze robić nieźle interesy. Jak w filmie „Skazani na Shawshank”.

NIK prowadzi też kontrolę w Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej – Funduszu Sprawiedliwości podlegającym ministrowi sprawiedliwości. Jakub Banaś, syn i spótny doradca prezesa NIK, określił tę instytucję jednoznacznie: „Fundusz Sprawiedliwości to skarbonka dla Solidarnej Polski”.

Dziennikarze ruszyli tym tropem i szybko ustalili, że np. Fundacja Ex Bono z Opola, za którą stoi Małgorzata Wilkos – radna Solidarnej Polski i wieloletnia szefowa biura poselskiego Patryka Jakiego – otrzymała łącznie 9 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości. Sprawa miała być badana przez inspektorów NIK. Dopiero po tym resort rozwiązał umowę z fundacją. Gdy informacja o wynikach kontroli NIK w Funduszu Sprawiedliwości będzie gotowa, opinia publiczna ze szczegółami dowie się, jak politycy Solidarnej Polski wykorzystywali publiczne pieniądze.

Na razie jesteśmy zdani na informacje pochodzące z mediów. Jednym z beneficjentów Funduszu Sprawiedliwości miało być Stowarzyszenie Przyjaciół Zdrowia związane z politykiem Solidarnej Polski Dariuszem Mateckim. Pieniądze z dotacji zostały przeznaczone na utrzymanie portali internetowych Radomskie.info, Szczecinskie24.pl oraz Lubelskie.info.

Tradycyjnie na wsparcie funduszu mogły liczyć kościelny Caritas i fundacja Lux Veritatis o. Tadeusza Rydzyka. W roku ubiegłym zasilili on także założoną przez byłego egzorcystę, ks. Michała Olszewskiego, Fundację Profeto. Kapłan ten opisał w swojej książce, jak w trakcie obrzędu użył salcesonu, by wypędzić demona z wegetarianki.

W związku ze skalą stwierdzonych nieprawidłowości prezes NIK zwrócił się do premiera o podjęcie pilnych działań naprawczych dotyczących Funduszu Sprawiedliwości. Prezes Banaś przekazał też informacje na ten temat szefowi CBA, żądając podjęcia działań zmierzających do wyjaśnienia okoliczności wykrytych przez jego podwładnych nieprawidłowości. W tym o charakterze korupcyjnym.

Wojny Banasia

Nic dziwnego, że Marian Banaś stał się największym wrogiem rządzących. Już pod koniec maja, po ujawnieniu wyników kontroli w sprawie tzw. wyborów kopertowych, w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Sieci” Jarosław Kaczyński zaatakował prezesa Banasia. Przypomniał, że toczy się wobec niego śledztwo dotyczące nieprawidłowości w jego oświadczeniu majątkowym i zeznaniach podatkowych. „Wielkim



Gdyby mnie zaprosił na urodziny, mógłbym przedstawić sprawozdanie z działalności NIK większej liczbie posłów, niż była w Sejmie”.

Wcześniej, 22 lipca, wywołał wściekłość liderów PiS i entuzjazm posłów opozycji, przedstawiając w Sejmie analizę wykonania budżetu państwa i założeń polityki pieniężnej w roku 2020. Precyzyjnie opisał w niej stosowane przez rząd premiera Morawieckiego „mechanizmy obniżające przejrzystość realizacji budżetu”, czyli księgowe sztuczki mające ukryć faktyczne rozmiary długu publicznego.

Mówił m.in., że „finansowanie tarcz finansowych i antykrzysowych w formie, która nie jest wykazywana w długu obliczanym według metodologii krajowej, a jedynie według metodologii unijnej, skutkowało powstaniem na koniec roku 2020 najwyższej dotychczas różnicy między długiem sektora instytucji rządowych i samorządowych a państwowym długiem publicznym”. To kwota 224 mld zł, czyli 10% produktu krajowego brutto albo 20,2% państwowego długu publicznego! 22 września br. potwierdził to były wicepremier Jarosław Gowin. W wywiadzie udzielonym Radiu Zet

NIK precyzyjnie opisała stosowane przez rząd Morawieckiego księgowe sztuczki mające ukryć faktyczne rozmiary długu publicznego.

błędem naszego systemu prawnego jest, że człowiek, wobec którego toczą się poważne śledztwa, może być prezesem Najwyższej Izby Kontroli”, oświadczył Kaczyński.

Przyczyną kłopotów Mariana Banasia był reportaż Bertolda Kittela wyemitowany we wrześniu 2019 r. w TVN 24, w którym mowa była o tym, że prezes NIK wynajmuje należącą do niego krakowską kamienicę podejrzanym biznesmenom.

W reakcji na supozycje Kaczyńskiego prezes NIK złożył do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przez niego przestępstwa. Chodzi o publiczne znieważenie i poniżenie konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej, za co grozi kara grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do dwóch lat.

Prezesem NIK oraz jego rodziną z całą bezwzględnością zajęli się również podlegli Zbigniewowi Ziobrze

prokuratorzy. Lecz Marian Banaś pozostał niewzruszony. A kolejne informacje o wynikach kontroli prowadzonych przez NIK ujawniają skalę patologii kwitującej pod rządami Prawa i Sprawiedliwości. Politycy PiS boją się, że swoimi działaniami Banaś przyczyni się do upadku ich rządów.

Ostatnio na Wiejskiej przyjął się brzydki obyczaj, że gdy Marian Banaś wchodzi na trybunę sejmową, posłowie PiS ostentacyjnie opuszczają salę. Tak było 15 września, gdy omawiał nieprawidłowości związane z organizacją wyborów prezydenckich w 2020 r., i dwa dni później, gdy prezentował sprawozdanie z ubiegłorocznej działalności Najwyższej Izby Kontroli. Notabene na sali nie było wtedy także części posłów opozycji, którzy wybrali imprezę urodzinową dziennikarza Roberta Mazurka, co Banaś skwitował na Twitterze: „Mam trochę żal do redaktora Mazurka.

zarzucił Morawieckiemu, że wyprowadził i ukrył dług rządu 300 mld zł w Polskim Funduszu Rozwoju i Banku Gospodarstwa Krajowego.

Banaś mówił też o niecelowym i niegospodarnym wydatkowaniu środków publicznych, uchybieniach w udzielaniu i wykorzystywaniu dotacji oraz błędach w ewidencji księgowej i sprawozdaniach budżetowych. Lecz dla polityków Zjednoczonej Prawicy nie to było najgorsze.

Prezes NIK na posiedzeniach sejmowej Komisji ds. Kontroli Państwa lub w trakcie obrad plenarnych zachowuje kamienną twarz, nie pozwalając sobie na najdrobniejsze aluzje i komentarze. Jakby chciał dać do zrozumienia, że Najwyższa Izba Kontroli pod jego kierownictwem to instytucja, która w końcu robi to, do czego została powołana – patrzy władzy na ręce. Profesjonalnie, rzetelnie, niezależnie i obiektywnie.

► Wobec takiej postawy bonzowie z Nowogrodzkiej na razie są bezsilni. Mogą się przyglądać, jak z każdym kolejnym raportem omawiającym wyniki kontroli – czyli opisującym popełnione przez nich „delikty i nieprawidłowości” – rośnie autorytet Izby i jej prezesa. I zastanawiać się, czym to się skończy.

Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem

Jeszcze rok temu część mediów i opozycji miała z Marianem Banaś problem. Ciągnęły się za nim niewyjaśnione zarzuty. Dziś nawet niechętni mu politycy przyznają, że

Jego wizja NIK sprowadza się do prostych zasad – liczą się fakty mające oparcie w dokumentach, a podlegli mu pracownicy mają działać legalnie i z najwyższą starannością. Mają sprawdzać, czy poczynania kontrolowanych instytucji i organów były i są zgodne z prawem i czy pieniądze wydawane są właściwie. Tylko to, a nie polityczne sympatie lub antypatie może być podstawą formułowanych ocen i wniosków.

Na razie ten model działania sprawdza się bardzo dobrze. Liderzy opozycji żywią nadzieję, że NIK pod jego kierownictwem stanie się „biczem bożym” na pisowców, lecz sam Banaś tego tak nie postrzega. Chce

działalności Beaty Kempy jako ministra do spraw pomocy humanitarnej w latach 2017-2019. W efekcie Marian Banaś odsunął Dziubę od nadzoru nad kontrolami i złożył doniesienie do prokuratury, która oczywiście odmówiła wszczęcia postępowania. Prezes NIK wysłał też wniosek do marszałek Sejmu Elżbiety Witek o odwołanie Tadeusza Dziuby z funkcji. Także bez efektów.

Marek Opióła na początku 2021 r. odszedł z Izby, gdyż został członkiem Europejskiego Trybunału Obrachunkowego w Luksemburgu i sprawy krajowe przestały go obchodzić. Głównym przeciwnikiem Banasia wewnątrz NIK pozostał Dziuba.

Banaś nie chce być kojarzony z politykami opozycji. Wie, że najlepszą obroną przed atakami dawnych politycznych przyjaciół są niezależność, profesjonalizm, konstytucja i prawo

okazał się sprawnym urzędnikiem, któremu nie sposób cokolwiek zarzucić. W trakcie posiedzeń sejmowej Komisji ds. Kontroli Państwowej, gdy prezes NIK był obecny na sali, posłowie opozycji zaczynali swoje wystąpienia od wylewnych podziękowań kierowanych w jego stronę.

Działo się tak np. 8 czerwca br., gdy komisja omawiała wyniki kontroli NIK prowadzonej w związku z planowanymi na 10 maja 2020 r. wyborami prezydenckimi, czyli tzw. wyborami kopertowymi. Posłowie Wojciech Saługa, Michał Szczerba i Marek Rzęsa z Platformy Obywatelskiej dziękowali prezesowi oraz inspektorom NIK za dobrze wykonaną pracę. Ich uczucia najlepiej wyraził poseł Tomasz Kostus (PO), mówiąc: „Chciałbym raz jeszcze bardzo serdecznie podziękować panu prezesowi i jego współpracownikom za cywilną i polityczną odwagę”.

Ostatnio Donald Tusk określił Mariana Banasia mianem politycznego świadka koronnego, co odczytano jako sygnał, że w przyszłości włos mu z głowy nie spadnie. Od osób, które dobrze znają prezesa NIK, dowiedziałem się, że ta deklaracja wcale go nie ucieszyła. Banaś nie chce być kojarzony z politykami opozycji. Dobrze wie, że najlepszą obroną przed atakami dawnych politycznych przyjaciół są niezależność i profesjonalizm. Oraz konstytucja i prawo gwarantujące mu ochronę przed zakusami władzy.

pozostać niezależny i jest zimny jak głaz. Rozumie, że polityczni wrogowie PiS nie muszą być przyjaciółmi Mariana Banasia.

Ataki od środka i z zewnątrz

Ponieważ dotychczasowe próby wyeliminowania Mariana Banasia zawiodły, kompetentne organy zajęły się jego synem Jakubem i jego żoną. A politycy PiS zadbał o intrygi wewnątrz NIK. W kierownictwie Izby w 2019 r. znaleźli się dwaj byli posłowie PiS, Tadeusz Dziuba i Marek Opióła, oraz Małgorzata Motylow, o której wiadomo, że dobrze zna córkę prezydenta Lecha Kaczyńskiego Martę. Pieczę nad poczynaniami prezesa NIK mieli sprawować Dziuba i Opióła.

W lipcu 2020 r. dr Bogdan Skwarka, dyrektor Departamentu Administracji Publicznej NIK, wysłał do wiceprezesa Dziuby ostry list, zarzucając mu próby manipulowania wynikami kontroli dotyczącej

Terenem starć prezesa Banasia i jego adwersarzy stało się Kolegium Najwyższej Izby Kontroli. Sytuacja jest trudna. W przyszłym roku kończy się kadencja kilku członków tego gremium. Dziś liczy ono 10 osób, choć powinno być 18. Jeśli w kolegium nie będzie kworum, NIK nie będzie mogła przyjąć przedstawionego przez prezesa rocznego planu pracy Izby ani zaopiniować i przyjąć wniosków z najważniejszych kontroli. Nastąpi paraliż prac. Wszystkie dotychczasowe kandydatury przedstawione w tym roku przez Mariana Banasia marszałek Sejmu Elżbieta Witek zostały przez nią odrzucone. Już w sierpniu br. wiceprezes Dziuba próbował zerwać kworum, lecz mu się nie udało. To przedsmak tego, co czeka Izbę.

Ostrzej też za prezesa Banasia i jego bliskich wzięła się Prokuratura Regionalna w Białymstoku. 5 lipca br. skierowała do Sejmu wniosek o wyrażenie zgody na pociągnięcie go do odpowiedzialności karnej.

Dwie kontrole tygodniowo

W 2020 r. Najwyższa Izba Kontroli zrealizowała 91 kontroli planowych, w tym kontrolę wykonania budżetu państwa i założeń polityki pieniężnej. Zrealizowano także 63 kontrole doraźne. Łącznie w roku ubiegłym Izba przeprowadziła 2007 kontroli jednostkowych w 1629 podmiotach. Do organów ścigania skierowano 55 zawiadomień o możliwości popełnienia przestępstwa lub wykroczenia. W stosunku do 73 osób skierowano zawiadomienia do rzeczników dyscypliny finansów publicznych. Inspektorzy NIK ustalili, że kwoty wydatkowane z naruszeniem prawa wyniosły ponad 345 mln zł.

10 sierpnia br. zebrała się Komisja Regulaminowa, Spraw Poselskich i Immunitetowych, by rozstrzygnąć tę kwestię. Posłowie opozycji zarzucili prokuraturze błędy formalne we wniosku. Dariusz Joński (PO) domagał się wykluczenia z obrad posła PiS Krzysztofa Tchórzewskiego, byłego ministra energii, który wspierał projekt budowy elektrowni w Ostrołęce. Dowodził, że jego udział w sprawie jest badany przez NIK, więc uczestnictwo Tchórzewskiego w posiedzeniu komisji oznacza konflikt interesów. Inni posłowie Koalicji Obywatelskiej domagali się wycofania wniosku prokuratury z porządku obrad do czasu wyjaśnienia konfliktów interesów wynikających z krytycznych raportów NIK na temat działalności Funduszu Sprawiedliwości oraz funkcjonowania więziennictwa, za które odpowiedzialny był minister Zbigniew Ziobro. Ostatecznie posłowie opozycji obronili prezesa Banasia. Komisja nie głosowała nad wnioskiem prokuratury. Dojdzie do tego, gdy jej członkowie bardziej szczegółowo zapoznają się z dokumentami. Czyli nieprędko.

Kłopoty nie ominęły Jakuba Banasia, który w lipcu br. został zatrzymany przez funkcjonariuszy CBA na lotnisku Balice w Krakowie, gdy wracał z żoną z urlopu. Przewieziono ich do Prokuratury Regionalnej w Białymstoku, gdzie usłyszeli po siedem zarzutów, m.in. wyłudzenia 120 tys. zł z Narodowego Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa i 80 tys. zł podatku VAT. Zastosowano wobec nich poręczenie majątkowe oraz dozór policyjny. Władza pokazała szefowi NIK, że nie żartuje.

Czy akcja wywoła reakcję?

Wydaje się, że Marian Banaś i podlegli mu inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli nie muszą robić nic szczególnego, by pograć Prawo i Sprawiedliwość. Ta formacja pograża się dziś sama. Mogą jednak ten proces przyspieszyć. Wystarczy, by sumiennie wypełniali obowiązki. Prezes



Banaś już dawno wystąpił podwładnym sygnał, by nie zwracali uwagi na naciski zewnętrzne i wewnętrzne i prezentowali w informacjach o wynikach kontroli opis zdarzeń zgodny z rzeczywistością. To bardzo istotna zmiana, gdyż – jakkolwiek patrzeć – od prezesa Janusza Wojciechowa

W przyszłym roku kończy się kadencja kilku członków Kolegium NIK. Jeśli nie będzie kworum, nastąpi paraliż prac Izby.

skiego (lata 1995-2001) poprzez Mirosława Sekułę (lata 2001-2007), Jacka Jezierskiego (lata 2007-2013) i Krzysztofa Kwiatkowskiego (lata 2013-2019) kolejni prezesi NIK byli raczej ustępliwi wobec aktualnie rządzących. Co miało wpływ na wyniki prac Izby. Nie da się tego powiedzieć o Marianie Banasiu.

Choć czas nie działa na jego korzyść i PiS zapewne doprowadzi w końcu do paraliżu prac Najwyższej Izby Kontroli, to rząd także ma niewiele czasu. Trudno wskazać dziedzinę, w której inspektorzy NIK nie mogliby znaleźć nieprawidłowości. Kiepska jest sytuacja w sektorze zbrojeniowym. Karuzela stanowisk

Premier Morawiecki wie, że na względy ze strony Najwyższej Izby Kontroli liczyć nie może.

w Polskiej Grupie Zbrojeniowej pogłębiła kłopoty, których i tak nie brakowało. Ostatnio Prokuratura Regionalna w Krakowie wystąpiła do zakładów Mesko SA w Skarżysku-Kamiennej funkcjonariuszy CBA, by zajęli się doniesieniem byłego zarządu tej firmy o nieprawidłowościach związanych z inwestycjami w latach 2015-2021. A są jeszcze sprawy produkowanego w radomskim Łuczniku karabinka Grot i PGZ Stoczni Wojennej.

Dodajmy do tego kłopoty z Kopalnią Węgla Brunatnego Turów oraz budową elektrowni w Ostrołęce. Tam już są, albo za chwilę się pojawiają, inspektorzy NIK. Wkrótce przyjdzie czas na zbadanie, co się stało z pieniędzmi wydanymi na walkę z pandemią, w tym z programem szycia maseczek chirurgicznych w kraju czy „polską szczepionką przeciw COVID-19” oraz lekiem przeciw COVID-19. Najwyższa Izba Kontroli z pewnością będzie też chciała zbadać, jak wygląda budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego czy nowych tras kolejowych. I co z kontrolą wydatków setek miliardów złotych,

które Polska ma otrzymać z Brukseli na odbudowę gospodarki po pandemii? Lecz akcja wywoła reakcję rządzących.

Czy liderzy PiS pozwolą Marianowi Banasiowi tak się rozbuszować? Moim zdaniem nie. Prezes NIK jeszcze wielokrotnie przyprowadzi rządzących o ból głowy. Może nawet stworzy standard funkcjonowania tej instytucji, który przetrwa jego kadencję. Ale w przyszłym roku rządzący, w najlepszym wypadku, doprowadzą do paraliżu prac Izby. I skończy się rumakowanie.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Tusk, czyli powrót antypolityki

Donald Tusk nie zerwał z programową nieokreślonością i antypolityką PO. Przeciwnie: wyniósł je na sztandar

Jakub Dymek

Co sezon w Polsce pojawia się partia, która obiecuje partią nie być. Polska 2050, Wiosna, Kukiz '15, Ruch Palikota – wszystkie obiecywały zabrać politykę politykom, a oddać ją ludziom. Stare słowo partia zastępował „ruch”, działacze – „obywatele”, a nowe ugrupowanie miało w ogóle zajmować się nie uprawianiem polityki, tylko wcielaniem w życie pomysłów Polaków, uwalnianiem ich energii i rozbijaniem starego systemu. Taką alternatywą 20 lat temu, u progu nowego wieku i nowej epoki w polskiej polityce, miała być również Platforma Obywatelska.

Brzmi to z dzisiejszej perspektywy nieco dziwnie, bo przecież później to właśnie PO stała się wręcz synonimem bezideowej, skostniałej, technokratycznej partii zawodowych polityków. Ale u swoich początków PO nie była wcale odległa od tego, co później będą proponować kolejne obywatelskie antypartie. Likwidacja Senatu, jednomandatowe okręgi wyborcze, tanie państwo i niskie podatki, prywatyzacja kolejnych instytucji, przekazanie władzy w ręce samorządów i społeczeństwa obywatelskiego – cały ten pakiet decentralizacyjnych poglądów, który doskonale znamy i dziś. Nawet nazwa partii Tuska, Płażyńskiego i Olechowskiego miała jasno dać do zrozumienia, że jest to ugrupowanie nie polityków, lecz obywateli. Dalekie od przyznawania się do jakiegokolwiek ideologii, próbujące trafić do wszystkich naraz, obłe i przezroczyste, częściej prezentujące program negatywny – czego ma nie być i czego nie chcemy – niż zobowiązujące się do realizacji jakichś postulatów.

PO, nawet gdy już doszła do władzy, odruchowo wracała do podobnej retoryki. Trzy slogany z czasów rządów Tuska – „ciepła woda w kranie”, „nie róbmy polityki, budujmy



Trzeba było sporej dawki bezczelności, by konwencję partyjną zorganizować w Płońsku, miasteczku, gdzie w ostatnim 30-leciu więcej raczej zlikwidowano, niż zbudowano.

Polskę” i „kto ma wizję, niech idzie do lekarza” – sklepiły się z Platformą na dobre, tylko utrwalając wizerunek partii uczulonej na konkret. Gdy po 2015 r. PO znalazła się w opozycji, skakała na przemian w lewo i do środka, niezdolna do określenia swojej tożsamości. Publicyści wyśmiewali partię za to, że jedyny jej program to bycie najtwardszym antypisem. „I niech będzie tak, jak było!”. Politycy zaś próbowali w wywiadach wykręcać się lub odpierać

ten zarzut, by ostatecznie i tak przyznać, że to trafna diagnoza. A chęć odsunięcia PiS od władzy to całość ich programu. Co będzie i jak będzie po upragnionym objęciu rządów, to wyjdzie w praniu – bez żenady przyznawali momentami platformersi, wymęczeni kolejnymi pytaniami o to samo. Powrót Donalda Tuska miał to wszystko zmienić. I tak się stało. Powrót Tuska przyniósł wielką zmianę, lecz nie taką, jakiej oczekiwano. Tusk nie zerwał z programową

nieokreślonością i antypolityką PO. Przeciwnie, wyniósł je na sztandar.

Bruksela zapłaci

Trzeba było sporej dawki zawadiactwa (lub wprost bezczelności), by pierwszą konwencję partyjną po powrocie Tuska zorganizować w Płońsku, mającym nieco ponad 20 tys. mieszkańców miasteczku na Mazowszu, znanym z tego, że tu urodził się pierwszy premier Izraela, Dawid Ben Gurion. W Płońsku

jest całkowicie zbędne. Przewodniczący PO przypominał słuchaczom, że nikt nie wczytuje się w te segregatory i teczki z pomysłami, podśmiewając się tu nieco z ciągle domagających się programu dziennikarzy i komentatorów. Tusk powiedział też, że nie ma jednej recepty na rozwój lokalny – przypadek każdego miasta czy społeczności jest odrębny. Głównym wrogiem tego rozwoju czy przeszkodą w nim są zaś nie brak infrastruktury, dramatycznie szybko starzejące się społeczeństwo

opieki zdrowotnej w Finlandii. I jeden postulat – stworzenia dostępu do usług publicznych w małych miastach na poziomie podobnym „lub chociaż porównywalnym” do stolicy i największych ośrodków. To zdumiewające, jak lekko można rzucić hasło największego w historii podniesienia poziomu życia na prowincji – dorównania pod względem szkolnictwa, transportu czy ochrony zdrowia Warszawie – a jednocześnie przekonywać, że samorządy zrobią to same. Państwo ograniczy się do roli nocnego stróża pilnującego budżetu i zewnętrznych granic, a pieniądze do Płońska, Prudnika czy Pisu popłyną z Brukseli. Bo tą klamrą zaczyna się i kończy przemówienie przewodniczącego PO. Małe miasta mogą się rozwijać dzięki UE, musimy zostać w UE, a z UE chce nas wyprowadzić PiS – to klamra spinająca tę opowieść. Nikt nie zapytał, niestety, dlaczego prowincja w Polsce, na Słowacji czy na Węgrzech nie rozwija się po prostu sama z siebie i nie goni dużych miast, jeśli unijne pieniądze to jedyne, czego trzeba.

Jednak słowa, które padły w Płońsku, zdziwiły tylko naiwnych lub optymistów. Wszystkie kolejne wystąpienia obu liderów PO – Tuska i Trzaskowskiego – mają od wiosny wspólny mianownik. „To wy, ludzie, macie wymyślić, jak ma wyglądać

Gdy po 2015 r. PO znalazła się w opozycji, skakała na przemian w lewo i do środka, niezdolna do określenia swojej tożsamości.

w ostatnim 30-leciu więcej raczej zlikwidowano, niż zbudowano – w tym gospodarczą lokomotywę miasta i regionu, wielką przetwórną Horkteksu, zatrudniającą niegdyś nawet 1,5 tys. osób. A skoro przy lokomotywach jesteśmy: kolej i transport publiczny funkcjonuje raczej symbolicznie, na lokalnym dworcu zatrzymuje się kilka pociągów dziennie. Choć do Warszawy jest godzina drogi, a Płońsk znajduje się w zasięgu Kolei Mazowieckich, nie ma do stolicy żadnych bezpośrednich połączeń. W wielu aspektach Płońsk przypomina dziesiątki innych miast podobnej wielkości, których mieszkańcy w ostatnich latach skłonni byli poprzeć raczej PiS i Andrzeja Dudę.

A jednak to tam przewodniczący Platformy postanowił zaprosić członków swojej partii, by – jak mówił – zobaczyli, jak wygląda Polska poza wielkimi miastami. I właśnie tam postanowił przekonać wszystkich słuchaczy, że teraz największa partia polskiej opozycji będzie również głosem prowincji. Zostawmy na chwilę pytanie, na ile to możliwe – bo akurat rządy Platformy są utożsamiane z czasem największego dopieszczenia metropolii. Ciekawsze jest to, jak owo skupienie się na mniejszych miastach miało się dokonać. Bo do tego przecież potrzebny jest jakiś program, prawda? Błąd.

Donald Tusk, nawet obiecując rozwój mniejszym ośrodkom i do wartościowanie tych kilkuset mniejszych polskich miast, jest w stanie powiedzieć, że posiadanie jakiegoś programu i wizji podobnych zmian

czy drenaż mózgow, ale państwo. To władze blokują rozwój samorządów, miesza się w życie ludzi, tłamszą przedsiębiorczość w takim Płońsku. Wniosek? Państwo musi przestać się mieszać, rozwój należy oddać samorządom, a podejmowanie decyzji społeczeństwu. Stowem, nie róbmy polityki, budujmy mosty! 2020, 2010, 2000 – nie zmienia się nic.

Polityka bez polityki

W płońskim przemówieniu Tuska pojawił się jeden przykład, do którego należy się odwołać – organizacja



Książka PRZEGLĄDU

**Drucki-Lubecki
zamiast Wallenroda**
Nowa biografia
reformatora polskiej
gospodarki

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 41 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony
jest koszt wysyłki nieregistrowanej
Poczta Polska. Istnieje możliwość
wysyłki poleconej priorytetowej
+10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł,
paczkomat InPost +11,90 zł lub
dostawa kurierem
InPost +14,90 zł.

► polityka, my tu jesteśmy tylko od wygrania wyborów z PiS”, zdaje się mówić jeden i drugi. Tak było na słynnym już Campusie Polska Trzaskowskiego, gdy kolejni zaproszeni goście wzywali „młodych ludzi”, by – cytując Henrykę Bochniarz – „wzięli się do roboty”. Na tym pomysłem oparta była też „debata” Tusk-Trzaskowski – obaj przekonawali, że oni tak naprawdę są od wsłuchiwania się i służenia radą, ale to młodzież ma

Światopogląd PO pozostaje względnie stały. To liberalizm wychowany na doktrynach i doświadczeniach lat 80. i wczesnych 90.

określać cele. Głośnym echem odbiła się odpowiedź zirytowanego Tuska na pytanie o język śląski, o którym powiedział tyle, że Ślązacy sami powinni sobie go załatwić. Analogicznie obywatele sami mają sobie załatwić świeckie państwo, nowoczesną szkołę i funkcjonujący szpital. Gospodarz Campusu, Rafał Trzaskowski, przywołał później podobne tezy podczas Igrzysk Wolności w Łodzi, gdy ze swadą i firmowym uśmiechem powtarzał zgromadzonym: „To wy, wy, wy musicie się zaangażować!”.

Oto definicja antypolityki w najpełniejszej formie. Politycy przekonujący na politycznych kongresach dla rozpolitykowanej publiczności, że nie wiedzą, po co im władza, więc niech to im wyborcy powiedzą.

Wehikuł czasu

Wbrew wszystkim surowym sądom nie jest tak, że Platforma nie ma ideologii. Nie ma programu ani recept, ale światopogląd PO

pozostaje względnie stały. To liberalizm wychowany na doktrynach i doświadczeniach lat 80. i wczesnych 90. – gdy dojrzewające pokolenie liberałów utożsamiało z państwem wyłączenie opresję, marnotrawstwo i biurokratyczną inercję. PO mówi do dziś głosem pokolenia ludzi, którzy widzieli możliwości awansu w Europie i międzynarodowych korporacjach, a państwo utożsamiali ze złodziejską ręką poborcy podatkowego i skorumpowanego urzędnika. W świetle tych doświadczeń i poglądów zrozumiałe było przekonanie, że społeczeństwo obywatelskie będzie lepszym motorem zmian i busołą rozwoju niż władza centralna.

Wszystko ma jednak swoje granice. W 2021 r., gdy za sprawą pandemii wszyscy w przyspieszony sposób uświadomili sobie, jakie znaczenie mają sprawne instytucje międzynarodowe i państwa, antywspółnotowy liberalizm ostatecznie schodzi na światło ze sceny. Rządy różnych państw prześcigają się w nowych pomysłach i propozycjach programowych, bo wiedzą, że pozostawienie spraw „samym sobie” może być receptą na katastrofę. Nabierający znaczenia wyścig technologiczny i powrót Chin do roli globalnego gracza uświadamia też rządzącym, że nie można ograniczyć rozwoju do samej jego fasady: budowy kilku stadionów i rewitalizacji starych kamieniczek. Wreszcie zmieniają się na skalę globalną oczekiwania społeczeństw: chcemy, by państwa i rządy robiły w obliczu nowych zagrożeń więcej, a nie w kółko samoograniczały się i przekonywały, że „najlepsza polityka gospodarcza to brak polityki”.

I nie trzeba szukać egzotycznych przykładów, bo wielką bitwę o większą sprawczość państwa i instytucji publicznych toczy dziś prezydent amerykańskiego mocarstwa, Joe Biden. Tymczasem w partii, która ma największe na opozycji szanse przejęcia władzy, wciąż panuje przeświadczenie odwrotne. Politycy nie muszą przekonywać ludzi, że po coś tej władzy potrzebują. Nie robimy polityki. A mosty? Sami zbudujcie te mosty.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Polskie służby mundurowe znajdują kolejne ciała uchodźców na granicy polsko-białoruskiej. Wydawało się, że ubiegły wiek nauczył nas, że ludzie potrzebują pomocy i mają prawo ją otrzymać. Dziś z premedytacją wyrzucamy tę lekcję na śmietnik historii.

W dniu, w którym na terenie przygranicznym z Białorusią odnaleziono ciała trzech osób, a czwarte zwłoki kilka metrów za linią graniczną, gdzie być może je przeciągnięto i porzucono (ktoś konkretny przeciągnął, na rozkaz kogoś, kto wykonywał polecenia kogoś z samej góry, nad kim stoi jakiś Kamiński czy Wąsik, a nad nimi jeszcze ktoś)... otóż w tym dniu premier Mateusz Morawiecki powiedział: „Nie wiemy, kim byli ci ludzie zmarli na terenie Polski, ale zrobimy wszystko, by nie były to osoby anonimowe. Chcemy, by każdy w sposób godny został potraktowany”.

Premier 40-milionowego kraju zadaje pytanie, w którym jest już zawarta odpowiedź, ale premier jej we własnym zdaniu nie słyszy. Ta odpowiedź powinna wystarczyć za wszystko: to byli LUDZIE. Nie ideologia, nie prowokacja, nie operacja, nie wojna hybrydowa – ludzie.

Mieli imiona, nazwiska, rodziny, mieli swoją drogę. Nie zmarli. Mamy bardziej adekwatne słowa: zostali zamordowani, zabici, wygnani na pewną śmierć. Zostali zagnani w noc, zimno, głód, pragnienie i chorobę. Kolbami, kopniakami, wrzaskiem i ciosami. Widzieliśmy ich z daleka, poznaliśmy ich imiona, a czasami historie. Zrobili to ludzie „w służbie” polskiego państwa.

Ale tak przecież nie wolno o tym opowiadać. To takie płacziwe, moralniakalne, a tu idzie o poważne, męskie, wojskowe sprawy, idzie o politykę, rozumiecie, geopolitykę, o tyranów i despotów. Obrona granic, mówi to wam coś?

To nie uchodźcy, to załoga dywna, za którą czają się bataliony Łukaszenki, czyli Putina. Wy tego może nie rozumiecie, ale rozumieją to ci rozsądni, niezaciechtrzewieni politycy i komentatorzy, którzy właśnie wczoraj obudzili się znawcami polityki wschodniej, meandrów operacji o durnych kryptonimach, od których tylko oni sami są głupszy. A ci, którzy biegali z siatkami, z butelką wody, śpiworem? To dziecinada, brak powagi.

Bo przecież granica jest święta. A świętości granicy bronić należy jak świętości życia. Ale uwaga, nie każdego. „Polacy, kiedy pada słowo »granica«, »terytorium«, »państwo polskie«, to trzymają kciuki za Straż Graniczną i żołnierzy,



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Zbrodnie polskiego przygranicza

zrozumiecie to” – a to już nie Morawiecki, to słowa Donalda Tuska.

Jestem obywatelem polskim i tego nie rozumiem, a właściwie rozumiem zupełnie inaczej. Trzymam kciuki za uciekających, za szukających schronienia i azylu, za tych, którzy wciąż mają prawo wygłosić formułę: „Zwracam się o opiekę międzynarodową”. To zaklęcie powinno przecież działać. Ale w Polsce już nie działa. Przestało, bo tak postanowił polski premier, prezydent, rząd, szef partii, generał całej tej armii armatnich rąk do podniesienia na rozkaz, na znak, bez sprzeciwu, bez refleksji, bez żadnej własnej myśli. Las poselskich rąk rośnie na żądanie. Te ręce, kiedy już opadną, wyciągają się po nagrodę, po kasę, po posadę, po radę nadzorczą. Ręce, które są tylko narzędziem. Ręce bez głowy.

Chyba najgorszym doświadczeniem osoby, która musi coś o tym publicznie powiedzieć, jest ta skrajna bezradność, że nie ma do kogo mówić ani po co. Słowa nie przekonują, obrazy nie działają, argumenty nie są traktowane serio. Współczucie, empatia, człowieczeństwo – nie ma ich w kodeksie uczuć religijnych, których do upadłego bronią ci sami, którzy kolbami zaganiają uchodźcze grupy w noc, zimno i głód. To są zbyt poważne sprawy, proszę państwa, żeby jacyś ateści, wątpiacy, innowiercy odwoływali się do chrześcijańskich mitów. Żadne modły nie sięgają ludzi cierpiących na granicy, bo władzy udało się ich odczłowieczyć – Łukaszenką, bezpieczeństwem, Putinem, islamem, terroryzmem, afjonom, dzinsami Lee, językiem.

Nasza bezradność sięga po wiersz. Jakby poezja mogła ocalać ludzi. Jakby mogła ich ogrzać, dać dach nad głową, wodę, spokój, ciszę, intymność. Jakbyśmy uczyli się historii, a nie robimy tego – powtarzamy, raz za razem, krok za krokiem, dawne obłądy. I wtedy wystawiamy jako transparent przed siedzibą Straży Granicznej wiersz Antoniego Slonimskiego:

Mówią o Polsce silnej. Już dziś liczą sztaby,

Jak ją ziemią okopać, oprzeć na bagnecie.

Lecz ja, wybaczenie, bracia, pragnę Polski słabej,

Ja pragnę Polski słabej, lecz na takim świecie,

Gdzie słabość nie jest winą, gdzie już nie ma warty,

Ryglów u bram i nocą dom bywa otwarty,

gdzie dłoń nieustraszona okrutnym żelazem

I gdzie granica wita tylko drogowskazem.

Wystawiamy wiersz, bo wciąż ludzimy się, że to znak wspólnoty, języka, który rozumiemy i przez który rozumiemy Polskę, życie – a tak nie jest. I my stoimy tu, a większość Polaków stoi tam, gdzie Straż Graniczna, Morawiecki, Kaczyński, Tusk. Bo taka jest potęga strachu. Nie wolno tylko powiedzieć, że ten strach jest irracjonalny, bo to przecież byłoby naigrawanie się z tych, którzy mają prawo, święte prawo się bać.

Wielki polski strach nie jest żadnym wyjątkiem. Jest przeciętny, jak wcześniej strach Włochów, Greków, Hiszpanów, Komisji Europejskiej. Jak cała procedura frontexowa, odsyłania, odpychania łodzi, czasami zatapiania, nieudzielania pomocy na morzu, karania tych, którzy tę pomoc niosą. Dwie kobiety, które dowodziły statkami ratującymi uchodźców na morzu, aresztowano, zostały oskarżone we Włoszech o „handel ludźmi”. Morze Śródziemne jest cmentarzyskiem i hańbą Europy, a teraz my też mamy własny, polski cmentarz dla tych, którzy szukali u nas schronienia.

Ludzie uciekają, potrzebują pomocy i mają prawo ją otrzymać. Nie zniesie tego prawa żaden nieludzki rozkaz. Taką naukę, wydawało się, wyciągnęliśmy z ubiegłego stulecia. Dziś – powtarzam – wyrzucamy ją na śmietnik historii.

Do tego, jak dzisiaj odbieramy wydarzenia na granicy, przygotowywaliśmy się latami. Obojętnieliśmy raz za razem: ruszając na bezsensowne wojny w Iraku oraz Afganistanie, bagatelizując (w najlepszym razie) lub akceptując tortury od Kiejkut po Guantánamo – amerykańskie eksterytorialne i pozaprawne łagry funkcjonujące na oczach świata nigdy nie spędzały Polakom snu z powiek. Podobnie jak moment, kiedy odmawialiśmy udziału w europejskich próbach przyjęcia uchodźców z Morza Śródziemnego.

Rozmawiałem kiedyś z grupą 20-latków o polskości. Chciałem usłyszeć, czym dla nich jest, co w niej jest takiego, co ich kształtuje, wpływa na decyzje, zachowania, na ich życie. Padły kolejne dookreślenia: tradycja. Tradycja, czyli święta. Jak święta, to Boże Narodzenie. I wtedy, na pytanie, co w tych świętach można wyczytać, czego są busolą – usłyszałem, że najważniejsze jest 12 potraw. Oto 12 potraw jako etyczny imperatyw.

Kiedy zapytałem, czy może ta tradycja niesie w sobie istotniejsze, symboliczne przesłanie, kiedy zostawia się pusty talerz dla nieznanego nam przybysza (przybyski) – sala odpowiedziała śmiechem. „Nie wpuścilibyśmy obcego”. To święto rodzinne, polskie, katolickie.

Nie oglądamy na granicy niczego nowego. Polska zasiadła do wrześniowej wigilii – 12 potraw i na razie cztery trupy. Do deseru będzie więcej.

Politycznie rzecz biorąc, jeśli to, co robią polskie władze na granicy, poddyktowane jest tym, że trwa wojna, to śmierć tych uchodźców na polskiej ziemi jest zbrodnią wojenną. Zabijaniem cywilów, bez konieczności marnowania amunicji.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Tekst opublikowała przed kilkoma dniami „Krytyka Polityczna”.



W CIENIU SZPITALA

Grudziądz ciężko przeszedł transformację ustrojową i walkę z bezrobociem. Dzisiaj, gdy pracy na rynku jest więcej, w dół ciągnie miasto wielki dług szpitalny

Małgorzata Szczepańska-Piszc

Malowniczo rozciągnięty na prawym brzegu Wisły Grudziądz, miasto z prawie 94 tys. mieszkańców, ma bogatą historię i przez wiele dziesięcioleci stał dość stabilnie na dwóch nogach. Pierwsza – przemysłowa i druga – wojskowa dobrze się miały w czasie zaborów, w II Rzeczypospolitej, a także w PRL. Dopiero po transformacji ustrojowej w 1989 r. obie nogi zaczęły mocno się chwiać.

Król Stomil

Na tutejszym rynku pracy przed transformacją niepodzielnie królowała Fabryka Wyrobów Gumowych Stomil. – W Grudziądzu każdy ma w rodzinie kogoś, kto tam pracował. Ja miałam tatę i babcię – tłumaczy fenomen Stomilu grudziądzka bibliotekarka. Stomil zatrudniał najwięcej, w szczycie rozwoju ok. 9 tys. pracowników.

– Zarobki nie powalały, ale praca była ciekawa. Dla mnie, elektryka elektronika, to było ważne – wspomina Henryk Szczepański, który

najpierw uczył się w przykładowej szkole zawodowej, a potem pracował w samym przedsiębiorstwie. Od dawna – choć od lat mieszka w Berlinie – zbiera pamiątki po Stomilu. Z jego zbiorów korzystają dziś organizatorzy grudziądzkich wystaw przypominających gumowego giganta. – To był wielki zakład z oddziałami, a do tego miał żłobek, przedszkole, dom kultury, ośrodki wypoczynkowe, szkołę. Zatrudniały się tam całe rodziny. Ja też w Stomilu poznałam żonę. Bo dziewczyny tam pracowały naprawdę pięknie – rozmarza się pan Henryk.

Korzenie Stomilu sięgają 1923 r., gdy Samuel Halperin założył fabrykę Polski Przemysł Gumowy Towarzystwo Akcyjne w Grudziądzu (PePeGe). Zaczął od produkcji kaloszy, a wkrótce śniegowców oraz obuwia sportowego. Nazwa odcisnęła się na współczesnej polszczyźnie. Jeszcze dziś lekkie płócienné obuwie sportowe na gumowej podeszwie, czyli tenisówki i trampki, starsi Polacy nazywają pepegami – od skrótu przedwojennej nazwy zakładów, które produkowały je od 1927 r. W 1929 r. miały już filie w Wąbrzeźnie i Warszawie. W sumie zatrudniały prawie 6 tys. ludzi,

a wytwarzały także opony, dętki, węże i tkaniny gumowane. Po II wojnie światowej, w czasie której zniszczono 70% fabryki, zakłady szybko odbudowano. W coraz bardziej modernizujących się halach produkowano przez lata obuwie gumowe, plażowe, taśmy samoprzylepne, pontony, materace, łodzie, tratwy ratunkowe, sprzęt do nurkowania. A także słynne tenisówki i trampki, które nosiła cała Polska. Transformacja oraz załamanie się rynku rosyjskiego i zalew tanich chińskich wyrobów zniszczyły Stomil w ciągu dekady. Nie pomogły masowe zwolnienia, tworzenie spółek córek, redukcja zadłużenia ani ponowna konsolidacja. W 2001 r., gdy niezapłacone stomilowskie rachunki za prąd sięgnęły prawie miliona złotych, energetycy odłączyli go, a grudziądzki król ogłosił upadłość.

Stomil nie był wyjątkiem. Podobny los spotkał niemal wszystkie duże przedsiębiorstwa. Na przykład grudziądzkie zakłady mięsne, jedne z najstarszych w Polsce tego typu, otwarte w 1885 r., upadły w 2005 r., a zlikwidowano je niecałe trzy lata później. Także Agromet-Unia, fabryka maszyn rolniczych, które korzenie sięgają aż

1882 r., w 1995 r. musiała ogłosić stan upadłości.

Daniel Dreyer, lokalny dziennikarz z przeszło 20-letnim doświadczeniem, urodzony grudziądzanin: – Dziś po wielkich zakładach przemysłowych, takich jak Stomil czy Warma (Pomorskie Zakłady Urządzeń Okrętowych Warma), nie ma śladu. A nawet te, które szczęśliwie jakoś przetrwały, jak Hydro-Vacuum – kiedyś Pomorska Odlewnia i Emaliernia, wielki producent wanien i zlewozmywaków – to już zupełnie inne firmy. Są w rękach prywatnych, mają inny profil produkcyjny i potrzebują innych pracowników. Hydro-Vacuum produkuje przede wszystkim pompy głębinowe. Werbuje głównie specjalistów. A Stomil zatrudniał tysiące osób, które potrzebowały niewielkich kwalifikacji, bo np. sklejały trampki. Gdy ci ludzie wysypali się na rynek pracy, nie było dla nich żadnej oferty. I nie ma jej do dziś. Ci bardziej obrotni jakoś sobie poradzili, ale większość popadła w marazm, poszła do urzędu pracy i została tam na lata. Pewnie część wciąż tam jest.

Obecne firmy, nawet te, które nie zmieniły diametralnie profilu produkcji, potrzebują dużo mniej ludzi. Choćby Agromet-Unia – fabryka

zatrudniała w 1976 r. 2827 pracowników. Dzisiaj w czterech swoich zakładach w Grudziądzu, Brzegu, Słupsku oraz Kątach Wrocławskich potrzebuje już tylko ok. 1,2 tys. osób.

Mordercze bezrobocie

Olbrzymie bezrobocie dusiło Grudziądz i okolice przez całe dekady. Według GUS najgorzej było w styczniu 2004 r.: 34% w mieście, a 35,7% w powiecie. W 2006 r. w terenie odnotowano 28,4% bezrobotnych. Na szczęście w 2016 r. już tylko 16,3%.

Każdy ma w rodzinie kogoś, kto pracował w Stomilu. W szczycie zakład zatrudniał ok. 9 tys. osób.

A w mieście odpowiednio 25,1% i 13,1%. I był to najsilniejszy trend spadkowy w kraju. Na koniec 2020 r. bezrobotni stanowili 11,3%. Tylko czy aż? Niestety, to ciągle słaby wynik również w samym województwie kujawsko-pomorskim (8,9%), które kiepsko sobie radzi z bezrobociem. I najgorszy wynik wśród czterech największych miast w Kujawsko-Pomorskiem – Bydgoszcz ma 3,5%, Toruń 4,6%, a Włocławek 10,7%.

Dziś w Grudziądzu najwięcej osób zatrudnia szpital. A poza nim? – Jest kilka firm ważnych dla miasta, ale nikt na miarę Stomilu – ocenia Dreyer. – MR Garden, zakład produkcji architektury drewnianej, bo daje dużo miejsc pracy, Kitron – norweska firma produkująca zespoły elektroniczne m.in. dla wojska, lotnictwa i energetyki, Formeleon – mechatronika, Wojskowe Zakłady Uzbrojenia – spółka skarbu państwa.

– Zakłady pracy, które dzisiaj najwięcej zatrudniają, to Unia Sp. z o.o., Visscher Caravelle, MR Garden,

Schumacher Packaging, La Rive, Hydro-Vacuum, Sits – wylicza Katarzyna Lewandowska z Powiatowego Urzędu Pracy w Grudziądzu.

Jak się żyje dzisiaj w Grudziądzu? Odpowiedź zależy od tego, gdzie się przyłoży ucho. – Nie trzeba wyjeżdżać, żeby się poczuć jak na wakacjach. Bo mamy na terenie miasta Jezioro Rudnickie Wielkie – 177 ha z ośrodkami wypoczynkowymi i plażami. A na drugim końcu miasta – drugie jezioro, Tarpno. Które polskie miasto ma podobnie? – pyta z dumą Daniel Dreyer, ale ocenia trzeźwo: – Żyje się przeciętnie, bo Grudziądz ma olbrzymie problemy finansowe. Mamy najnowocześniejszy, ale też najbardziej zadłużony szpital w Polsce. Dług rósł przez lata i w końcu przysięgnął miasto.

– Stan zobowiązań szpitala na koniec lipca br. wynosi 468 558 027,83 zł – precyzuje Paulina Piotrowicz, kierownik Referatu Nadzoru nad Szpitalem UM w Grudziądzu. – Ale tych pieniędzy nikt nie przejadł – podkreśla Dreyer. – To dług inwestycyjny. Na budowę szpitala, na zakup sprzętu. Miasto, organ prowadzący Regionalnego Szpitala Specjalistycznego, zobowiązano do pokrycia długu lub do zlikwidowania lecznicy. Nie chciano likwidacji. Na tym oparła się ostatnia kampania prezydencka. Dzięki covidowi i tarczy antycovidowej miasto chwilowo się wybroniło, bo nie musi w dotychczasowych terminach spłacać szpitalnego zadłużenia. Ma na to dodatkowe dwa lata. To dało mu nieco oddechu.



Grudziądz szczyci się bogatą historią.

► Były dyrektor szpitala Marek Nowak uważa, że pandemia i przemianowanie jedyne go grudziądzkiego szpitala na covidowy ma również ciemną stronę. Grudziądzanie źle na tym wyszli. Bo niecovidowi chorzy zostali sami. Odcięto ich nie tylko od szpitala, ale i od przychodni przyszpitalnych.

Skąd wziąć pieniądze?

– Szpital jest przeinwestowany – nie ma wątpliwości Dreyer. – Niektórzy twierdzą, że jest owocem megalomanii dyrektora Nowaka. I pewnie mają rację. Ale dziś warto bronić lecznicy z jej specjalistami, świetnym wyposażeniem; przyjeżdżają do niej pacjenci z całej północnej Polski. I bardzo ją chwala. To jedyny szpital w mieście. I ma szansę na spłatę długu. Nie od razu, ale długofalowo, jak ludzie zaciągający kredyt na dom, który potem spłacają 30-40 lat. Gdyby Grudziądz miał z marszu spłacić szpitalny dług, musiałby zamknąć szkoły, wstrzymać autobusy i pogasić latarnie. A była szansa na szybkie wyjście z impasu i żeby nasz grudziądzki szpital nadal miał znaczenie nie tyl-



W Stomilu zatrudniały się całe rodziny – wspomina Henryk Szczepański.

Pod warunkiem że nie będą narastały bieżące zobowiązania. Z naszych analiz wynika, że szpital ma charakter ponadgrudziądzki i ponadregionalny. Korzystają z niego nie tylko mieszkańcy Kujawsko-Pomorskiego, ale również Pomorskiego i Warmińsko-Mazurskiego. To nie w porządku, że taki wielki szpital spoczywa na barkach miasta niespełna stutysięcznego.

Mamy najnowocześniejszy, ale też najbardziej zadłużony szpital w kraju. Dług rósł przez lata.

ko w województwie, w regionie, ale i w Polsce, żeby nadal się rozwijał. Jednak Toruń zaczął budować podobny szpital. Po co? Można było te marszałkowskie pieniądze przeznaczyć na grudziądzką lecznicę. Z Torunia do Grudziądza jest ledwo ok. 60 km, autostradą to nieco ponad pół godziny.

Róża Lewandowska, wiceprezydent Grudziądza, patrzy na dług bardziej pesymistycznie: – Bez pomocy z zewnątrz miasto nie spłaci zadłużenia szpitala. Nie ma na to szans. Już trafiła do Senatu ustawa mająca zwolnić miasto z obowiązku spłaty szpitalnych zobowiązań.

– Najprawdopodobniej powstanie specjalna państwowa agencja, która będzie zarządzała bieżącymi wydatkami szpitali w Polsce – tłumaczy Andrzej Cherek, sekretarz miasta. – Dług być może pozostanie naszym zobowiązaniem. Z dużą dozą prawdopodobieństwa miasto z przeszło 700-milionowym rocznym budżetem jest w stanie sobie z nim poradzić.

W rankingu World's Best Hospitals 2021 Regionalny Szpital Specjalistyczny w Grudziądzu zajął 24. miejsce wśród polskich placówek. Ranking objął 2 tys. placówek z 25 krajów, w tym USA, Wielkiej Brytanii, Niemiec i Kanady.

Bez pośpiechu

– Żyje się dobrze – twierdzą w grudziądzkim ratuszu. Wiceprezydent Róża Lewandowska wylicza zalety miasta: – Jest coraz ładniejsze. Ma jedną z najpiękniejszych panoram nadwiślańskich i ładny trakt nadrzeczny. Do niedawna szare miasto staje się w końcu zielone, ukwiecone i przede wszystkim czyste. Bo aspekty estetyczne są dla naszego prezydenta szczególnie ważne. Staramy się odzyskać olbrzymie zabytkowe spichlerze nadrzeczne, oddane niegdyś w prywatne ręce, tak by służyły grudziądzanom. Rozwijamy bazę wypoczynkową na brzegu obu grudziądzkich jezior. W tym roku

wszystkie wstępy są dla mieszkańców za darmo. Staramy się uczynić miasto atrakcyjnym, żeby lepiej i milej się w nim żyło, no i żeby chętniej odwiedzali nas turyści. Nie na wszystko mamy wpływ. Przydałby się remont starego mostu kolejowego. Wyceniono go na ok. 30 mln zł. Ale to własność PKP. Dobrze się mieszka również dlatego, że obecnie z Grudziądza jest wszędzie blisko: do Gdańska, Torunia – niecała godzina drogi, i to autostradą. A za chwilę będziemy świetnie skomunikowani i z innymi ośrodkami. Trwa budowa S5, która połączy nas komfortowo z Bydgoszczą, Poznaniem i Wrocławiem. A przecież jeszcze niedawno trudno było się wydostać z Grudziądza. Żyłoby nam się z pewnością lepiej, gdybyśmy mogli liczyć na większe zewnętrzne wsparcie.

– Żyje się coraz lepiej, bo Grudziądz bardzo się zmienia i ludzie, zwłaszcza ci z zewnątrz, widzą te zmiany i są zachwyceni – twierdzi Andrzej Cherek. – Atutem miasta jest jego wielkość. Nie za małe, bo małe ośrodki powodują pewną senność, która niekoniecznie ludziom służy. Ale i nie za duże. Dzieje się sporo, mamy wiele imprez, np. Jarmark Spichrzowy czy imprezy związane z tradycjami kawaleryjskimi, które bardzo pielęgnujemy. Przez cały rok jest gdzie pójść, wypocząć, posłuchać muzyki. Jednocześnie to miasto nie wymaga nadmiernego pośpiechu czy przemieszczania się na duże odległości.

Stolica ułanów

Po odzyskaniu niepodległości – w styczniu 1920 r. do Grudziądza wkroczyło wojsko polskie – stał się on miastem granicznym, z potężnym garnizonem wojskowym, drugim co do wielkości w Polsce, w którym ulokowano oprócz pułków piechoty i artylerii lekkiej jedyne w Polsce Centrum Wyszczepienia Żandarmerii i Lotniczą Szkołę Strzelania i Bombardowania. Osadzono także 18. Pułk Ułanów Pomorskich i Centrum Wyszczepienia Kawalerii, w którym w latach 1920-1939 wyszkolono prawie 5 tys. oficerów. Nic dziwnego, że już w międzywojniu Grudziądz obwołano stolicą ułanów. Z czego grudziądzanie do dzisiaj są szczególnie dumni. Po 1989 r., wskrzesili kawaleryjskie tradycje. Organizują Zjazdy Kawalerzystów.

W 1990 r. powołali Fundację na rzecz Tradycji Jazdy Polskiej. Niedawno, żeby uczcić setną rocznicę powstania CWK, odślonili przy ul. Chełmińskiej mural kawalerski. Ułanów nie ma, ale miasto chce pozostać stolicą kawalerii.

Po II wojnie światowej Grudziądz nadal miał status miasta garnizonowego. Mariusz Żebrowski, kustosz grudziądzkiego Muzeum im. ks. Władysława Łęgi: – Stacjonowały tu 42 jednostki wojskowe, wielokrotnie zmieniające nazwy, ale związane z zapleczem technicznym wojska, typu okręgowy skład żywnościowy czy batalion naprawy samochodów. Obecnie garnizon skurczył się do sześciu-siedmiu jednostek. I wiele wskazuje, że niedługo straci kolejną – ośrodek szkoleniowy dla kierowców.

III liga?

– Żyje się trudno, bo w cieniu Bydgoszczy i Torunia. Nie mamy szans na wyjście z drugiej, a właściwie trzeciej ligi. Dlatego ludzie uciekają. Zwłaszcza młodzi. Do sąsiednich miast czy do Anglii. Miasto od lat się kurczy

– narzeka z kolei grudziądzka nauczycielka prosząca o anonimowość. Daniel Dreyer: – Był czas, gdy większość znajomych mieszkała nie tylko poza Grudziądzem, ale i Polską. Teraz niektórzy wracają do kraju, ale osiedlają się w Warszawie czy Trójmieście.

Rzeczywiście, jeszcze w 1999 r. w Grudziądzu mieszkało 103 606 osób, obecnie 93 564. Przez dekadę miasto straciło ok. 10 tys. ludzi. To dużo.

Jesteśmy trochę na uboczu, na marginesie. I niewiele o Grudziądzu wiadomo.

– Niestety, mimo kilku prób nie udało się tu stworzyć ośrodka akademickiego. Grudziądzanie ciągle na studia wyjeżdżają do Torunia, Bydgoszczy, ewentualnie do Gdańska. A potem zostają tam na stałe. Nie ma życia akademickiego i wszystkiego, co temu towarzyszy. To miastu nie służy – ubolewa Dreyer. Jest przekonany, że to jeden z hamulców rozwoju. – Nie pomaga nam również to, że wielu ludzi ma kompleksy z powodu

mieszkania tutaj. Czują się gorsi. I niestety oni są głośniejsi od tych, którzy są dumni z Grudziądza, jego wielowiekowej tradycji, zmian ostatnich lat. Rozpoczęta w tym roku modernizacja sieci tramwajowej warta ponad 140 mln zł potrwa do przyszłego roku. A że to długo? Wieloletnich zaniedbań nie da się pokonać szybko – diagnozuje dziennikarz.

Grudziądzanie narzekają, że miasto jest ciągle nieodkryte.

– Jesteśmy trochę na uboczu. Niewiele o nas wiadomo, na przykład o tym, że Kopernik traktat o złym pieniądzu, który wypiera dobry, wygłosił po raz pierwszy właśnie tu, a Mirosław Hermaszewski tutaj szkolił się w lotnictwie – wylicza Dreyer.

– Brakuje spójnego, długofalowego pomysłu na Grudziądz i jego promocję – ocenia grudziądzka nauczycielka. – Kiedyś kojarzyliśmy się z wojskiem, ułanami, potem ze Stomilem. A dzisiaj?

Małgorzata Szczepańska-Piszc
m.piszc@tygodnikprzeglad.pl



Nie uwierzysz, ale miałam dom. Nie jakiś bogaty, ale taki zwyczajny. Miałam dach nad głową, swoje kilka metrów kwadratowych, żłób, gdzie mi sypali owies i miałam nawet człowieka, takiego niskiego, siwego Pana zawsze w podartych spodniach z wielkimi kieszeniami, który klepał mnie czasem po karku i mówił „Gabrysia, no już, dobra kobyła, dobra”.

Nie uwierzysz, ale byłam kiedyś piękna. Wszyscy cmokali, jak mnie prowadzono, a ja wtedy unosiłam się kopytami wysoko nad ziemię i uderzałam nimi o beton z hukiem. Och, jak ja szalałam po naszym trawniku przy stodole! Mój siwy Pan klaskał przy ogrodzeniu, a ja biegałam wkoło drzew co sił w nogach. Potem biegał za mną mój malarz Gwoździak. Wtedy nim się zachwycali, mną już mniej. Ale to było bez znaczenia. Mój siwy Pan zawsze mnie poklepał, mamrocząc „moja kobyła. No, dobra kobyła”. Nic mi więcej nie trzeba było. Byłam dobra kobyła. Koniowi to wystarczy.

Nie uwierzysz, ale myślałam, że tak będzie

zawsze. Wschody, gdy wychodziłam na moką trawę, a Gwoździak za mną, trochę niezdarnie, z popłatanyimi nogami. Ale szło to moje dziecko, jak tylko umiało, a ja popychałam go chrapami. Nawet nie wiem, kiedy był ten pierwszy raz, gdy mnie minął radośnie w drzwiach stodoły i wypadł na trawę pierwszy. Popatrzyłam i pomyślałam: och! Jaki on już duży! Nie uwierzysz, jak czas szybko mija...

Wierzył mi, gdy przyjechała ciężarówka, a mój siwy Pan mnie wyprowadził, a za mną mojego synka. I kiedy prowadził mnie podwórkiem, i po tym wielkim trapię, na szczycie poklepał mnie po karku i powiedział ze łzami w oczach „dobra kobyła, dobra”. Nie uwierzysz, ale potem odwrócił się i mnie tam zostawił. Próbowałam się wyrwać, biec za nim, ale on szybko zniknął, w swoich podartych spodniach z wielkimi kieszeniami.

Nie uwierzysz, ale nie rozumiałam, co robiłam źle. Byłam przecież dobra kobyła.

Nie wiem, czy masz wielkie kieszenie i stare spodnie. Nie wiem nawet, kim jesteś, tam po drugiej stronie. Ale to Ciebie błagam dziś o życie. Dla mnie i dla mojego Gwoździaka.

Potrzebuję 16 700 zł, abyśmy przeżyli. Ja i mój mały Gwoździak. Mamy czas do 29 września.

Nie uwierzysz, ale ciągle mam nadzieję, że chociaż Polska ubija 30 000 koni rocznie, to ja nałwnie wierzę, że będzie mi dane żyć, aż do ostatniego tchu. I wierzę, że dla nas zdarzy się cud.

Dlatego patrzę dziś w obiektyw i szukam wzrokiem kogokolwiek, kto uwierzy równie mocno jak ja. Że jestem dobra kobyła...

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem GABRYSIA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści **GABRYSIA** na numer **7412** (koszt SMS 4,92 zł z VAT), **7910** (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub **91950** (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.



ul. Welbrzyńska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Nieja prowadzona w ramach
Kampanii Kochaj Miedzę
Regulamin: <http://centaurus.org.pl/km>

Rozmawia Beata Igielska

„Wyszły mi włosy i złudzenia” – napisałaś na komunikatorze, gdy odnalazłyśmy się na Facebooku po latach.

– Włosy wyszły mi z powodu traumy, którą przeżyłam – zostałam niemal zabita przez wieloletniego partnera na małym jachcie na Wyspach Kanaryjskich, gdzie w marcu 2020 r. uwięziła nas pandemia – nie mogliśmy wyjść nawet poza bramę portu. Do zdarzenia doszło w czerwcu. A złudzenia wyszły mi z powodu zakończonego tak dramatycznie związku.

Co się stało?

– Miałam złamany ząb, dwa żebra, wylewy, siniaki. Kopał mnie po głowie, brzuchu. Chciał mnie wyciągnąć z łodzi, wrzucić do wody. Krzyczał: „Zabiję cię, połamię ci kulasy! Nikt już na ciebie nie spojrzy!”. Tego wieczoru piliśmy do kolacji wino, chciałam spać, on chciał pić dalej i słuchać muzyki. Od tego się zaczęło... Sytuacji przemocowych w naszym

IWONA CHODOROWSKA

– antropolożka kultury, podróżniczka i dziennikarka, od lat mieszka w różnych miejscach na świecie. Z doskoku prowadzi bloga www.wyjechalam.wordpress.com.

związku było kilka. Też bywałam wtedy agresywna, np. potrafiłam rzucić kubkiem o ścianę albo skopać ją. Bywałam zazdrosna – mam nie najłatwiejszą osobowość. W naszym związku były problemy z alkoholem, bywało, że się kłóciliśmy. Ale ta ostatnia sytuacja nie była oparta na konflikcie – spałam przecież, więc nawet nie spojrzałam na niego krzywo. Uratowali mnie ludzie z jachtów.

Jaka była reakcja hiszpańskich służb?

– Byłam w szoku, nie byłam w stanie się bronić, po prostu chroniłam głowę. Przeciągnął mnie przez cały jacht, od kajuty do kokpitu, próbował wciągnąć po schodach, zaczął wyłamywać ręce. Krzyknęłam: „Połamiesz mi ręce!”. On: „No właśnie, nie

Ale co ty mu zrobiłaś?!

Nie dziwię się kobietom,
że nie mówią o przemocach domowych.
Gdy powiedzą, zostają same



wpadłem na to”. Zaczęłam wzywać pomocy, ale już wcześniej Niemiec i Hiszpan pojawili się na pomoście. Zaczęli tłuc w jacht. Wtedy ocknął się. Wyrwałam się, wyskoczyłam na pomost. Wezwali karetkę, pojawiła się policja. Od razu odwieziono mnie na obdukcję. Była noc, trwało to długo. Czekałam sama. Kwadrans od momentu, gdy ludzie przyszlizli z pomocą, został zakuty w kajdanki. Po obdukcji dostałam kawę. Lekarze bali się, że coś sobie zrobię, powiedziano, że mam czekać, bo przyjdzie po mnie policja. Po jakimś czasie odwieziono mnie na komisariat na zeznania. Była czwarta rano. Trzęsłam się. Policjanci byli dla mnie jak starsi bracia. Pytali, czy jest mi zimno, czy chcę herbaty. Przesłuchanie odbywało się po

hiszpańsku. Mówię w tym języku, ale nie jest to mój pierwszy język. W dodatku mam 70-procentowy ubytek słuchu, nie wszystko rozumiałam. Upominali się nawzajem: „Mów głośniej, pani nie słyszy”.

Odwieziono mnie na jacht. Następnego dnia miałam być w sądzie. Tam zaopiekowały się mną trzy kobiety: adwokatka z urzędu, pani z tamtejszej organizacji pomagającej kobietom i psycholog. Rozmawiały ze mną. Okazało się później, że już trwała rozprawa, wszystko przebiegało bardzo sprawnie. Kobieta z organizacji od razu spytała, czy mam dokąd pójść, bo ona może zapewnić mi jeszcze tego samego dnia tymczasowy pobyt w schronisku dla ofiar przemocy. Na szczęście

chęć pomocy zgłosił znajomy Polak. Hiszpanie nie zostawili mnie samej, nie powiedzieli: jedź autobusem do jakiegoś domu i czekaj na przyjęcie, a tak dzieje się w Polsce. Wtedy kobieta rezygnuje z pomocy. Organizacje pomocowe w Polsce nie działają tak sprawnie, bo nie ma na to kasy.

Masz porównanie, rok wcześniej zostałeś pobita w Polsce.

– Zgłoszenie polskiej policji faktu pobicia wyglądało zupełnie inaczej. Zostałam pobita w nocy, zadzwoniłam rano, gdy zobaczyłam w lustrze, jak wyglądam – ciągnął mnie po ulicy za włosy. Gdy policja przyjechała, on się zmył. Policjanci potwierdzili, że jest to pobicie, a nie np. celowe uderzenie się w kaloryfer w celu zrobienia komuś na złość. Spisali moje dane i kazali pójść na obdukcję. Spytałam dokąd, bo nie wiem. A co ma powiedzieć np. starsza pani ze wsi w takiej sytuacji? Ma sobie wygooglować słowo obdukcja, skoro internetu nie obsługuje? Powiedzieli, żebym poszła na SOR. Siedziałam tam sama, bez jedzenia, picia, w szoku. Co chwila podjeżdżała karetka z ludźmi wymagającymi natychmiastowej pomocy. Zrozumiałam, że moja obdukcja może sobie nadal czekać. Po siedmiu godzinach zrezygnowałam.

Jesteś osobą wykształconą, masz pewne narzędzia psychologiczne. Co ma powiedzieć matka trojga dzieci uwiązana przy facecie przemocowcu finansowo? Rezygnuje zazwyczaj z walki o siebie.

– Zgadza się. Kiedy myślę o kobietach uwikłanych w taką sytuację w małym miasteczku lub na wsi, sądzę, że będą się borykały, podobnie jak ja, z ostracyzmem, opiniami, plotkami. Mierzę się z tym cały czas i jest mi bardzo ciężko. Wiele osób wykasowałam ze swojej pamięci, nie tylko na Facebooku. W każdej społeczności kobiecie trudno sobie poradzić, nawet pomijając kwestie ekonomiczne.

Jest jeszcze ksiądz, który powie o świętości rodziny i niesieniu swojego krzyża. Chociaż ostatnio niektórzy przepraszają kobiety za takie słowa.

– Tak, mówią, że złożona przed ołtarzem przysięga o byciu ze sobą na dobre i na złe dotyczy wszystkiego z zewnątrz, ze świata. Małżeństwo to wspólnota, która przed tym złem

będzie się chronić. Ale to nie dotyczy zła przychodzącego od osoby, której ślubujesz „aż do śmierci”. Pobicia do dziś nie przerobiłam w sobie. Nigdy byłego nie zapytałam dlaczego.

A czy ważne jest dlaczego?

Po co ci ta wiedza?

– Jestem wychowana na romantykach. Na Goethem, a potem też na Leśmianie, więc chcę wiedzieć, jak można mówić, że się kogoś kocha, a potem próbować go zabić. Nawet gdybym była najgorszą suką, zdzirą... Ale nie okradłam go, nie zdradziłam...

Nawet gdybyś go zdradziła, nie ma prawa cię bić. Kropka.

– Oczywiście, nie ma prawa mnie nawet tknąć. Byłam kiedyś na terapii związanej z moimi traumami. Raz pojawił się na tej terapii. Wymachiwał

Chciał mnie wyciągnąć z łodzi, wrzucić do wody. Krzyczał: „Zabiję cię, poamię ci kulasy. Nikt już na ciebie nie spojrzy”.

przed panią psycholog rękami, pochylał się nad nią, ona się odchyłała. Od razu powiedziała, że on nie panuje nad emocjami. Nigdy tego nie leczył. Najbliższym osobom nie przyszło to do głowy? Bywał agresywny wobec matki. Musieli to wiedzieć... Nikt nic nie zrobił.

Co jest w głowie i jakie to uczucie, że tkwi się w związku z takim człowiekiem?

– Jeszcze nie umiem na to pytanie odpowiedzieć, nie jestem gotowa. Tu musiałby odpowiedzieć psycholog. Ja go kochałam, po prostu. To była miłość mojego życia. „Takim człowiekiem” to źle powiedziane, on był fajnym człowiekiem, dopóki nie zaczął bić. W Węgrowie lub w podlaskiej wiosce spotkamy panią Jadzię, Grażynę, Krysię, których mężowie są żułami spod budki z piwem, wszyscy wiedzą, że to ochlajusy, piją i biją, sąsiadka westchnie: biedna Jadzia, jaki to drań. Ale są też stomatolożki, dziennikarki, nauczycielki, aktorki, które przez lata tkwią w przemocowych związkach. Mają czarujących na zewnątrz mężów, takich świetnych gości, dobrze ubranych, bogatych, inteligentnych, zabawnych. Przecież to niemożliwe, żeby taki mężczyzna bił. Była głośna sytuacja z Weroniką Rosati. Wielka dyskusja na ten temat. Znajomi bronili:

no przecież ja go znam, ja za niego ręczę. O moim mężczyźnie mówiono tak samo. Był wspaniały, jak się z nim wiązałam. A że ktoś taki bije, a nawet ma ochotę zabić, to pytanie do psychiatry i do rodziny mężczyzny, dlaczego nie skierowano go na leczenie agresji i na terapię uzależnienia.

W hiszpańskim sądzie byłam na bardzo wysokim C, po nieprzespanej nocy, skatowana. Wtedy reagujesz jak maszyna. Byliśmy w osobnych salach, żeby się nie widzieć, pani adwokat odczytała wyrok. A ja wtedy na to, że mi nie chodzi, żeby on dostał wyrok, że nie chcę go skrzywdzić, tylko chcę, żeby wreszcie zostało zanotowane w aktach, że on bije kobiety. Panie popatrzyły na siebie, wyszła jedna, po chwili wróciła. Z podwyższonym wyrokiem.

Podwyższonym, czyli jakim?

– W sumie niewielkim. Dokładnie nie pamiętam, na pewno były to dwa miesiące prac publicznych, zakaz posiadania broni, 250 euro na moją rzecz, zakaz zbliżania się do mnie na pół kilometra przez rok, jak go złamie, wtedy natychmiast idzie na dwa lata do więzienia.

Śmieszne, twój były może sobie śmiało bić kolejne kobiety.

– Niestety, tak. W Hiszpanii po tym wszystkim zaopiekował się mną znajomy. Pierwsze, co zrobił, to obfotografował moje ciało. Żebym miała zdjęcia, pamiątki z Wysp Kanaryjskich, na wypadek gdyby przyszło mi do głowy wracać do tego człowieka. Te zdjęcia bardzo się przydały, bo ludzie mi nie wierzyli. Mówili, że przesadzam, na pewno tak strasznie mnie nie pobił. Są zdjęcia, jest sądowa ocena ryzyka mojej śmierci – było najwyższe z możliwych.

Panie w sądzie natychmiast wychwyciły syndrom kata i ofiary i syndrom sztokholmski.

– Oczywiście, wiedziały, że wiele kobiet, jeśli ich kat przyjdzie i ukorzy się, przyjmie go, uwierzy, bo go kocha, bo ma syndrom sztokholmski. Ale powiedziano mi, że każdy kolejny raz jest gorszy. W moim przypadku nie byłoby już „gorszego”, bo tym razem ledwo uszłam z życiem. Sama ▶

byłam zaskoczona, jak zadziałałam; taka dobra ciocia: nie róbcie mu nic złego. Świetnie natomiast zadziałały panie, natychmiast pobiegły do prokuratora po wyższy wyrok. Jeśli jakaś parlamentarzystka czy parlamentarzysta w Polsce chcieliby popracować nad ustawą antyprzemocową, służę konsultacjami. Hiszpania jest krajem kultury *macho*, wiele kobiet pobitych umiera. Ale to się dzieje też w Polsce, kobiety można doprowadzać do

pewne sprawy? Zamietli temat pod dywan. Cisza w eterze. On nadal ma zakaz kontaktu, ja w tym roku miałam ciężką operację – nikt, nic. To trudne psychicznie. Wyszła polska specjalność – dulskość, patriarchy. To zabi ją równie celnie jak cios kata.

Nie dziwię się kobietom, że nie mówią o przemocy domowej. Gdy powiedzą, zostają same. Ja również zostałam sama, bez pieniędzy, na wyspie, z której nie mogłam się

definiuje związki pomiędzy światem a językiem: „Granice mojego języka wskazują granice mojego świata”. Jeśli więc ktoś mnie pyta: a co ty mu zrobiłaś, to gdzie kończy się jego świat? Ma jedno wytłumaczenie: musiała coś zrobić, skoro chciał ją zabić. A moje pytanie brzmi: co musiała by zrobić kobieta, żeby mężczyzna chciał ją zabić?

Nie ma takiej sprawy, za którą facet miałby prawo zabić kobietę.

– Tak. Nawet jeśli nakryłby ją w toalecie ze swoim kumplem w sytuacji intymnej, to powinien spojrzeć jej głęboko w oczy i z kamienną twarzą wycedzić jak Bogusław Linda: nie chce mi się z tobą gadać.

Tu nie ma o czym dyskutować. Nic nie usprawiedliwia bicia słabszego.

– W społeczeństwie, które pyta, co mu zrobiłaś, nie ma mowy o ustawie antyprzemocowej.

Zapomniałaś chyba, że jest to społeczeństwo, w którym Ordo Iuris tworzy rozprawy, dlaczego Polska powinna wypowiedzieć konwencję stambulską. O czym tu mówić?

– Nawet najbliżsi pytali: co mu zrobiłaś?! Pytali o to również ludzie młodzi. To pokazuje, jak bardzo

Wiele kobiet, jeśli ich kat przyjdzie i ukorzy się, przyjmie go, uwierzy, bo go kocha, bo ma syndrom sztokholmski.

stanu... Jestem łysa. Kobiety muszą mówić o przemocy. Inaczej nie zmieni się myślenia patriarchalnego pod hasłem: ale co ty mu zrobiłaś?

Czyli najgorsza dla ciebie była reakcja otoczenia?

– Tak, sytuacja, w której się znalazłam, z której jeszcze cały czas wychodzę, uświadomiła mi, w jak bardzo patriarchalnym społeczeństwie żyjemy. Po pobiciu nie odezwała się do mnie jego rodzina, jego brat w ciągu 24 godzin zablokował telefon. Matka, ojciec, którzy chwilę wcześniej dzwonili z pytaniem, kiedy będziemy w Polsce, przez kolejny rok nie zapytali, czy potrzebuję pomocy, wsparcia; nikt nie chciał mnie o nic zapytać. Jakbym była trędowata. Nie wiem, może rodzina tak musi zareagować, żeby wyprzeć

wydostać. Okazało się, że jestem słaba psychicznie. On wypłacił mi nieco więcej, niż musiał, 500 euro. Nie wiedziałam, kiedy wrócę do Polski. Trzeba było gdzieś mieszkać, coś jeść. Wiem, jak to brzmi: jacht, Wyspy Kanaryjskie. Ale schemat jest ten sam co na Podlasiu czy Podhalu. Gdyby znajomi, Jurek i Alicja, Polacy mieszkający na Wyspach Kanaryjskich, nie pomogli obcej osobie, nie przygarnęli mnie i nie zaopiekowali się mną, poszłabym do domu samotnych kobiet, bo mam akurat w sobie

W społeczeństwie, które pyta, co mu zrobiłaś, nie ma mowy o ustawie antyprzemocowej.

życiową śmiałość. Po rozprawie siedziałam w knajpce z Jurkiem, który prowadzi pensjonat – gościł mnie dwa tygodnie – i nagle podeszło dwóch facetów z odznakami. Wylegitymowali go. Powiedzieli, że muszą znać miejsce mojego pobytu. Namierzili mnie po telefonie komórkowym. Potem pod pensjonat podjeżdżały patrole, by kontrolować, czy agresora nie ma w pobliżu. Powiedziałam im, że nie dość, że facet mi pomógł bezinteresownie, to teraz ma jeszcze kłopoty z policją. Jeździli więc wokół pensjonatu, w oddali. Czy w Polsce policja krąży wokół bloku, by chronić kobietę przed agresorem?

Wspominałaś, że powaliła cię reakcja waszych wspólnych przyjaciół.

– Byli ciekawi przebiegu zajścia, to rozumiałe, gdy nagle pojawia się policja i kajdanki. Natomiast ich pytania brzmiały właśnie: ale co ty mu zrobiłaś?! Jest taka słynna maksyma Ludwiga Wittgensteina z „Traktatu logiczno-filozoficznego”, który

patriarchy jest wrośnięty w tkankę społeczną. Druga sprawa to usprawiedliwianie tego mężczyzny. Rozmawiałam z jego przyjaciółmi z liceum, znają go niemal 40 lat. Ich komentarz to: ale on zaczął być taki dopiero przy tobie.

„Bo to zła kobieta była”.

– Odpowiedziałam: czy wiecie, że gdy miał 18 lat, kupił sobie pistolet? A o tym, że gdy miał dwadzieścia parę lat i przerwał studia, rozwał wiaty przystankowe, chodząc po ulicach po alkoholu? Nie wiecie, bo wam nie powiedział, a mnie owszem. A może jego poprzednie kobiety czegoś wam nie powiedziały?

Kobiety nie mówią o przemocy w domu. Coś każe im milczeć.

– Każe im milczeć wszystko to, o czym mówiłam.

Wyleczyłaś się chyba z tej toksycznej miłości?

– Nie, nadal go kocham...

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl



Z Galicji



Jan Widacki

Test na wschodniej granicy

Przy granicy z Białorusią mamy pierwsze ofiary śmiertelne. Ukrywając się przed naszymi służbami, w lasach i na bagnach pogranicza, w chłódzie i głodzie, umierają pierwsi „nielegalni” uchodźcy. Tak o nich pisze się u nas i mówi. Uchodźca z zasady jest „nielegalny”. Można „legalnie” być uchodźcą? Umierają z wyziębienia i wyczerpania. Dzieje się to w środku Europy, w drugiej dekadzie XXI w., pod kontrolą organów państwowych. Co to ma do rzeczy, że Łukaszenka sprowadził ich na polską granicę? Czy przez to przestali być ludźmi? Czy przestali być naszymi bliźnimi? Bliźnimi katolickiego podobno narodu!

Nie mam pretensji do funkcjonariuszy Straży Granicznej czy policji. Oni wypełniają tam swoje obowiązki. Wciąż mam nadzieję, że nie nadużywają uprawnień. Choć pewności nie mam. Wyrzucenie dziennikarzy ze strefy objętej stanem wyjątkowym powoduje, że z jednej strony nikt tym funkcjonariuszom nie patrzy na ręce, co samo z siebie stwarza pokusę do nadużywania władzy, z drugiej zaś społeczeństwo nie wie, co tam się naprawdę dzieje. Kto zna los tych 32 uchodźców, którzy koczowali na pasie ziemi niczyjej? Dalej koczują? Żyją tam jeszcze? Białorusini wpuszcili ich z powrotem do siebie? A może to nasze władze ulitowały się nad nimi i bez rozgłosu wpuszcili ich do Polski?

Litwini, którzy mieli podobny problem z uchodźcami, stworzyli na swoim terytorium obóz dla uchodźców, a wprowadzając stan wyjątkowy przy granicy, nie usuwają jednak z tego rejonu dziennikarzy.

Problemu nie rozwiążą, tym bardziej nie zlikwidują, Straż Graniczna razem z policją i wojskiem ani zwoje drutu kolczastego i stan wyjątkowy w przygranicznym pasie. Trwanie takiej sytuacji owocować będzie kolejnymi tragediami uchodźców, a u nas demoralizacją służb i całego społeczeństwa, które przyzwyczai się, że prawa człowieka mogą w pewnych warunkach nie obowiązywać. A skoro dziś mogą nie obowiązywać przy białoruskiej granicy, to dlaczego nie mogłyby nie obowiązywać gdzie indziej? Trwonimy europejski, ale przecież i polski dorobek doświadczeń II wojny światowej, do którego należą pojęcie praw człowieka i ich ochrona.

Rozwiązanie problemu wymaga skoordynowanych działań Unii Europejskiej, a może i NATO. Wymaga silnego międzynarodowego nacisku na reżim białoruski, zagrożenia kolejnymi sankcjami, może nawet międzynarodowym ściganiem karnym za zbrodnie przeciw ludzkości, których reżim Łukaszenki się dopuszcza. Niezależnie od zorganizowania nacisku międzynarodowego konieczne są zdecydowane działania naszej dyplomacji. Jeśli poufne rozmowy

nie odnoszą skutku, uznać trzeba przerzucanie uchodźców przez granicę za akt wrogi, na co odpowiedzią może być cała gama działań, aż po wydalenie z Warszawy białoruskiego ambasadora. Bez tego wszystkiego nie jest możliwe wymuszenie na Łukaszence zaprzestania jego praktyk. Z drugiej strony konieczne jest międzynarodowe humanitarne rozwiązanie problemu uchodźców, którzy już do nas dotarli.

Tymczasem, w sytuacji gdy solidarność europejska jest nam tak bardzo potrzebna, konfliktujemy się coraz bardziej z Unią. Pomijam już to, jak niesolidarnie zachowaliśmy się przed kilkoma laty w stosunku do Włoch czy Grecji, nie godząc się na przyjęcie nawet kilku tysięcy imigrantów, gdy kraje te zmagaly się z falą uchodźców przepływających Morze Śródziemne.

Sytuacja na wschodniej granicy jest trudnym testem sprawności i powagi państwa polskiego, skuteczności jego dyplomacji, jego międzynarodowej pozycji. Ale sytuacja ta, jak każda kryzysowa, jest też testem dla polskiego społeczeństwa, w tym dla polskiego Kościoła.

Sytuacja na wschodniej granicy jest też testem dla polskiego społeczeństwa, w tym dla polskiego Kościoła.

Organizacje humanitarne zostały wyrzucone z pasa objętego stanem wyjątkowym. Opozycja nie bardzo wie, co ma zrobić, zresztą od pewnego czasu zajmuje się wyłącznie sobą.

Hierarchowie kościelni, z zasady tak aktywnie wypowiadający się w sprawach polityki i zawsze, niejako z urzędu, w sprawach moralnych, dziś milczą. Okazuje się, że moralne przywództwo polskiego Kościoła znajduje się dziś gdzie indziej. Jeszcze przed wprowadzeniem stanu wyjątkowego próbował do uwięzionych na granicy uchodźców dotrzeć ks. Wojciech Lemański. Siostra Chmielewska na wiadomość o zmarłych przy granicy z głodu i wycieńczenia imigrantach napisała na Facebooku: „Jedni nie pomogli, bo nie chcieli, inni, bo im nie dano szansy. Boże, wybac nam”. Nic podobnego z ust żadnego biskupa nie padło.

I znów na łamach lewicowego tygodnika przypomnę słowa Ewangelii według św. Mateusza (Mt 25,31-46): „Bo byłem głodny, a nie daliście Mi jeść; byłem spragniony, a nie daliście Mi pić; byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie (...). Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili. I pójdą ci na mękę wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego”.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Czy Niemcy są gotowe na kanclerza mężczyznę?

Karolina Szulejewska

Córka pastora, prymuska wychowana wśród dzieci z niepełnosprawnością intelektualną. Jeszcze w 1989 r. naukowczyni w Instytucie Fizyki w Berlinie, dwa lata później ministra w rządzie Helmuta Kohla. Pierwsza kobieta piastująca urząd kanclerski i pierwsza kanclerka pochodząca ze wschodnich Niemiec. Pragmatyczna, skrupulatna, wręcz nudna. Mimo to ogrywała charyzmatycznych mówców, uderzających pięścią w stół. Odchodzi z polityki na własnych warunkach. Niezwykła droga Angeli Merkel.

W październiku 2005 r., po wyborach do Bundestagu, w studiu telewizji ZDF odbyła się tzw. runda słoniowa (*Elefantenrunde*), do której usiedli politycy wagi słoniowej, czyli same tuzy. Za największego wciąż uważał się ówczesny kanclerz Gerhard Schröder. Wyniki wyborów wskazywały jednak, że wprowadzie jednym punktem, ale wygrali chadecy z Angelą Merkel na czele. Do Schrödera przegrana zdawała się nie docierać: „Nikt poza mną nie jest w stanie stworzyć stabilnego rządu. Jestem kanclerzem i nim zostanę”. Aroganci, napompany testosteronem lider SPD ostatni raz próbował oznaczyć teren: „Myślicie, że usiądę do rozmów koalicyjnych z panią Merkel, kiedy ona opowiada, że chce zostać kanclerką? Nie wygłupiamy się”.

Z początku zdenerwowana niewielką wygraną (sondaże prognozowały pięcioprocentową przewagę) i prawie nieobecna Merkel odzyskała w końcu werwę. Opuszczone kąciki ust się uniosły, spojrzała na ostatnie podrygi rywala z pobłażaniem, lecz nie zaatakowała go bezpośrednio: „Kanclerz ma najwyraźniej pewne trudności z uznaniem, że jego partia przegrała”. W tym momencie uwierzyła, że zaraz zostanie kanclerką Niemiec i w dalszych wypowiedziach

Angela Merkel odchodzi z polityki na własnych warunkach



skupiła się już na planach stworzenia koalicji. Przewodnicząca CDU nie tylko zaistniała w męskim świecie superbohaterów, ale także objęła w nim przywództwo. Wymknęła się klasycznemu modelowi rządzenia i wprowadziła na scenę polityczną nową jakość. Być może najpotężniejsza obecnie kobieta świata zbudowała swoją pozycję pracowitością, skrupulatnością i otwartością na dialog.

Go East

Angela Kasner urodziła się w 17 lipca 1954 r. w Hamburgu. Trzy miesiące później jej ojciec, luterański pastor Horst Kasner, przyjął propozycję objęcia parafii w NRD i rodziną przeprowadziła się do Templinu – malowniczego miasteczka w północnej Brandenburgii. Złośliwi twierdzą, że był to pierwszy i ostatni raz, kiedy przyszła kanclerka płynęła pod prąd. We wschodnich Niemczech brakowało księży. Kto mógł, uciekał

na Zachód. Pastor jednak dobrowolnie wybrał NRD, gdyż sympatyzował z socjalizmem i krytycznie wypowiadał się o zachodnim materializmie. Parafia Kasnera i prowadzone przez niego centrum kształcenia duchownych mieściły się tuż obok ośrodka dla dzieci upośledzonych umysłowo. Wśród nich dorastała Angela z dwójką młodszego rodzeństwa. Kanclerka wspomina, że przyjaźniła się z dziećmi z ośrodka, czego nie mogli zrozumieć jej szkolni koledzy.

Ojciec, mimo że był zdania, że przeprowadził się do „lepszyc” Niemiec, bynajmniej nie był ślepym wyznawcą reżimu. W szkole dla pastorów toczyły się liczne dyskusje krytykujące NRD. A matka, Herlind Kasner, z zawodu nauczycielka angielskiego, nie mogła jawnie głosić swoich krytycznych wobec NRD poglądów i musiała zrezygnować z pracy.

Angela Kasner była świetną uczennicą. Najlepiej szło jej na rosyjskim i matematyce. W liceum wygrała olimpiadę z rosyjskiego. Kiedy stanęła przed wyborem kierunku studiów, chciała uniknąć dylematu, jaki miała jej matka. Po latach wspominała, że wybrała fizykę, bo także na Wschodzie 2+2 dawało 4. W 1973 r. podjęła studia na Uniwersytecie Karola Marksa w Lipsku. Rok później na wymianie studenckiej w Moskwie poznała małomównego studenta fizyki Ulricha Merkela, z którym w 1977 r. wzięła ślub kościelny. W 1978 r. skończyła studia z piątką na dyplomie. Razem z mężem przeprowadzili się do wschodniego Berlina, gdzie młoda naukowczyni podjęła pracę w Centralnym Instytucie Chemii Fizycznej i rozpoczęła studia doktoranckie. W 1982 r. Angela zostawiła męża. Przyczyny rozvodu nie są znane.

Od wczesnej młodości Merkel należała do komunistycznej Wolnej Młodzieży Niemieckiej. W przeciwieństwie do młodszego brata Markusa nie angażowała się w działania

opozycyjne. Odmówiła udziału w spotkaniach z opozycjonistami na początku lat 80. Przyszła kancerka była i pozostała bardzo ostrożną osobą. Skupiła się na pracy naukowej i w 1986 r. obroniła pracę doktorską „Badanie mechanizmu reakcji rozpadu pojedynczych wiązań i obliczenie ich stałej szybkości w oparciu o metody kwantowo-chemiczne i statystyczne”. W Centralnym Instytucie Chemii Fizycznej poznała swojego drugiego męża Joachima Sauera, wziętego chemika kwantowego. W tym czasie pełniła również funkcję sekretarza ds. agitacji i propagandy w berlińskiej Akademii Nauk. Jak twierdzi, zajmowała się dość prozaicznymi czynnościami, np. kupowaniem biletów do teatru. Gdy 9 listopada 1989 r. upadł mur berliński, Angela Merkel siedziała w saunie oddalonej od niego o ok. 500 m. Dopiero jego upadek sprawił, że zaangażowała się w politykę.

Zachodnia katapulta

Postanowiła porzucić ciepłą posadę naukowczyny i wyruszyła w nieznaną świat polityki. Jesienią 1989 r. wstąpiła do partii Demokratischer Aufbruch (Demokratyczny Zryw). Ugrupowanie powstałe pod skrzydłami Kościoła ewangelickiego szukało osoby znającej się na obsłudze komputera. I tak została rzeczniczką prasową partii. Później sprawy potoczyły się błyskawicznie. Merkel wystrzeliła niczym z katapulty i wylądowała w samym centrum wydarzeń politycznych. Z rzeczniczki prasowej partii została rzeczniczką prasową rządu Lothara de Maizière’a, ostatniego rządu NRD. Po zjednoczeniu Niemiec w październiku 1990 r. wstąpiła do CDU – Chrześcijańskiej Unii Demokratycznej. Była pracowita, bystra i żądna wiedzy. Zauważył to Helmut Kohl, który miał świetną intuicję polityczną. Gdy 36-letnia Merkel w wyborach ogólnoniemieckich dostała się do Bundestagu, ówczesny kanclerz powierzył jej tekę minister do spraw kobiet i młodzieży. Wcześniej w rządzie Kohla zasiadały tylko dwie kobiety.

Niemodny wschodni styl sprawił, że stała się obiektem drwin. Zachodni koledzy i koleżanki powątpiewali w jej kompetencje i szydzili z wyglądu. Nazywana była kopciuszkiem ze wschodu, a szyderycy twierdzili, że sama strzyże sobie włosy sekatorem. Merkel zdawała się nic sobie z tego nie robić. „Śmieszę mnie nieco te uwagi.

Przewodnicząca CDU nie tylko zaistniała w męskim świecie superbohaterów, ale i objęła w nim przywództwo.

Bo niewiele mówi o człowieku to, jakiej używa szminki. Styl mnie niespecjalnie interesuje. W polityce liczy się merytoryka”, mówiła w wywiadzie telewizyjnym. Wtedy także przyłgnęła do niej protekcyjny określenie „dziewczynka Kohla”, co również było rodzajem złośliwości, bo Merkel działała samodzielnie. Udowodniła to, dystansując się od Kohla, gdy wybuchł wokół niego skandal korupcyjny. Merkel napisała wówczas artykuł do „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, w którym ostro skrytykowała swojego protektora i wezwała go

do powiedzenia prawdy. Przez prasę, ale i wielu kolegów z własnej partii, została nazwana ojcobójczynią. Jednak posunięcie to *de facto* uratowało chadecję, pozwoliło zachować zaufanie wyborców i dało Merkel mandat do objęcia szefostwa partii w 2000 r. Angela Merkel stała się symbolem nowej chadecji – wiarygodnej, odpo-

wiedzialnej i uczciwej. W ciągu 10 lat z outsiderki, absolutnego politycznego no name’a, została przewodniczącą największej partii, dotychczas zdominowanej przez mężczyzn z zachodnich Niemiec. Stare wygi chadecji liczyły, że entuzjazm wokół Merkel szybko opadnie. Tak się nie stało.

Angie

Wraz z objęciem przywództwa chadecji Merkel zaczęła przesuwając kurs partii w stronę centrum, zwłaszcza w kwestiach obyczajowych, podkreślając jednak w wystąpieniach chrześcijańskie wartości, jakie niesie CDU. Wyciszyła konserwatywne tony chadecji, stawiając na zaostrzenie polityki migracyjnej i zwrot ku dominującej niemieckiej kulturze. Podjęła kwestie nierównowagi między kobietami i mężczyznami w swojej partii. Szanowała głos Niemców z postenerdowskich krajów związkowych, które wciąż traktowane były jak gorsze, młodsze rodzeństwo. Postulowała solidarność w wymiarze materialnym, ale i społeczno-kulturowym. Zyskała dzięki temu nowy elektorat, który dla „starej” chadecji był poza zasięgiem. Gospodarczo prezentowała jednak liberalną linię CDU.

Prasa szybko zaczęła spekulować, czy wystartuje do walki o urząd kanclerski. Jednak w 2002 r. do starcia z rządzającym wówczas Gerhardem Schröderem z SPD stanął z ramienia CSU (młodszej bawarskiej siostry CDU) Edmund Stoiber. Tak ustalili na słynnym już śniadaniu w bawarskim



Kanclerz Helmut Kohl powierzył Angeli Merkel tekę minister do spraw kobiet i młodzieży.

► Wolfratshausen. To tu przy świeżych maślanach preclach i bekonie Angela Merkel zaproponowała Stoiberowi, żeby kandydował. Zaznaczyła jednak, że zarówno w razie wygranej, jak i przegranej w wyborach chce zachować przewodnictwo partii. Stoiber przystał na te warunki. I o włos przegrał ze Schröderem. Tym samym stało się oczywiste, że następną kandydatką do urzędu będzie Merkel. W kampanii wyborczej postawiła m.in. na obietnice rozbudowy polityki socjalnej. Było to zagranie tym mądrzejsze, że w 2003 r. Schröder pod hasłem „Agenda 2010” wprowadził wiele liberalnych reform na rynku pracy. Kampania wyborcza z wiecami, na których rozbrzmiewała rzewna piosenka Rolling Stonesów „Angie”, zakończyła się sukcesem. Wyniki konkurujących CDU i SPD były tak jak w poprzednich wyborach bardzo zbliżone, tym razem jednak szala przechyliła się na korzyść CDU, w co nie mógł uwierzyć Gerhard Schröder, wykrzykując przed kamerami, że wyłącznie on jest w stanie stworzyć stabilny rząd. Tymczasem w październiku 2005 r. Angela Merkel nie tylko jako pierwsza kobieta, ale i jako pierwsza osoba z byłej NRD, a do tego najmłodsza – w wieku 51 lat – objęła urząd kanclerski. Gdy przysięgała



„Damy radę”, powiedziała kanclerz Merkel, podejmując w 2015 r. decyzję o wpuszczeniu uchodźców.

światowe zależności finansowe, konsultowała się z wieloma ekspertami. 5 października stanęła przed kamerami wraz z ministrem finansów i zapewniła obywateli, że ich lokaty bankowe są bezpieczne. Pakiet ratunkowy dla banków o wartości 480 mld euro został przepchnięty przez Bundestag. Mimo że PKB spadł w 2009 r. o 5%, nie doszło do wzrostu bezrobocia.

nastrojom społecznym i zdecydowała o dofinansowaniu greckiego rządu. Zapewniła Atenom pomoc, ale w zamian za cięcie wydatków. Wściekli Grecy porównywali ją do Hitlera, a zjednoczone Niemcy nazywali Czwartą Rzeszą.

Do rozwiązywania kryzysów Merkel używa swojej ponadprzeciętnej inteligencji. Dogłębnie studiuje fakty, godzinami rozmawia z ekspertami.

Przy podejmowaniu decyzji długo rozważa za i przeciw. Świadoma swojej imponującej wytrwałości porównała się do wielbłąda magazynującego zapasy. Przeciwnicy zarzucają jej jednak, że tylko sprawnie nawiguje od kryzysu do kryzysu i wprawdzie je zażegnuje, ale nie rozwiązuje w pełni. Merkel rzeczywiście uratowała euro, ale zabrała jej wizji i strategii dla wspólnej Europy. Bilans Starego Kontynentu po 16 latach sprawowania przez nią urzędu wypada gorzej niż przed jego objęciem. W Unii nie ma już Brytyczków, a narodowe egoizmy przesłaniają ideę wspólnoty, czego przykładem jest polityka Węgier i Polski. Stare kraje Unii Europejskiej przeżywają kryzys wspólnoty i statystycznie coraz mniej obywateli popiera członkostwo. Oczywiście nie można przypisywać całej odpowiedzialności za zły stan Unii jednej polityczce, krytycy jednak zarzucają Merkel brak temperamentu i pasji, które są potrzebne, żeby utrzymać jedność

Najpotężniejsza być może obecnie kobieta świata zbudowała swoją pozycję pracowitością, skrupulatnością i otwartością na dialog.

narodowi niemieckiemu, dodała na koniec: „Tak mi dopomóż Bóg”.

Kryzysowa Mutti

Nie wiadomo dokładnie, kiedy do Angeli Merkel przyłgnęło określenie *Mutti*, mamusia. Z pewnością miało to związek z kilkoma poważnymi kryzysami, przez które stosunkowo suchą stopą przeprowadziła Niemcy.

W 2008 r. zatrzęsł się w posadach świat finansów. 15 września upadłość ogłosił amerykański bank inwestycyjny Lehman Brothers. Na giełdach wybuchła panika. Kryzys dotarł też do Europy i Niemcy obawiali się, że stracą pieniądze ulokowane na kontach. Merkel z początku wydawała się zagubiona i bezradna. Nie wiedziała, jak głęboki może być kryzys. Godzinami studiowała

Sukces ten ugruntował reputację Merkel jako dobrej zarządczyni kryzysów. Z drugiej strony kryzys porzyżował jej plany wprowadzania neoliberalnych reform. Nie chciała nakładać na Niemców kolejnych obciążeń. Kontynuowała rozpoczętą przez Schrödera rozbudowę państwa opiekuńczego, wprowadzając płacę minimalną, emerytury macierzyńskie i zasiłki na dzieci.

Angela Merkel od początku stawiała sobie za cel wzmocnienie Unii Europejskiej. Z potęgi gospodarczej chciała utworzyć potęgę polityczną. Dlatego, gdy kryzys dotknął europejską walutę, za wszelką cenę chciała ratować euro. W czasie kryzysu finansowego w strefie euro i w Grecji przeciwstawiła się dogmatom swojej konserwatywnej, przyzwyczajonej do dyscypliny budżetowej partii, a także

kontynentu. Mówiono, że uprawia politykę raczej głową, a nie sercem.

Kancelerka wolnego świata

Przynajmniej wszystko na to wskazywało do roku 2015. Dwa lata wcześniej wygrała wybory przytłaczającą większością, jej pozycja była niezachwiana. I wtedy pojawili się uchodźcy. Dla urzędu Merkel był to niewątpliwie punkt krytyczny. Ogłaszając 4 września 2015 r. decyzję o wpuszczeniu do Niemiec uchodźców z Bliskiego Wschodu zatrzymanych w Budapeszcie, wygłosiła protestanckie w duchu zdanie, które przeszło do historii: *Wir schaffen das* (Damy radę). Damy radę, drodzy Niemcy, bo jesteśmy dobrze zorganizowani, pracowici, silni i potrafimy okazać serce. To miała na myśli wychowana w chrześcijańskim duchu córka pastora. Jej decyzja nie była wynikiem tylko chłodnej analizy. Merkel wykazała tu temperament, zamiłowanie do wolności, niechęć do murów. Krytykom z prawej, nacjonalistycznej strony sceny politycznej, straszącej zalewem uchodźców, odpowiedziała: „Jeśli w sytuacji stanu wyjątkowego nie umiemy pokazać się od przyjaznej, ludzkiej strony, to to nie jest mój kraj”. Po raz kolejny wyłamała się z dogmatów swojej partii, definiującej kraj przede wszystkim jako wspólnotę etniczną. Jednak zdecydowana część opinii publicznej popierała szefową rządu. Wielu Niemców witało na dworcach uchodźców, rozdawało żywność i ubrania, a nawet zapraszało do domów. Nowojorski magazyn „Time” ogłosił Angelę Merkel Człowiekiem Roku i nazwał „kancelerką wolnego świata”.

Jednak ta decyzja miała wysoką cenę polityczną. Od 2015 r. CDU zaczęła tracić głosy na rzecz skrajnie prawicowej i populistycznej Alternatywy dla Niemiec (AfD), która w 2017 r. dostała się do Bundestagu. Chłodna polityka Merkel coraz mniej pasowała do czasów rosnącej polaryzacji społecznej, którą zapoczątkował kryzys migracyjny. Już przed tymi wyborami polityczka sygnalizowała zmęczenie i otwarcie mówiła, że decyzja o ponownym kandydowaniu nie była łatwa. W 2017 r. chadecja zdobyła tylko 33% poparcia. Był to najniższy wynik od 1949 r. W 2018 r. Angela Merkel

zrezygnowała z przywództwa w CDU. Przewodniczącą została namaszczone przez nią Annegret Kramp-Karrenbauer, ówczesna ministra obrony, która jednak szybko zrezygnowała z tej funkcji. Od tego czasu chadecja przeżywa poważny kryzys przywództwa. Przewodniczącym partii od stycznia 2021 r. jest konserwatywny Armin Laschet, który kandyduje również na stanowisko kanclerza.

Feministka mimo woli

W 2017 r. na Women 20 Summit w Berlinie Merkel, zapytana, czy jest feministką, odpowiedziała wymijająco: „Jeśli ktoś mnie za taką uważa, nie będę protestować, ale ja nie prowadziłam walki w tej sprawie, jak choćby Alice Schwarzer. I dlatego nie chcę się stroić w cudze piórka”.



Angela Merkel interesuje się piłką nożną. Nz. podczas wygranego przez Niemcy finału Mistrzostw Świata 2014 r.

Alice Schwarzer, najbardziej znana niemiecka feministka, twierdzi, że biografia Angeli jest feminizmem w czystej postaci, gdyż Merkel udowodniła, że kobieta może zdobywać szczyty, nie zabiegając o względy mężczyzn. Mimo to Schwarzer nie określa jej mianem feministki, bo sprawując rządę, nie podejmowała ona wprost tematów związanych z równouprawnieniem kobiet. Styl bycia i rządzenia Merkel wymyka się stereotypom. Polityczka nie jest uległą samicą na wysokich obcasach, ale też nie stara się być męska. Inne feministki zarzucały jej, że nie eksponuje wystarczająco swojej kobiecości. Tymczasem tak krytkowane garsonki wzięły się

w garderobie Merkel z bardzo prozaicznego powodu – zazdrościła politykom, że na wszystkie okoliczności mogą założyć jeden garnitur, wystarczy zmienić koszulę i krawat. Od kobiet oczekiwano natomiast, że podczas każdego wystąpienia pokażą się w innej kreacji. Merkel nie chciała ciągle się przebierać. Tylko dwa razy w ciągu 16 lat pokazała się w telewizyjnym orędziu bożonarodzeniowym w połyskliwej górze i z podkreślonym makijażem okiem.

Styl rządzenia Merkel jest powściągliwy i koncyliacyjny. To zdecydowanie odróżnia ją od aroganckich, butnych, szafujących władzą autokratów, takich jak Putin, Trump, Orbán czy Bolsonaro. Abstrahując od czysto merytorycznych treści, warto zwrócić uwagę na kilka symbolicznych gestów. Wiedząc, że

Merkel boi się psów, Putin w 2007 r. na spotkanie w Soczi przyprowadził czarnego labradora. A Trump podczas wizyty w USA nie podał jej ręki i ostentacyjnie nie patrzył w jej stronę. Kanclerkę męczą porównania do Margaret Thatcher, która eleganckie torebki dzierżyła niczym berło. Merkel nie przepada za insygniami władzy. Znana jest za to z gestu palców złożonych w trójkąt. Zarówno szydercy, jak i feministki dopatrują się w nim symbolu waginy.

Po paśmie politycznych sukcesów, po wygranych przytłaczającą większością (41,5% dla CDU) wyborach w 2013 r. i kolejnych pokonanych konkurentach, pojawia się ▶

► w mediach męska narracja o Merkel jako czarnej wdowie unieszkodliwiającej przeciwników. Media spekulują, kto następny padnie ofiarą jej śmiertelnego uścisku. Czy przesuwając CDU na lewo, znów odbierze głosy socjaldemokracji? Czy może poza progiem wyborczym wylądują neoliberalne FDP albo Zieloni? Obawy te wzięły się stąd, że Merkel bywa nieprzewidywalna. „Czasem jestem liberalna, czasem konserwatywna, czasem chrześcijańsko-socjalna”, mówiła w 2009 r. Tego nie może znieść konserwatywne skrzydło CDU, którego członkowie zarzucają jej, że nie jest prawdziwą chrześcijańską demokratką i nie ma żadnych poglądów.

Polityczka mocno strzeże swojej prywatności. Żaden dziennikarz nie wdział nigdy jej prywatnego mieszkania obok Muzeum Pergamońskiego. Taką samą dyskrecją odznacza się jej mąż Joachim Sauer, skądinąd bardzo ceniony naukowiec, który aktywność zawodową dzieli między Berlin a Kalifornię. Wieść niesie, że jest mocnym kandydatem

do Nobla. Poza tym ma na koncie inne ważne osiągnięcie. Podczas 16 lat rządów Angeli Merkel obnażył wiele absurdów w standardach przyjętych dla obydwu płci. Nie musiał zadawać sobie pytania, czy po objęciu urzędu przez żonę nadal może wykonywać swój zawód. Nie pasował do damskich kącików organizowanych dla żon polityków przy okazji dużych wydarzeń politycznych. Udało mu się to, co nie udało się żadnej z jego poprzedniczek – zachował swoje dotychczasowe życie.

Oboje małżonkowie wzbudzają sympatię, bo wydają się wyborcom zwyczajni. W czasie wakacji prawie zawsze wędrują po Tyrolu, ubrani jak przeciętni niemieccy turyści. Kanclerka podziela także inną pasję Niemców – zainteresowanie piłką nożną. Mocno kibicowała niemieckiej jedenastce. Przyjaźniła się z trenerem Joachimem Löwem. Często pojawiała się na meczach, fotografowała się z piłkarzami. Na temat jej życia pozapolitycznego wiele więcej nie wiadomo.

Po 16 latach kończy się era Merkel. Odchodzi wielka postać polityki. Odchodzi jako wygrana, na własnych zasadach. Powstają o niej piosenki – niektóre pełne sarkastycznego wprowadzie, ale uwielbienia, np. „Angela Merkel – *ich bin dein Ferkel*” (Angelo Merkel, jestem twoim prosiakiem). Rekordy klikalności bije mem z pytaniem, czy Niemcy są gotowe na kanclerza mężczyznę.

Co będzie robić Merkel na politycznej emeryturze? Na pewno zamierza wypocząć. W dzieciństwie pokochała brandenbursko-meklemburski krajobraz pełen niebieskoszarych jezior. Może będzie go podziwiała z domku we wsi pod Templinem, gdzie spędza dni wolne na pieszych wędrówkach z mężem i uprawianiu ogródka? Niewykluczona jest także podróż do Rosji. Wszak Merkel marzy o tym, żeby przejechać się Koleją Transsyberyjską z Moskwy do Władywostoku.

Karolina Szulejewska jest kulturoznawczynią, dziennikarką radiową Rundfunk Berlin und Brandenburg, autorką słuchowisk. Mieszka i pracuje w Berlinie.

Kołowanie czytelnika, czyli słowo sprostowania

W artykule „Zielone kołowanie na lotniskach” (PRZEGLĄD nr 38) Andrzej J. Szymyst wylicza polskie innowacje, otwierające szanse ekologiczne i ekonomiczne dla współczesnych portów lotniczych. Gwarantujące oszczędność paliwa, znaczące ograniczenie emisji spalin oraz redukcję personelu. Według wyliczeń amerykańskich ekspertów w przypadku wielkich lotnisk oszczędności idą w setki milionów dolarów rocznie.

Od kilku lat na łamach „Tygodnika Angora” zajmuję się przywołanym przez autora tematem Aircraft Towing System, wymyślonego przez Polaka, Sławomira Malickiego. Pomysł poznałem na etapie start-upu, nagrodzonego w konkursie krajowym i zaprezentowanego na International Innovation Forum w Cambridge. Byłem świadkiem włączenia się do prac nad systemem 70 uczonych z New Product Development Center Uniwersytetu Stanowego w Oklahomie. O Oklahomie, jako centrum amerykańskiego przemysłu lotniczego, pisałem na łamach „Angory” kilka razy, przybliżając skalę i zasięg lotniczego biznesu. Przypominam te fakty, bo zaniepokoiłem się stanem wiedzy Andrzeja J. Szymysta, kwestionującego dobrze znane i publikowane fakty (zob. www.at-system.eu).

System Malickiego nie polega na ciągnięciu samolotu po drodze kołowania, ale na transportowaniu maszyny o wyłączonych silnikach, której przednie koło umieszczone jest na specjalnej, wystającej ponad wąski kanał płycie. Płyta jest elementem wózka, umieszczonego w kanale, w osi drogi kołowania,



wyposażonego w dwa silniki 200-konne. Dla systemu to moc absolutnie wystarczająca. Natomiast do transportu najcięższych, szerokokadłubowych samolotów system ATS przewiduje kombinację dwóch wózków, podobnie jak najcięższe składy pociągów wyposaża się w dwie lokomotywy. Wizualizacje i dane techniczne na stronie internetowej.

Autor kwestionuje czas budowy kanału na drodze kołowania. Tymczasem żadne lotnisko w trakcie budowy systemu ATS nie będzie wyłączone z normalnej pracy. Zamykane będą jedynie te 100-metrowe odcinki *taxi way*, na których prowadzona jest budowa. Aby zminimalizować potencjalne utrudnienia, prace będą prowadzone w nocy. Przewidywane jest ograniczenie funkcjonowania części lotniska na kilkadziesiąt godzin podczas testowania gotowego systemu.

Jak informuje spółka ATS, firma dziś w pełni amerykańska, prace są prowadzone na lotnisku w Ardmore (Oklahoma) w ścisłej współpracy z Federal Aviation Administration. Pandemia opóźniła oficjalny pokaz działania systemu, podczas którego zostaną zaprezentowane jego możliwości.

Jak informuje Sławomir Malicki, pokaz systemu ATS odbędzie się, gdy Stany Zjednoczone otworzą lotniska dla regularnego ruchu lotniczego (zapowiadane jest to na listopad). Systemem zainteresowanych jest kilkadziesiąt wielkich i średnich portów lotniczych.

Henryk Martenka, „Tygodnik Angora”



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Kłopot z Idą Fink

Dziesięć lat temu, 27 września 2011 r., zmarła Ida Fink. Znana, ceniona, tłumaczona na kilkanaście języków i nagradzana przez różne państwa, jest w świadomości szerszych kręgów polskiego społeczeństwa raczej nieobecna. Przypomnijmy zatem: urodziła się w pamiętnym z Sienkiewiczowskiej Trylogii Zbarażu, w całkowicie spolonizowanej, inteligentnej rodzinie żydowskiej Franciszki i Ludwika Landauów. Po maturze podjęła studia pianistyczne w konserwatorium we Lwowie, ale po nastaniu okupacji niemieckiej znalazła się z rodziną w zbaraskim getcie. Uciekła z siostrą, z wyrobionymi przez ojca aryjskimi papierami, i przez dwa i pół roku – w stałym zagrożeniu życia, kamuflując się, uciekając i zmieniając tożsamość – przebywała „na robotach” w Niemczech. Po wojnie wróciła do Polski, oczywiście nie do swej domowej ojczyzny, lecz na Ziemię Zachodnie: do Kłodzka, potem Wrocławia. Miała 36 lat, gdy wyemigrowała do Izraela.

Dopiero tu nauczyła się współczesnego hebrajskiego, ponieważ jej językiem ojczystym był zawsze polski. Ale gdy w roku 1971 wydała w Tel Awiwie pięć kilkunastostroniowych hebrajskojęzycznych bajek dla dzieci, mogło się zdawać, że stanie się pisarką hebrajską. Tymczasem zaraz potem, z jeszcze większą determinacją, wróciła do polszczyzny. Zmarła w 1983 r. jej mąż, inżynier Bruno Fink, nie zdążył już jej poznać w nowej roli. Zbiór napisanych po polsku opowiadań „Skrawek czasu” wydano wprawdzie w 1974 r., ale w przekładzie na hebrajski. W języku oryginału opublikował go dopiero w roku 1987 polski emigracyjny „Aneks”. Również nakładem „Aneksu” ukazała się w 1990 r. powieść wspomnieniowa „Podróż”. A opowiadania zebrane „Odptywający ogród” wydano w 2002 r. w Warszawie.

Dorobek pisarski Idy Fink jest szczupłutki: w zasadzie tylko jedna powieść i kilkadziesiąt opowiadań. W dodatku jest to dorobek monotematyczny: mówi niemal wyłącznie o Zagładzie. Ale to pisarstwo działa jak błysk, jak rażenie prądem. Lapidarność i ascetyzm opowiadań przypominają „Medaliony” Zofii Nałkowskiej. Dramatyczne zwroty akcji w „Podroży” przywodzą na myśl „Kuriera z Warszawy” Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Tyle że w tym ostatnim wypadku widać między obojgiem autorów zasadniczą różnicę: „Wasza śmierć i nasza śmierć, / To dwie inne śmierci”, pisał Władysław Szlengel, poeta polsko-żydowski.

Konstanty Gebert przypominał ostatnio w „Polityce”, że przez długie dziesięciolecia Izrael był jedynym poza Polską krajem, którego elity posługiwały się na co dzień językiem polskim. Dlaczego Polacy tego nie wykorzystali

(i nie wykorzystują) – to temat na inne rozważania. Tu zauważmy jedną tylko oczywistość: wszak w tym właśnie zjawisku – polskości Izraela – kryje się też polski fenomen Idy Fink. Choć ma on korzenie sięgające znacznie głębiej w przeszłość i nie dotyczące wyłącznie polskich Żydów. Polszczyzna była od XVI w. językiem piśmiennictwa także innych niż polski narodów Rzeczypospolitej. Można było deklamować (jak czynił to prawosławny arcybiskup Łazarz Baranowicz), że „póki świat światem, nie będzie Rusin Polakowi bratem”, ale nawet te słowa pisało się po polsku. Gdyby wydać w językach oryginalnych pisma zebrane Bohdana Chmielnickiego, okazałoby się, że znaczna ich część powstała w języku polskim.

Polszczyzna przekraczała granice etniczne. Nosimy ze sobą ten bagaż, skoro mówimy i piszemy po polsku. Dopiero w czasie zaborów Ukraińcy, Białorusini, Litwini, a także Żydzi, odkryli swe gwary ludowe, bądź języki potoczne, i podnieśli je do rangi języków pisma. Ale jedynie polscy Żydzi, piszący dotąd niemal wyłącznie po hebrajsku, zaczęli wtedy tworzyć nie tylko w swym języku mówionym, jidysz, nie tylko w języku zaborców,

Ida Fink należy do „pokolenia Kolumbów” – Baczyńskiego, Bratnego, Różewicza, Lema...

rosyjskim czy niemieckim (co i Polakom się zdarzało), lecz i po polsku. Czyli: po hebrajskim i jidysz polszczyzna stała się trzecim językiem polskiego Żydostwa. Twórczość Idy Fink dlatego dotyka intymnych pokładów polskiej świadomości, że z jednej strony stanowi świadectwo najstraszniejszej zbrodni, jaka kiedykolwiek dokonała się na ziemiach polskich, z drugiej zaś – jest ostatnim ogniwem literatury polskiej tworzonej przez narody inne niż polski.

Zgon Idy Fink przeszedł niegdyś niemal bez echa – tak jak bez echa minęła w tym roku setna rocznica jej urodzin. A przecież Fink należy do rocznika 1921, do „pokolenia Kolumbów”, z którego przyszła na świat najwcześniej, niemal jeszcze w roku 1920. Starsza o 11 dni od Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, o kilka miesięcy od Wacława Bojarskiego, Leona Zdzisława Stroińskiego, Romana Bratnego, Tadeusza Różewicza, Stanisława Lema... I oto kłopot. Czy bowiem w panteonie polskiego rocznika 1921 zmieści się Żydówka pisząca po polsku? Żydówka i Polka w jednej osobie, a rodem nie z Polski nawet, lecz z dzisiejszej Ukrainy? Tymczasem to Polska właśnie.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Andrzej Kowalski

Czeski film?

Zanosi się, że październikowe wybory wygra partia ANO premiera Babiša

Czeski film – to określenie, bardzo krzywdzące dla kinematografii naszych południowych sąsiadów, usłyszałem pierwszy raz w latach 60. od starszego kolegi, po obejrzeniu przez niego „Miłości blondynki”. Momenty były, zachwycił się, ale filmu nie zrozumiał. Podobnie jak większość krytyków i widzów w Polsce. Tym werdyktem nie przejęli się jurorzy festiwalu w Wenecji i Locarno. A reżyser Miloš Forman później, już po emigracji do USA, zdobył dwa Oscary, za „Lot nad kukułczym gniazdem” i „Amadeusza”. Zekranizował także musical „Hair”. „Skandalista Larry Flint” zdobył berlińskiego Złotego Niedźwiedzia i kolejną nominację do Oscara. Innym czeskim laureatem Oscara za reżyserię jest Jan Svěrák. Nominacji i zdobywców Oscarów w pomniejszych kategoriach liczą Czesi w tuzinach. Tyle na temat przezwyciężenia filmu czeskiego nad polskim.

Ostatnie 30 lat w realu

O ile łatwo porównać liczbę nagród, o tyle w przypadku porównywania sytuacji politycznej naszych krajów w ostatnich 30 latach robi się trudniej. W tym czasie czeską scenę polityczną zdominowały trzy osobistości: Václav Havel – prezydent Czechosłowacji/Czech w latach 1989–2003, jego następca Václav Klaus – prezydent w latach 2003–2013, i wreszcie Miloš Zeman – stojący na czele państwa od 2013 r. Dwaj ostatni to również wieloletni premierzy z ramienia swoich partii, ODS (centroprawica) i ČSSD (socjaldemokracja). Miloš Zeman, w przeciwieństwie do poprzedników wybieranych przez parlament,

został prezydentem w wyborach bezpośrednich, ma zatem znacznie większe uprawnienia niż Havel czy Klaus. Jego siła polityczna odpowiada mniej więcej sile prezydenta RP. Kadencja też trwa pięć lat, obecna upływa 8 marca 2023 r.

Najbliższe wybory do Izby Poselskiej odbędą się 8 i 9 października br. Jak zwykle głosowanie będzie trwało cały piątek i w sobotę do godz. 14. Izba Poselska to 200 posłów. Izbę wyższą stanowi 81 senatorów. Jej skład jest odnawiany w jednej trzeciej co dwa lata. Obecnie rząd tworzy partia ANO (Akce niespokojonych obywateli – Akcja niezadowolonych obywateli) premiera Andreja Babiša w koalicji z czeską partią socjaldemokratyczną. Babiš urodził się jako Słowak, po rozpadzie Czechosłowacji wybrał jednak obywatelstwo czeskie i tu dorobił się majątku, którego wartość określana jest dziś na 4 mld dol., co stawia go na pozycji najbogatszego Czecha. Przed zmianami należał do KPCz, pracował w handlu zagranicznym, jest obwiniany o współpracę ze służbami Czechosłowacji. Jego wielka firma Agrofert (głównie rolnictwo i przemysł spożywczy) znajduje się obecnie w zarządzie powierniczym. Czeski premier jest wrogiem eksportu polskiej żywności do Czech. O jakości naszych wyrobów wypowiada się – bardzo delikatnie mówiąc – niepochwlebnie.

Instytucje europejskie oskarżają go o sprzeniewierzenie funduszy na inwestycje.

Jeszcze wiosną tego roku jego założona w 2011 r. partia szła też w też z Piratami i koalicją partii liberalno-centrowych. Wszystkie miały po ok. 20% poparcia. Mniej więcej od czerwca wyniki ANO wzrosły do ok. 25-26%, a wyniki Piratów i Samorządowców oraz koalicji liberalno-centrowej (Spolu) pozostały na poziomie 20-21%. Teraz może je zmienić np. informacja, że BIS (Bezpieczeństni informační služba, odpowiednik naszej ABW) podsłuchiwała najbliższych współpracowników prezydenta Zemana, w związku z podejrzeniami o współpracę ze służbami Rosji i Chin. Faktem pozostaje, że polityka Zemana sprzyja tym dwóm mocarstwom. Jednym z podsłuchiwanym miał być Martin Nejedlý, najważniejszy doradca prezydenta, który tajnie jeździ do Moskwy i rozmawia z Rosatomem oraz administracją Putina, nie informując o tych rozmowach rządu ani mediów. A rola doradców jest tym ważniejsza, że Zeman ma poważne problemy z zaawansowaną cukrzycą. Porusza się na wózku, na początku września kolejny raz był hospitalizowany.

W tym sporze może jednak nie być wygranych, ponieważ premier obiecał prezydentowi, że wstrzyma podsłuchy, do czego nie miał prawa. BIS twierdzi, że ma na te

Partia/Koalicja	Profil polityczny	Mandaty 2021 (prognoza) +/- 2017	Średnie poparcie we wrześniu 2021	Czołowi politycy
ANO	Centrowi populiści, liberałowie	64 (-14)	27%	Andrej Babiš, Richard Brabec
Piráti + STAN	Wolnościowcy, zieloni, euroentuzjaści, samorządowcy	48 (+20)	17%	Ivan Bartoš, Olga a, Zdeněk Hřib
Spolu	Koalicja liberalno-centrowa, euroentuzjaści	51 (+9)	24%	Petr Fiala, Markéta Pekarová Adamová
SPD	Prawicowi populiści, eurosceptycy	24 (+2)	10%	Tomio Okamura, Radim Fiala
KSCM	Komuniści, eurosceptycy, antynatowscy	13 (-2)	5%	Vojtěch Filip, Marta Semelová
ČSSD	Socjaldemokracja, euroentuzjaści	0 (-15)	4%	Jan Hamáček, Roman Onderka

Źródło: Mandáty.cz



Partia premiera Andreja Babiša ma 27% poparcia i duże szanse na wygranie wyborów.

euroentuzjastyczna, gospodarczo i społecznie liberalna, uwzględni także aspiracje populistycznych wyborców ANO. Spór o Turów przysporzył wyborców partii premiera. Od wiosny jej notowania wzrosły o ok. 6 pkt, z czego zapewne 1-2 pkt to efekt skutecznej polityki wobec Polski w tym sporze.

Czeski pragmatyzm, polskie zadufanie

Różnice między Polską a Czechami najlepiej widać w sporze o Turów, który od 21 września ma nas kosztować pół miliona euro dziennie. To zabezpieczenie nałożone przez TSUE w sporze z Czechami. Jeśli nie będziemy go płacić, zostanie nam odliczone z należnych funduszy.

Czesi w sporze o kopalnię byli do bólu pragmatyczni. Chcieli go rozwiązać polubownie, dyskutować o sposobach, proponowali włączenie tego problemu do programu dwóch wizyt ich ministrów spraw zagranicznych w lutym i maju. Rząd Polski, jak często w historii, nie chciał oddać ani guzika, odda więc garnitur. My jesteśmy przekonani,

działania zezwolenie Sądu Najwyższego, a osoba, która wyjawiała fakt podsłuchu, popełniła przestępstwo. Dotychczasowy mandat szefa BIS, Michala Koudelki, został w połowie sierpnia przedłużony do wyborów. Prezydent Zeman chciałby na tym stanowisku mieć osobę bardziej przyjazną jego polityce.

Każda koalicja jest możliwa

Z badań różnych ośrodków, które regularnie publikuje strona Mandáty.cz (patrz: tabelka), wynika, że potrzebne będą minimum dwie partie lub koalicje do utworzenia stabilnego rządu. Na marginesie pozostają prawicowi populiści z SPD i komuniści. Ci jednak w historii już popierali koalicje mniejszościowe, nie biorąc w nich udziału. Językiem u wagi mogą się okazać socjaldemokraci. Jeśli przekroczą próg 5% i zdobędą kilka mandatów, mogą się okazać cennym uzupełnieniem każdej koalicji. W 1998 r., gdy w czeskiej polityce dominowały dwie formacje: ODS Václava Klause i socjaldemokraci Miloša Zemana, wybory wygrali socjaldemokraci, jednak nie uzyskali wystarczającej większości. Komuniści, również ze względu na twarde stanowisko prezydenta Havla, byli izolowani. CSSD i ODS zawarły „umowę opozycyjną”. W zamian za przewodnictwo Izby Poselskiej dla Václava Klause i pewne ustępstwa programowe ODS

zobowiązała się wstrzymać od głosu w sprawach najważniejszych dla rządu. I tak obie partie rubelka zarobiły i cnoty nie straciły. Właśnie ten pragmatyzm leży u źródeł możliwości zawarcia po tegorocznych wyborach praktycznie każdej koalicji. Premier Babiš wykluczył wprowadzenie sojuszu z Piratami i najchętniej stworzyłby rząd z koalicją liberalno-centrową (Spolu), lecz ta nie odniosła się dotychczas do tej oferty, nawet medialnie.

Spór o Turów przysporzył wyborców partii premiera. Od wiosny jej notowania wzrosły o ok. 6 pkt.

W dłuższej perspektywie dla Polski i Unii Europejskiej najkorzystniejszy byłby rząd złożony z Piratów i Samorządowców oraz koalicji liberalno-centrowej, ewentualnie z poparciem socjaldemokratów. Zakładając jednak, że wygra ANO, na co się zanoszą, prezydent zapewne powierzy zadanie tworzenia rządu dotychczasowemu premierowi, a ten jako koalicjanta wybierze Spolu, nawet za cenę ustępstw programowych i stanowisk. Z kolei krótkoterminowo taki układ otworzy możliwość szybszego załagodzenia sporu o Turów. Gdyby bowiem Piraci i Samorządowcy weszli do rządu, zażądałoby Ministerstwa Środowiska. Potencjalna koalicja ANO i Spolu będzie umiarkowanie

że byliśmy najlepsi w transformacji. Tymczasem to Czesi są mniej rozwarstwieni majątkowo, a PKB na mieszkańca, wynoszące w Czechach rocznie 20 tys. dol., jest o ok. 6 tys. dol. wyższe niż u nas. Średnia płaca jest wyższa o 200 dol. miesięcznie. Podobnie jest z pozyskiwaniem inwestycji zagranicznych czy z długością autostrad na mieszkańca. Owszem, jesteśmy więksi i mamy, co wielu Czechów docenia, piękną historię powstań. Czeski realizm jest nam obcy. Oni potrafili wywołać powstanie w Pradze 5 maja 1945 r. A i tak po trzech dniach musiała je ratować armia Własowa, która odwróciła sojusze. Dla Polaków i Czechów sojusz jest korzystny.

Marcin Ogdowski

Australia – z uwagi na geografie i demografię – musi mieć stosunkowo silną marynarkę wojenną. Wysunięte przedpole tego kraju-wyspy o relatywnie małej liczbie ludności stanowią bowiem wody Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego. Australijskie być albo nie być to uniemożliwienie nieprzyjacielowi desantu, zniszczenie jego floty inwazyjnej jeszcze na morzu. Do tego celu doskonale nadają się m.in. okręty podwodne – obecnie pod banderą Royal Australian Navy pływa ich sześć. To względnie nowoczesne jednostki, przekazane do użytku w latach 1996-2003. Wszystkie mają zostać już wkrótce zmodernizowane, należy zatem się spodziewać ich dalszej służby przez co najmniej kilkanaście lat. Ale Canberra już od dawna myślała o ich następach. Nie było więc wielkiego zaskoczenia, gdy australijski rząd ogłosił w połowie września decyzję o zakupie ośmiu okrętów. Poruszenie wśród polityków i wojskowych z kilku państw wywołał fakt, że mają to być jednostki o napędzie atomowym.

Takimi okrętami dysponują wyłącznie mocarstwa jądrowe, a i to nie wszystkie – nie ma ich np. Izrael ani Pakistan. Prym wiodą, co oczywiste, marynarki wojenne USA (71 szt.) i Rosji (31 szt.), w II lidze pozostają Wielka Brytania (11 szt.), Francja (10 szt.) i Chiny (ok. 10 szt.). Zaledwie jeden sprawny okręt pływa pod banderą Indii. Ogłoszony zakup sprawi więc, że Australia przebojem wdrze się do elitarnego grona – co istotne, nie tylko użytkownikom, ale i producentom tego rodzaju uzbrojenia. Umowa zawarta między Canberrą, Waszyngtonem i Londynem zakłada bowiem transfer technologii, dzięki czemu okręty powstaną w Australii. Oznacza to wydłużenie realizacji kontraktu – zdaniem niektórych ekspertów aż o dekadę. W praktyce zatem pierwsze okręty wyjdą w morze w połowie lat 30. To dość odległa perspektywa, ale mówimy o jednostkach, których eksploatacja potrwa co najmniej 40 lat. Stąd bierze się zawrotny koszt całego przedsięwzięcia, sięgający 50 mld dol.

Atomowe ambicje wyspiarzy

Australijska marynarka potrzebuje nowych okrętów do zwiększenia

Anglosasi kontra Chiny

Kolejna odsłona pacyficznego wyścigu zbrojeń



Australia modernizuje flotę okrętów podwodnych i zamierza zakupić jednostki o napędzie atomowym.

efektywności. Tradycyjny napęd dieslowsko-elektryczny pozwala użytkowanym obecnie jednostkom na 11-dniowe patrole. W teorii reaktory jądrowe stworzą możliwość odbywania rejsów nieograniczonych w czasie. Realnie, biorąc pod uwagę zmęczenie załogi i zużycie podzespołów, możliwe staną się nawet dwupółmiesięczne wyprawy, bez konieczności pobierania paliwa, okrętami szybszymi, cichszymi i wytrzymałymi. Czy lepiej uzbrojonymi? Zapewne tak, choć trudno na razie o szczegóły. Zapowiedziany zakup nie łamie układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej – kraje nieposiadające takich głowic mogą dysponować okrętami o napędzie atomowym. Niemniej jednak w australijskiej klasie politycznej nie brakuje zwolenników radykalnego zwiększenia potencjału odstraszania. W myśl tej idei okręty powinny móc wystrzeliwać pociski manewrujące z ładunkami jądrowymi.

Samo posiadanie „nośników” nie jest jednoznaczne ze statusem atomowego mocarstwa. Niemieccy piloci od dekad szkolą się w zrzucaniu „atomówek”, choć RFN takiej broni

nie ma. Program „nuklearnej partyzypacji” służy zwiększeniu puli wyszkolonych załóg będących w dyspozycji NATO – i mimo kontrowersji jest kontynuowany. Podobnie należy spojrzeć na australijskie zabiegi, tym ważniej, że okręty z opcją pocisków atomowych to niejedyny pomysł wpływowych polityków. W Australii coraz częściej mówi się też o nabyciu amerykańskich samolotów B-21. To bombowce strategiczne (nadal w fazie testów) o zasięgu międzykontynentalnym. Oba te „nośniki” – choć po prawdzie także każdy z osobna – wyposażone w bomby i pociski jądrowe, zasłużyłyby na miano game changerów w południowo-wschodniej Azji i Oceanii. Nic więc dziwnego, że zapowiedź Canberrę dotycząca kupna okrętów wzburzyła Pekin. Chińska propaganda określiła te plany jako wrogie i wymierzone w interesy Państwa Środka.

Eliminacja dużego gracza

Bo takimi w istocie są. Kwestia okrętów to jedynie fragment porozumienia, zawartego 15 września

przez Australię, Wielką Brytanię i USA. Nosi ono nazwę AUKUS (od ang. Australia, United Kingdom and the United States) i zakłada działania zwiększające zachodnią obecność wojskową na Pacyfiku. Poza rozbudową „zdolności podwodnych” członków paktu umowa przewiduje współpracę w zakresie cyberwojny oraz uderzeń dalekiego zasięgu. Są w niej też zapisy dotyczące utrzymywania i rozwoju „infrastruktury obrony jądrowej”. Wspólne oświadczenie australijskiego premiera Scotta Morrisona, brytyjskiego szefa rządu Borisa Johnsona i prezydenta USA Joeo Bidena nie wymieniło z nazwy żadnego kraju jako przeciwnika. Brudną robotę wykonali współpracownicy polityków, którzy już bez ogródek zapewniali media, że AUKUS ma przeciwdziałać wpływom Chin w obszarze Indo-Pacyfiku. Chiński ekspansjonizm od dawna definiowany jest jako zagrożenie dla Waszyngtonu i, w mniejszej skali, Londynu. Canberra przez lata lawirowała między Pekinem a Zachodem. Chiny są największym partnerem gospodarczym Australii, na kontynencie mieszka 650 tys. Australijczyków chińskiego pochodzenia. Jednoznaczny kierunek na anglosaską wspólnotę oznacza, że rząd Australii przedłożył bezpieczeństwo nad ekonomię.

Działą przy tym bezkompromisowo. Zapowiedź kupna ośmiu atomowych okrętów podwodnych wywołała szok w Paryżu. Australijczycy bowiem zerwali umowę z Francuzami, w 2019 r. nazwaną „militarnym kontraktem stulecia”. Opiewał on niemal na 60 mld euro i przewidywał zbudowanie 12 tradycyjnie napędzanych okrętów podwodnych. Francuzi mają odpowiednie *know-how* i byliby w stanie zaproponować budowę jednostek wyposażonych w napęd jądrowy. Canberra wybrała jednak opcję amerykańsko-brytyjską, o czym Paryż dowiedział się tuż przed podpisaniem paktu AUKUS. I właśnie ów styl zerwania umowy szczególnie ubódł prezydenta Macrona. Do tego stopnia, że Paryż odwołał „na konsultacje” ambasadorów w USA i Australii. Nad Sekwaną mówi się wręcz o „zdradzie Waszyngtonu” i o dramatycznym schłodzeniu relacji Francji z USA. Wynika to z faktu,

że nie chodzi „tylko” o okręty i utracone miliardy zysków.

Europejska potrzeba jedności

Francja, jakkolwiek mocno osłabiona po II wojnie światowej, nigdy nie wyrzekła się mocarstwowych ambicji. Konsekwentnie budowała potęgę armii, dużą wagę przykładając do możliwości ekspedycyjnych. W efekcie francuskie siły zbrojne to dziś niekwestionowany europejski lider, zdolny do operowania w najdalszych zakątkach globu. Z uwagi na ekonomiczne znaczenie Indo-Pacyfiku oraz historyczne uwarunkowania,

Rząd Australii przedłożył bezpieczeństwo nad ekonomię.

francuska „projekcja siły” dociera i tam. Gigantyczna umowa z Canberą wpisywała się w te działania, stwarzając naturalne podglebie dla ściślejszych relacji polityczno-wojskowych. Teraz – w ocenie Paryża – wszystko trafił szlag. Na razie nie wiadomo, co zrobi prezydent Macron. Czy przekłnie żabę i przyłączy się do Anglosasów? Poszuka innych sojuszników w regionie? A może zdecyduje się na samodzielną konfrontację z Chinami? Niezależnie od wybranej opcji już dziś nie brakuje opinii, że policzek wymierzony Francuzom będzie rezonował także w Europie. Paryż utwierdził się w przekonaniu, że USA zdolne są zrobić świństwo zaprzyjaźnionemu państwu. I że przenoszą uwagę na Daleki Wschód, przygotowując się do wojny z Chinami. „Europa potrzebuje większej jedności i własnej armii, bo zdani jesteśmy sami na siebie”, mogą od teraz jeszcze mocniej przekonywać francuscy politycy.

Możliwe są też inne skutki australijskiej wołty. Po pierwsze, Rosja i Chiny mogą pójść drogą USA i Wielkiej Brytanii – i podzielić się własnymi technologiami, do tej pory zastrzeżonymi dla atomowych mocarstw. Po drugie, antychiński sojusz łączący Amerykę również z Japonią i Koreą Południową. Oba kraje dysponują potężniejszymi budżetami obronnymi niż Australia – szybciej i łatwiej byłoby w stanie opanować tajniki budowy atomowych okrętów podwodnych. Ich jednak Waszyngton nie wybrał do współpracy. Dlaczego? Odpowiedź znajdziemy

na mapie – oba kraje leżą za blisko Chin, nie potrzebują jednostek dalekiego zasięgu o napędzie jądrowym. Ale w obu rośnie liczba zwolenników posiadania „atomowego asa w rękawie”. W obu istnieje też zaplecze naukowo-techniczne, zdolne w ciągu kilku czy kilkunastu lat wyprodukować własną broń jądrową. Atomowe ambicje Australii i pierwszy krok w ich kierunku (zakup okrętów) mogą sprawić, że Koreańczycy i Japończycy poczną się zmuszeni do podkręcenia wyścigu zbrojeń. Canberę, Seul i Tokio łączą przyjazne relacje, ale sojusze się zmieniają, a współczesne systemy uzbrojenia

służą przez długie dekady. I w Japonii, i w Korei Południowej stacjonują amerykańskie wojska – jako gwarant bezpieczeństwa przed zakusami Korei Północnej i Chin. Problem w tym, że sojusznicza wiarygodność USA mocno w ostatnim czasie ucierpiała. A to sprzyja myśleniu o konieczności samodzielnego poradzenia sobie w razie problemów. Koreańczykom będzie łatwiej – Seul właśnie ujawnił, że dysponuje pociskami balistycznymi wystrzeliwanymi z okrętów podwodnych. Na razie przenoszą one główce konwencjonalne...

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl





Premier wiecznie niepełny

Justin Trudeau znów nie zdobył większości w parlamencie, stracił zaś sporo na wiarygodności

Mateusz Mazzini

To była jedna z najdziwniejszych kampanii wyborczych w historii Kanady. Głównie dlatego, że cały czas przewijało się przez nią zasadnicze pytanie – dlaczego w ogóle rozpisano te wybory? Przekonującej odpowiedzi nie był w stanie udzielić nawet ten, który podjął decyzję o przedterminowej elekcji, czyli Justin Trudeau. Kiedy w połowie sierpnia niespodziewanie zaprosił Kanadyjczyków do urn, interpretacja tego ruchu wydawała się jeszcze w miarę łatwa. Partia Liberalna, która w poprzednich wyborach, w 2019 r., nie zdobyła samodzielnej większości, miała coraz większe problemy ze skutecznym sprawowaniem władzy. Kierowanie rządem mniejszościowym i szukanie poparcia – 13 brakujących głosów – dla kolejnych politycznych projektów było za każdym razem trudniejsze. Ponadto wyczerpywał się już zawarty na wiosnę „covidowy konsensus” – nieformalne porozumienie największych partii w parlamencie, zakładające względną zgodę co do kierunku zarządzania pandemicznym kryzysem. To dzięki niemu Kanada relatywnie dobrze znosiła czas zarazy,

będąc w pewnym momencie nawet globalnym liderem w kontraktowaniu szczepionek na mieszkańca.

Wszystko to jednak przeszło do historii, bo choć pandemia jeszcze w kraju nie wygasła, a wariant Delta niebezpiecznie zwiększa hospitalizacje zwłaszcza na zachodzie Kanady, przeciwnicy premiera nie zamierzali utrzymywać rozejmu w nieskończoność. Do ofensywy przeszła zwłaszcza Partia Konserwatywna, w którą nowe życie tchnął Erin O'Toole. 48-latek z niewielkim doświadczeniem w polityce najwyższego szczebla, który wcześniej przez 12 lat służył w kanadyjskiej marynarce, skąd przeniósł

a zarazem zdecydował się na odważne posunięcia światopoglądowe, np. stwierdzenie, że konserwatyści nie będą już jednoznacznie odrzucać pomysłu podatku węglowego.

Przez ostatnie cztery tygodnie wiele wskazywało, że to ryzyko mu się opłaci. Stał więc w opozycji do Trudeau, który, wbrew nadziejom, że w ciągu miesiąca od decyzji o wyborach poparcie dla jego partii wzrośnie, szybko znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Niemal przez całą kampanię liberałowie i konserwatyści szli łeb w łeb, oscylując wokół 30% poparcia. Nie mogli więc ignorować tego, co działo się w tle, a tam przez ostatnie

Justin Trudeau rozpiął przedterminowe wybory po nic. Ponownie będzie szefem rządu mniejszościowego.

się do pracy jako prawnik korporacyjny, stworzył jeden z najambitniejszych programów wyborczych w najnowszej historii Kanady. Skutecznie mobilizował swoich wyborców tradycyjnymi, prowolnościowymi postulatami, takimi jak odwołanie decyzji Trudeau o zakazie sprzedaży cywilom ponad 150 typów automatycznej i półautomatycznej broni palnej,

miesiąc doszło do ciekawych ruchów. Rosta popularność lewicowo-separatystycznego Bloc Québécois, topniało natomiast poparcie dla Zielonych. Szum, choć głównie medialny, robiła nowo powstała Kanadyjska Partia Ludowa, założona przez byłego ministra w rządzie Partii Konserwatywnej Maxa Berniera. Wpisujący się w nurt globalnego populizmu

Przeciwnicy premiera Justina Trudeau nie zamierzali utrzymywać rozejmu. Do ofensywy przeszła zwłaszcza Partia Konserwatywna, w którą nowe życie tchnął Erin O'Toole.

Bernier, garściami czerpiący z kampanijnych scenariuszy Donalda Trumpa (z głównym sloganem wyborczym, „Canada First”, na czele), swój program opierał na skrajnym liberalizmie gospodarczym i wolności osobistej, a popularność zyskiwał zwłaszcza wśród antyszczepionkowców i przeciwników restrykcji pandemicznych.

Ostatecznie z wielkiej chmury spadł mały deszcz, bo wybory nie przyniosły nikomu oczekiwanych rezultatów. Liberałowie znów wygrali, ale znów nie mają większości. Mało tego – 158 mandatów, które będą kontrolować w nowym parlamencie, to niemal dokładna powtórka z poprzedniego rozdania, kiedy partia miała ich 157. Innymi słowy, wyniki ubiegłotygodniowego głosowania jednoznacznie potwierdziły tezę, która przez kanadyjskie media i opinię publiczną przetaczała się od ogłoszenia elekcji: Justin Trudeau rozpiął przedterminowe wybory kompletnie po nic. Ponownie będzie szefem rządu mniejszościowego, szukając poparcia dla pojedynczych ustaw wśród partii opozycyjnych. I choć na papierze układ sił w parlamencie niespecjalnie się zmienia, tym razem premierowi może być jeszcze trudniej rządzić, bo problemów przybywa, a chętnych do wsparcia jego projektów – wręcz przeciwnie.

W ostatnich miesiącach na liberałów spadła fala krytyki, m.in. za niewystarczającą przejrzystość pandemicznych zakupów i brak zdecydowanych ruchów w polityce finansowej. Chociaż kanadyjska gospodarka prawie w całości odbiła się już po zapaści wywołanej zeszłorocznym lockdownem, przeciwnicy Trudeau uważają, że mogłaby rozwijać się szybciej. Premierowi dostało się też za kilka wyraźnych błędów w polityce zagranicznej – konserwatyści zarzucali mu opieszałość w organizowaniu akcji ratunkowych w Afganistanie, a fakt, że przyspieszone wybory ogłoszono dokładnie w dniu przejścia Kabulu przez talibów, uznano za sporą wpadkę wizerunkową. Wreszcie wielokrotnie obrywało mu się za zbyt koncyliacyjną politykę wobec Chin i brak

sprawczości w dyplomacji z Pekinem – nie udało mu się ocalić obywatela Kanady, Roberta Lloyda Schellenberga, przed wyrokiem śmierci za przemyt narkotyków, co było odpowiedzią Chin na aresztowanie w Kanadzie dyrektora finansowej koncernu Huawei, Meng Wanzhou.

Konserwatyści, choć zdobyli 119 mandatów (o dwa mniej niż dwa lata wcześniej), również nie mogą być do końca zadowoleni. Głosy na nich oddało matematycznie najwięcej wyborców, ale całkowite zwycięstwo uniemożliwiła im ordynacja. O'Toole pozostanie liderem partii na kolejną kadencję i zapowiada twarzą opozycję wobec rządu Trudeau, lecz nie będzie mu łatwo utrzymać entuzjazm, który wygenerował wokół siebie w czasie kampanii. Będzie więc zapewne kontynuował ostrą retorykę, co zresztą zrobił już w czasie wieczoru wyborczego. Kiedy ogłoszono wyniki *exit poll*, lider konserwatystów niemal od razu skrytykował Trudeau za rozrzutność i nieumiejętne zarządzanie publicznymi pieniędzmi. Organizacja wyborów kosztowała budżet federalny 612 mln dol. kanadyjskich, a głosowanie utrzymało z małymi wyjątkami układ sił, który trwa od dwóch lat.

Kanadyjczycy jasno dali do zrozumienia, że oczekują przywódcy wyrazistego politycznie, a nie tylko wizerunkowo.

Tezy, że miało ono jakikolwiek sens, nie da się obronić w żaden sposób. Być może dlatego wśród liberałów nikt nie próbuje tego robić, choć sam Trudeau zaklina rzeczywistość, usiłując przekonać zwłaszcza własnych wyborców, że sprawy mają się dla nich lepiej niż przed rozwiązaniem poprzedniego parlamentu. W przemówieniu w czasie nocy wyborczej powiedział, że Kanadyjczycy dali jemu i jego partii „wyraźny mandat” do rządzenia krajem i wyprowadzenia społeczeństwa z ciężkiego okresu pandemii. Jeśli naprawdę wierzy we własne słowa, musi spojrzeć do słownika, bo niezdolność uzyskania parlamentarnej większości drugi raz w ciągu dwóch lat naprawdę trudno nazwać „wyraźnym mandatem do rządu”.

Justin Trudeau stanowisko premiera po raz pierwszy obejmował w 2015 r. – w glorii i chwale złotego

dziecka tamtejszej polityki, które błyskawicznie zostało wyniesione do pozycji nowej nadziei światowego liberalizmu. Serca wyborców podbiła energią, skracaniem dystansu, a magnetyzm jego osobowości dodatkowo podkręcało pochodzenie. Trudeau junior to dziedzic politycznej dynastii, syn lubianego i zasłużonego polityka, Pierre'a, sprawującego funkcję premiera łącznie przez 15 lat. Kiedy młodszy Trudeau został wybrany, niektórzy posuwali się nawet do analogii między Justinem i Pierre'em a klanem Kennedych, widząc w Justinie wręcz reinkarnację Johna Fitzgeralda. Pierwsze lata były pasmem sukcesów, zwłaszcza wizerunkowych, ale dziś można stwierdzić, że to paliwo wyczerpało się już kompletnie. Widać to było zwłaszcza w zakończonych kampanii. Głównym pomysłem premiera na utrzymanie starych i zyskanie nowych wyborców było przekonanie ich, że opozycja zabierze im zdobycze, zwłaszcza te kulturowe, ostatnich sześciu lat. Innymi słowy, atutem Trudeau miało być to, że jest Trudeau, a jego przeciwnicy – nie.

Kanadyjczykom to nie wystarczyło. Jasno dali do zrozumienia, że oczekują przywódcy wyrazistego politycznie, a nie tylko wizerunkowo.

Trudeau zawiódł przede wszystkim na froncie klimatycznym – badania pokazują, że podejście do środowiska naturalnego jest od dawna kluczowym tematem dla większości wyborców w Kanadzie, natomiast jego rząd przez dwie kadencje nie zrobił w tym zakresie prawie nic poza gestami symbolicznymi, takimi jak wyeliminowanie plastikowych siatek w sklepach. Wciąż brakuje też zdecydowanych gestów pojednania i przeprosin wobec *first nations*, rdzennych mieszkańców Kanady, przez lata ciemnionych przez Kościół katolicki za jawnym przyzwoleniem władz świeckich. Przed Justinem Trudeau trzecia kadencja – i rosnąca prawie z dnia na dzień lista problemów. Do ich rozwiązania i wygrania ewentualnej czwartej kadencji potrzeba będzie czegoś więcej niż szeroki uśmiech i dobre nazwisko.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Niebezpieczne zmiany w programie Rodzina 500+

Pracownicy ośrodków pomocy społecznej stracą pracę,
a pracownikom ZUS przybędzie zadań bez dodatkowej zapłaty

Katarzyna Duda

17 września 2021 r. Sejm uchwalił nowelizację ustawy o programie Rodzina 500+. Oznacza to przede wszystkim zmianę instytucji odpowiedzialnej za obsługę programu. Zmienione przepisy przewidują, że będzie się tym zajmował Zakład Ubezpieczeń Społecznych, a nie – jak obecnie – ośrodki pomocy społecznej, które realizują to zadanie, odkąd rządowy program wszedł w życie w 2016 r. Ustawa stanowi ponadto, że wnioski o przyznanie świadczenia będzie można składać tylko przez internet, a pieniądze będą wypłacane jedynie bezgotówkowo na rachunek bankowy. Zarówno pracownicy dotychczas odpowiedzialni za realizację programu, jak i osoby pobierające świadczenie mają powody do obaw.

Zdaniem autorów projektu zmiany nie wpłyną na rynek pracy, co należy podać w wątpliwość. Realizacją zadania w gminach zajmuje się obecnie ok. 12 tys. pracowników i części z nich w wyniku zmiany instytucji obsługującej program może grozić rozwiązanie stosunku pracy. Potwierdzają to dane pozyskane przez Polską Federację Związkową Pracowników Socjalnych i Pomocy Społecznej, która przeprowadziła ankietę w trzech losowo wybranych województwach, na terenie województwa lubuskiego, podlaskiego i śląskiego, w celu sprawdzenia, ilu pracowników obsługujących program Rodzina 500+ może stracić pracę w wyniku planowanej zmiany. Z odpowiedzi uzyskanych ze 155 miejsc wynika, że tylko w 35 instytucjach (22%!) nie dojdzie do żadnych zwolnień. Natomiast w 109 instytucjach, które zapewniły o konieczności redukcji etatów, zwolnienia grożą łącznie co najmniej 257 pracownikom. W 11 jednostkach nie podjęto jeszcze decyzji odnośnie do losów co najmniej 56 pracowników. W świetle tych informacji Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych sprzeciwiało się planowanej przez rząd nowelizacji ustawy i wystawiło krytyczną opinię projektu. Ponadto 16 września przed siedzibą Częstochowskiego Centrum Świadczeń, które do tej pory zajmowało się obsługą programu na terenie miasta, zorganizowało krajową konferencję prasową z udziałem samorządowców, którzy również sprzeciwiają się likwidacji miejsc pracy.

Z drugiej strony rząd planuje odebranie ośrodkom pomocy społecznej i powierzenie Zakładowi Ubezpieczeń Społecznych realizacji obsługi świadczenia



wychowawczego z programu Rodzina 500+, co spowoduje obciążenie pracowników ZUS kolejnymi zadaniami. Podobnie jak w latach ubiegłych w roku bieżącym Zakładowi jako instytucji zaufania publicznego powierzono do realizacji znaczną część priorytetowych zadań państwa. Ponadto pracownicy ZUS w czasie pandemii realizowali dodatkowe zadania w postaci tarcz

antykryzysowych. Problem w tym, że powierzanie im nowych zadań nie jest rekompensowane odpowiednią podwyżką wynagrodzeń, wszystkie zadania nakładane na pracowników w czasie pandemii były wykonywane bez jakiegokolwiek dodatkowej rekompensaty – w ramach posiadanych własnych środków, a jednocześnie przy zmniejszającym się stanie zatrudnienia. Doprowadziło to do pracy w soboty i niedziele bez zachowania norm przewidzianych na odpoczynek. Zarówno dotychczasowe nakładanie na pracowników ZUS kolejnych obowiązków bez powiększania wynagrodzenia, jak i te, które mogą wystąpić w związku z nowelizacją ustawy o programie Rodzina 500+, należy ocenić jednoznacznie negatywnie.

Wypłatą świadczenia Rodzina 500+ w gminach zajmuje się ok. 12 tys. pracowników.

Uzasadniony jest również niepokój osób pobierających świadczenie. Autorzy projektu nie przedstawili żadnych danych dotyczących struktury świadczeniobiorców programu Rodzina 500+, ale w uzasadnieniu stwierdzają, że „osoby pobierające świadczenie wychowawcze stanowią grupę aktywną zawodowo, posługującą się urządzeniami mobilnymi, osoby wykluczone cyfrowo stanowią niewielki odsetek”. Marginalizują tym samym problem wykluczenia cyfrowego części społeczeństwa, mimo że w innym miejscu wskazują, że w okresie zasiłkowym 2019/2020 31,5% wszystkich wniosków o świadczenie wychowawcze zostało złożonych w formie papierowej. Dane te świadczą o potrzebie umożliwienia składania wniosku o świadczenie tradycyjną metodą.

OPZZ nie zamierza odpuścić i ponownie zwróci się do rządu z wnioskiem o odstąpienie od planów wprowadzenia niekorzystnych dla pracowników i świadczeniobiorców rozwiązań. Poruszymy ten temat także na forum Rady Dialogu Społecznego.

Katarzyna Duda jest specjalistką ds. polityki społecznej w Centrali OPZZ

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Frunący wieloryb

Niedawno PRZEGŁĄD pisał o cyberuzależnieniach. Mamy z tym problem, moi synowie, młodszy Franio i starszy Antoś, uzależnili się od gier komputerowych i od włożenia w jamy różnych youtube'ów. Problem jest powszechny, globalny, ale to kiepska pociecha, chociaż zawsze jakaś. Gry w umiarkowanej ilości mogą być rozwijające, problemem jest skala, poświęcanie im każdej wolnej chwili. Gdy była szkoła online, wedle badań większość uczniów w czasie lekcji potajemnie grała. Gry wciągają jak narkotyki, są niezwykle atrakcyjne, przy nich świat rzeczywisty wydaje się nudny. Uczyłem Frania grać w szachy, ale szachy przy grach są nudne, nudne są książki, a sport mało atrakcyjny.

Giną kontakty towarzyskie, inne niż te w sieci. Przy próbie zabierania sprzętu dzieci robią się agresywne. Problem taki, że to nie tylko komputer, ale też komórka, tablet i konsola. Prowadziłem kiedyś w Halo Radiu

audycję na ten temat, zaprosiłem profesora J., specjalistę od cyberuzależnień, umówiliśmy się z nim, że pojedziemy z dziećmi na konsultację, niestety dosyć daleko za Warszawą. Dyplomatycznie powiadomiłem Antka, dokąd będziemy jechać. Oświadczył, że nie wsiądzie do samochodu, nie ma mowy. Jak go zmusić? Jest już wyższy ode mnie o głowę. Odwołuję wizytę, psycholog mówi: „Czuję, że jest pan miękki ojcem”. Potwierdzam, ale dzięki temu jestem czułym ojcem, twardzi ojcowie nie są czuli, nie potrafią. Ale rozumiem, że ta uczuciowa zaleta bywa czasami wadą. Dzieci powinny znać reguły gry i granice. Przegapiliśmy moment, gdy były małe, wtedy trzeba było im nałożyć gorset. Teraz to bardzo trudne.

Skończyłem 71 lat. Jaki wstyd. Za niecałe 10 lat, jeśli dożyję, będę miał 80. A przecież 10 lat temu było bardzo niedawno, niemal wczoraj. Czyli to będzie jutro. Jak przeżyć te 10 lat, jeśli tyle jeszcze będzie mi dane, godnie i z uśmiechem, jeśli już teraz, gdy zbliża się jesień, jestem na cienkiej czerwonej linii między mrokiem a cieniem? I tyle bied domowych.

Spotkanie autorskie w księgarni na Żoliborzu, o dumnej nazwie Najlepsza. Prowadzi Justyna Sobolewska, salka jest pełna, ale gdyby nie znajomi, byłoby pewnie ze trzy osoby. Gdyby nie znajomi krytycy piszący nieliczne recenzje moich książek, prawie by ich nie było. Między istnieniem literackim a nieistnieniem cienka granica. Znajoma daje mi swoją powieść, debiutuje więc w wieku 70 lat. Zdarza się. Książka jest, jak się zdaje, niemal

autobiograficzna, takie książki, nawet amatorów, mogą być ciekawe. Napisałem amatorów, ale w tej dziedzinie określenia zawodowców i amator są niejasne.

Nie mamy czasu ani energii na nasz ogród i począł nas pożerać, szczególnie dzikie wino jest drapieżne, a drzewa iglaste, które sadiłem bezmyślnie, nagle urosły, ich gałęzie wyciągają ku nam klujące dłonie. Nadzieją stał się Maciej ogrodnik – tak się przedstawia. Na co dzień pracuje jako portier w Instytucie Kardiologii. Już na pierwszy rzut oka jest osobliwy, wygląd, głos, zachowanie, zna biernie wiele języków, studiuje je i studiuje Biblię. Ma genialną pamięć, nie znając wcześniej mojej żony, zapamiętał jej twarz, gdy dwa lata temu przechodziła obok jego portierni, odwiedzając znajomą w szpitalu. Jest baptystą. I dba o ogród pobliskiego kościółka baptystów. Przynosi mi broszurki o tej religii. Gdybym miał religijny gen, a nie mam, byłbym pewnie baptystą. O ileż to bardziej sensowne, racjonalne i czułe niż katolicyzm.

Minister Czarnek w bredzeniu jest niezastąpiony. Mówił: „Bardzo chętnie bym się przychylił do tej rezolucji [Parlamentu Europejskiego w sprawie małżeństw jedнопłciowych], gdyby istniało coś takiego w przyrodzie jak małżeństwa jedнопłciowe. (...) coś takiego w przyrodzie jak małżeństwa jedнопłciowe nie istnieje”. Barbara Nowacka tak to skomentowała: „Pan Czarnek to żywy dowód, że dyplom i tytuł może mieć każdy. Że ministrem można zrobić każdego. I że głupich nie sieją, choć w przyrodzie występują. W przeciwieństwie do małżeństw”. Ciągłe to gadanie, że to nienaturalne. Miałem przyjaciela, filozofa Jurka Wociala, razem w roku '77 wchodziliśmy w ruch opozycyjny, był bardzo mi bliski, gdy nagle w latach 80. popadł w głęboką wiarę religijną i stał się prawniczo-narodowy. Przestaliśmy się dogadywać. Pamiętam, jak w latach 90. braliśmy udział w jakimś programie telewizyjnym, gdzie zaatakował gejów. Po programie staliśmy na parkingu przed gmachem telewizji; zapytałem: „Dlaczego nie pozwalasz odmiennym ludziom żyć, jak chcą, dlaczego geje nie mają łączyć się w związkach małżeńskich?”. „Bo to nienaturalne”, odparł. W tym momencie nad nami przeleciał samolot, jak frunący wielki wieloryb, szykując się do lądowania na pobliskim Okęciu. „A czy to jest naturalne?”, zapytałem. Zamilkł bezradny.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Rady wojewódzkie OPZZ w walce o godną pracę

w ramach projektu współfinansowanego przez Królestwo Norwegii

Godna praca oraz pełne i produktywne zatrudnienie są zarówno uniwersalnymi problemami globalnymi, jak i kluczowymi celami do osiągnięcia w ramach Agendy ONZ na rzecz Zrównoważonego Rozwoju na 2030 r. Definicja produktywnego zatrudnienia podkreśla ekonomiczny wymiar pracy, a pojęcie godnej pracy obejmuje jej aspekt społeczny i psychologiczny. W realizację tych założeń wpisuje się projekt „Ensuring Decent Working Conditions in Poland”, którego liderem jest Rada OPZZ Województwa Dolnośląskiego i który jest realizowany dzięki wsparciu Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021 w ramach programu „Dialog społeczny – godna praca”. Mając na uwadze, że na tle wielu krajów europejskich, a w szczególności Norwegii, polski pracownik częściej boryka się z problemami niegodziwych warunków pracy, a tworzenie godnych miejsc pracy ma kluczowe znaczenie w eliminacji ubóstwa i stanowi podstawę sprawiedliwej, integracyjnej i trwałej transformacji gospodarczej, za nadrzędny cel projektu postawiono aktywne działanie na rzecz ogólnej poprawy warunków zatrudnienia w Polsce. Realizowany projekt zakłada ustanowienie sieci współpracy między liderami związków zawodowych, organizacji pozarządowych i społeczności lokalnych do wymiany najlepszych



praktyk w zakresie gwarantowania godnych warunków pracy. Wiedza jest gromadzona z wykorzystaniem pracy polskich ekspertów – specjalistów z zakresu prawa pracy i dialogu społecznego oraz dzięki transferowi najlepszych praktyk i doświadczeń z norweskich związków zawodowych.

W ramach dotychczasowych spotkań omówiono ograniczenia w zakresie realizacji prawa do godnej pracy w Polsce oraz przygotowano odpowiedzi na te ograniczenia. Został opracowany „Program godnej pracy – zalecenia” (opzz-dialogspoleczny.pl), który jest swoistym katalogiem możliwych działań, niezbędnych do przeprowadzenia w obszarze prawa, praktyki oraz świadomości i kultury społecznej. W okresie od 26 maja do 14 czerwca 2021 r. przeprowadzono cykl warsztatów nt. wdrażania programu godnej pracy. Podczas warsztatów, w których wzięło udział łącznie 90 osób z trzech województw, pracowano nad zwiększeniem kompetencji i zdolności związkowców do podejmowania efektywnych działań umożliwiających realizację praw pracowniczych. Zaprezentowano nagrania przygotowane przez ekspertów norweskich, omawiające zasady dialogu społecznego i jego wpływ na budowanie zasad godnej pracy w Norwegii. Uczestnicy dokonali porównania obydwu modeli: norweskiego i polskiego. W wyniku inspiracji modelem norweskim zaproponowano wiele rozwiązań, które mogłyby znaleźć miejsce w polskim prawie pracy. Nie ulega wątpliwości, że doświadczenia norweskiego dialogu społecznego i wypracowane praktyki mogą być przydatne do zakładowej i ponadzakładowej dyskusji polskich partnerów społecznych o godnej pracy.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Projekt wspierany przez Norwegię w ramach Funduszy Norweskich 2014-2021, w ramach programu „Dialog społeczny – godna praca” / Supported by Norway through the Norway Grants 2014-2021, in the frame of the Programme „Social Dialogue – Decent Work”

Podwójna tragedia

Jako siedmiolatek uratowałem się z powstania i mogłem coś zrobić dla Polski. Tysiącom zamordowanych odebrano tę szansę

Andrzej Targowski



Żołnierz z Mokotowa wychodzi z wjazdu w Alejach Jerozolimskich.



Im dalej jest od powstania warszawskiego, tym bardziej uogólniamy swoje opinie na ten temat. Kiedyś było niepisane prawo, że dopóki żyją powstańcy, nie wypada powstania krytykować. Ale zostało już zaledwie parę osób, więc może zastanówmy się szczerze nad ich losami w czasie powstania. Walczyli zwykle w nierównych sytuacjach, z marną bronią i prawie bez amunicji. Obandażowani, najczęściej niedożywieni i niewyspani, a co gorsze – bez nadziei na zwycięstwo.

Przypomnijmy parę przykładów:

- Wobec dużych strat w ludziach i braku amunicji ppłk „Radosław” zdecydował o przejściu swojego elitarnego zgrupowania (złożonego z oddziałów Kedywu Komendy Głównej AK, w tym sławnych batalionów „Parasol” i „Zośka”) kanałami na Mokotów nocą z 19 na 20 września 1944 r. Żołnierze zgrupowania (ok. 200 osób, z tego połowa rannych) wyszli włazem przy ul. Wiktorskiej. Byli u granic wytrzymałości fizycznej i pesymistycznie nastawieni do możliwości dalszej walki. Do 22 września na Górnym Czerniakowie broniły się jeszcze resztki oddziałów z „Czaty” i „Brody”. Dołączyły do nich pozostałości zgrupowania „Radosław”. Ale gen. Bór-Komorowski, dowódca powstania, polecił im

powrót do Śródmieścia i rezygnację z planów przebicia się do Lasów Chojnowskich. Nocą z 25 na 26 września ok. 120 ludzi przeszło zatem kanałami do Śródmieścia, gdzie zgromadziło się ok. 230 jeszcze żyjących żołnierzy i oficerów z tego zgrupowania. Tylu pozostało spośród ok. 2,3 tys. ludzi, którzy stanęli do walki 1 sierpnia. Straty wyniosły 90%. Większość tych, którzy powrócili do Śródmieścia, zginęła.

- 26 września był 57. dniem powstania, do jego poddania zostało raptem sześć dni, w tym czasie gen. Bór-Komorowski już pertraktował z Niemcami o warunkach kapitulacji. Dlaczego zamiast ratować owych 120 powstańców, narażał ich na pewne kalectwo, śmierć albo niewolę?

- 1 sierpnia 33 powstańców ze zgrupowania „Baszta” zaatakowało koszary/szkolę Waffen SS na rogu Kazimierzowskiej i Narbutta. Szli od Madalińskiego ulicą Kazimierzowską bez żadnej osłony, ponieważ na tym odcinku było (i nadal jest) boisko sportowe. Niemcy z okien swojego gmachu wystrzelali prawie wszystkich. Uratował się tylko jeden powstaniec, 17-letni, który odskoczył w Narbutta. Straty tego ataku wynosiły 96%.

- Skutki ataku ponieśli nie tylko powstańcy. Mieszkańcy domu na rogu Kazimierzowskiej i Madalińskiego, z którego powstańcy wyszli do ataku, zostali rozstrzelani. Autor tego tekstu, wtedy siedmiolatek, uratował się spod trupów tej egzekucji. Dzięki temu mógł potem forsować rozwój informatyki w Polsce, w tym zastosowanie systemu PESEL.

- Natomiast 17-latek, który uratował się z ataku, po wojnie przedostał się do USA, gdzie wybił się w rozwoju systemów lotnictwa amerykańskiego, awansując na najwyższe stanowiska w centrach badawczych i otrzymując najwyższe odznaczenia państwowe.

Wspomniałem o dwóch przypadkach ludzi, którzy cudem przeżyli powstanie, a potem zrealizowali ważne sprawy i projekty. A przecież z zabitych 200 tys. także tysiące miały potencjał, aby wiele dokonać w kraju i za granicą. I to jest wtórna tragedia nie tylko tych ludzi, ale i Polski.

Prof. Andrzej Targowski jest pionierem informatyki stosowanej w Polsce, wprowadzał system PESEL. W USA został profesorem Western Michigan University. Jest honorowym prezesem Stowarzyszenia Dzieci Powstania 1944

FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, MATERIAŁY PRASOWE

DEMASKUJEMY KŁAMSTWA O POWSTANIU		ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA		ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA		ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA		ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA		ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA	
HISTORIA bez IPN		41 zł	42 zł	40 zł	44 zł	43 zł					
W PAKIECIE TANIEJ 159 zł		KTO ODPOWIADA ZA ŚMIERĆ 200 TYSIĘCY CYWILÓW	BŁĘDY DOWÓDCÓW. POUPNE ROZKAZY I DOKUMENTY	OBŁĘD I GŁÓD. NIEZNANY „DZIENNIK POWSTAŃCZY”	RAPORTY OFICERÓW AK: TO SIĘ SKOŃCZY KATASTROFĄ	GEN. WŁADYSŁAW ANDERS: POWSTANIE TO ZBRODNIA					
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl											

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Polityka i sztandar

Wszyscy, którzy liczyli się na politycznej scenie PRL i na lewicy po 1989 r., przekraczali przez te minione lata progi „Kuźnicy”



Autor z Mieczysławem Rakowskim, 1988 r.

Sławomir Jerzy Tabkowski

Najlepszym wprowadzeniem do tych reminiscencji będzie fragment wspomnień Jurka Kulczyckiego – znanego i zasłużonego emigracyjnego wydawcy z Londynu: „W 1981 r. u Bogdana [Szczygła, zamieszkałego w Olkusz, lekarza i autora książek z egzotycznych krajów, w których pracował – ST] poznałem Sławka Tabkowskiego. Był wtedy dyrektorem Krajowej Agencji Wydawniczej w Krakowie, więc, powiedzmy, niższego szczebla funkcjonariuszem państwowym. Ale Bogdan mi mówił: »Ten facet wysoko zajdzie. Jeśli nie potknie się gdzieś po drodze, nie zrobi głupstwa, będzie w centrali«. Miał rację. Tabkowski doszedł do funkcji kierownika Wydziału Propagandy

w KC. Rozmawiając z nim, zawsze przypominałem, że Bogdan w testamencie zapisał nam przyjaźń, więc musimy ten obowiązek wykonać. I rzeczywiście, ze Sławkiem do dzisiejszego dnia się spotykamy, gdy jestem w Krakowie, jemy zawsze obiad

„Kuźnica” to ewenement na mapie stosunków społeczno-politycznych.

i jesteśmy w dużej przyjaźni... Nie wierzyli mi, podejrzewali, że wizyta dziennikarzy to musi być coś większego. Po dwóch, trzech tajniaków chodziło za nami cały czas – w Warszawie i Lublinie, aż pojechaliśmy do Krakowa. Tam redaktorem »Gazety Krakowskiej« był Sławek Tabkowski, drugi redaktor naczelny w ciągu ostatnich dwóch lat (po stanie wojennym).

Starał się na nowo zliberalizować pismo. Poszliśmy z wizytą do niego, a od niego do »Tygodnika Powszechnego«... Mija rok i czytam w jakimś piśmie krajowym, chyba w »Polityce«, że w PZPR zaszyły zmiany kadrowe, nowym sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR do spraw kultury mianowano prof. Mariana Stępnia. Był polonistą z Uniwersytetu Jagiellońskiego, interesował się literaturą emigracyjną i o niej pisywał. Pomyślałem: dobry sygnał, nie można go przegapić. W tym samym czasie kierownikiem Wydziału Polityki Informacyjnej KC został mój przyjaciel Sławek Tabkowski, poprzednio kierownik Wydziału Propagandy KC PZPR.

Umówiłem się ze Sławkiem telefonicznie na spotkanie, znowu w gmachu KC. Dzwoniłem z Londynu. Tym razem obyło się bez kłopotów: zostałem zgłoszony na bramie, dostałem przepustkę, sam wszedłem na górę. Witamy się, siadamy, zaczynamy rozmawiać. Sobota, [28.01.1989 r. – ST] budynek opustoszały. Sławek pyta: »Masz jakiś interes?«. Mówię: »Tak, do prof. Stępnia. Chciałbym powtórzyć manewr z Wasilewskim – zapytać go, czy nie nadszedł czas na pokazanie książek emigracyjnych«. Sławek dzwoni do Stępnia: »Jest tu mój przyjaciel z Londynu, ma do ciebie sprawę. Kiedy go możesz przyjąć?«. Ten się nawet specjalnie nie pyta po co, podaje termin – najbliższy poniedziałek czy wtorek. Potem Tabkowski mi mówi: »Masz być o dziewiątej u Mariana. Tylko broń Boże, żebyś się nie spóźnił! O dziesiątej zaczyna się spotkanie Politbiura, a on jako sekretarz musi być obecny...«. Ze Sławkiem Tabkowskim i Marianem Stępnim łączy mnie przyjaźń do dziś, spotykamy się, ilekroć jestem w Krakowie. Trudno mi to powiedzieć o wydawcach

podziemnych, z którymi dawno straciłem kontakt”.

Poza wróżbą Bogdana przytoczyłem ten fragment wspomnień Jurka, aby dodać, że czas, w którym awansowałem z redaktora naczelnego »Gazety« do KC był szczególny, odmienny pod wieloma względami od utartych, często niewiele mających wspólnego z prawdą, wyobrażeń. Towarzyszyły

mu z pozoru niewiele znaczące, drobne symbole: świąteczna choinka po raz pierwszy w gabinecie i sekretariacie kierownika Wydziału Propagandy, a na biurku mojego nowego zastępcy Bolka Płazy pojawiło się stojące, oprawione w ramkę zdjęcie

więzień Auschwitz, później dwukrotnie prof. Hieronim Kubiak i doc. Andrzej Kurz, poseł Andrzej Urbańczyk, prof. Jerzy Hausner, a od stycznia 2018 r. dr Paweł Sękowski.

„Kuźnica” już od początku stwarzała możliwość otwartej dyskusji

powszechnie znani z wybitnej działalności twórczej i pozostali ważni z racji różnych swych innych dokonań, przekraczali przez te minione lata progi „Kuźnicy”. Wyrażane myśli i opinie odnajdywały się także na łamach periodyku „Kuźnicy”, którym było „Zdanie” wydawane

od roku 1978 do dziś. Dopełnienia tej działalności dokonała seria wydawnicza „Biblioteka Kuźnicy”, natomiast szersza publiczność poznawała działalność klubu dzięki drukowanym za moich czasów na łamach „Gazety Krakowskiej” relacjom z kuźniczańskich spotkań. (...)

„Kuźnica” mimo rozlicznych kłopotów i problemów w III RP przetrwała, tak jak polska myśl i nurt lewicowy. Dokonano szeregu zmian strukturalnych, powołując Stowarzyszenie „Kuźnica” i Fundację „Kuźnicy” zapewniającą jej egzystencję. I pomimo ponad 40 lat działalności i siwizny na głowach jej założycieli, nadal jest ważnym miejscem ponadpartyjnej debaty, gromadząc bezpartyjnych ludzi lewicy, członków Sojuszu Lewicy Demokratycznej, partii Razem i Inicjatywy Polska. I rozszerza swoją działalność.

Smutna lekcja z opisanego sukcesu „Kuźnicy” jest taka, że nowe, powstałe po 1990 r., lewicowe partie polityczne bardziej sobie ceniły tradycyjne struktury niż tworzenie wielu lewicowo zorientowanych ośrodków-klubów-towarzystw-organizacji pozarządowych-stowarzyszeń, stwarzających warunki do wymiany myśli i stanowiących rzeczywisty, żywy kręgosłup partii w warunkach demokracji parlamentarnej. „Kuźnica” od lat 90. po dziś nigdy nie była rozpieszczana przez lewicowe partie, nawet nie bardzo mogła liczyć

Stowarzyszenie od początku stwarzało możliwość otwartej dyskusji o sprawach kultury, sztuki, literatury, o sytuacji społeczno-gospodarczej w Polsce.

jego żony Krysi. Spoglądając na nie półzartem, powiedziałem, że partia ta sama, a jednak nie taka sama. Niby nic nadzwyczajnego, a jednak była to rewolucja w stosunku do wcześniej powszechnie tu królujących figurek Lenina i wszelkich podobnych symboli. W dużo większym oczywiście stopniu nowe idee, ludzie i kierujące się ku rzeczywistości i normalności działania partii.

Skloniły mnie również do objęcia nowej funkcji ugruntowywane przekonania, że ma głęboki sens aktywny udział w zasadniczym przeobrażeniu dotychczasowego, socjalistycznego porządku w Polsce. Rodziły się niewątpliwie z wielu codziennych doświadczeń i obserwacji, przemysłów, rozmów, lektury raportów „Doświadczenie i Przyszłość”, krajowych oraz zagranicznych publikacji i opracowań. Także z liczącej się roli, jaką odegrała „Kuźnica” w mojej ideowej i politycznej edukacji. Stąd poświęcam temu wyjątkowemu zjawisku – będącemu na mapie ówczesnych stosunków społeczno-politycznych absolutnym ewenementem – poniższe przypomnienie.

Szczytne tradycje Kuźnicy Kołtąjowskiej i tygodnika „Kuźnica” ukazującego się w latach 1945-1950 legły u podstaw narodzin, i do nich nawiązano na inauguracyjnym spotkaniu w 1975 r. Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”. Powstał z inicjatywy środowisk lewicowej inteligencji Krakowa, przy pełnym wsparciu ówczesnego I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR Józefa Klasy, który wniósł do tego miasta ożywczy klimat normalności i nadzieję na lepszy i mądrzejszy socjalizm. Klubem przez kolejne lata kierowały wybitne, także na ogólnopolskiej scenie, postaci. Pierwszym przewodniczącym był Tadeusz Hołuj, pisarz, często niepokorny działacz polityczny, był

o najważniejszych sprawach kultury, sztuki, literatury, ale także o sytuacji społeczno-gospodarczej i politycznej w Polsce, o jej historii i współczesności. Te rozważania pozbawione były zakłamanego obrazu przeszłości – pamiętam toczące się do późnej nocy żarliwe spory, które wtedy skomentowałem, że nasz polski świat zmienił się na lepsze, bo kiedyś, bo tak wyrażanych opiniach, wszystkich nas zgarnięto by do stojących u wyjścia ubeckich bud.

Działalność „Kuźnicy” nie sprawadzała się do rozmów w swoim gronie, rozwijała się także podczas dyskusji z zapraszanimi gośćmi. Wśród wielu licznych spotkań, nie tylko ciekawych, ale przede wszystkim bardzo pouczających i kształcących, zapamiętałem szczególnie i wyjątkowe spotkanie z udziałem Zygmunta Baumana. Odbędzie się 29 września 2010 r. w wypełnionym po brzegi Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prowadził je ówczesny prezes „Kuźnicy” prof. Hieronim Kubiak i on to właśnie wręczył tej wyjątkowej postaci honorową nagrodę stowarzyszenia – Kowadło „Kuźnicy”. Wybitny socjolog i filozof wygłosił wykład na temat „Nierówności w płynnie nowoczesnej erze”, ale jeszcze przed rozpoczęciem spotkania rozmawiałem z nim o wspólnym znajomym

Nowe, powstałe po 1990 r., lewicowe partie bardziej ceniły tradycyjne struktury niż tworzenie wielu lewicowo zorientowanych ośrodków.

prof. Widerszpilu, także o wynikach badań i wnioskach zawartych w mojej pracy doktorskiej. Słuchał z zainteresowaniem, może dlatego, że przypominały mu się jego podobne badania empiryczne wśród robotników oraz kadry zarządzającej z początku lat 60.

Godzi się stwierdzić, że wszyscy, którzy liczyli się na politycznej scenie PRL i po 1989 r. na lewicy, inni

na „wdowi grosz” z zasobnych kieszeni różnych instytucji, których przedstawiciele tak chętnie ją odwiedzali. A co powiedzieć mają inni w Polsce, którzy pragnęliby iść jej śladem? Dodać jednak należy, że Aleksander Kwaśniewski prezentował zupełnie odmienną postawę – był jej członkiem – w latach prezydentury uczynił bardzo wiele na rzecz klubu. (...)

► Szczególnym wydarzeniem w okresie mojej pracy w Wydziale Propagandy była kampania polityczna, która poprzedzała czerwcowe wybory w 1989 r. Te poczynania, których celem powinno być uzyskanie jak najlepszego wyborczego wyniku przez stronę koalicyjną, jednoczącą przedstawicieli trzech głównych partii i niektórych chrześcijańskich stronnictw, w ostatecznym wyniku dowiodły swojej co najmniej małej skuteczności. Nie miejsce tu na szczegółową analizę poniesionej porażki, co zresztą, o ile mi wiadomo, nie było dotychczas przedmiotem żadnej poważnej i w miarę obiektywnej publikacji naukowej na temat tamtych wyborów.

Wydawać by się mogło, że w tego rodzaju politycznej kampanii działania propagandowe (niekoniecznie PZPR, również każdej innej partii w odmiennym czasie) odgrywać powinny ważną, jeżeli nie dominującą rolę. Nic bardziej mylnego w stosunku do Wydziału Propagandy KC (zamienionego na początku 1989 r. na Wydział Polityki Informacyjnej, co zresztą w praktyce niczego nie zmieniło), gdyż w funkcjonującym wtedy systemie władzy było aż nadto decydentów rozstrzygających najważniejsze kwestie związane z nadchodzącymi wyborami. Nasze uwagi i wątpliwości, także wynikające z prowadzonych analiz obawy (wydział przeprowadzał własne badania społeczne i analizował ich

wyniki dzięki posiadaniu odpowiedniej bazy technicznej) były pomijane. A inicjatywy nie odnajdywały wsparcia u Stanisława Ciośka – sekretarza KC odpowiedzialnego również za tę działkę – pochłoniętego rozmowami z opozycją i zapewne jeszcze innymi sprawami, co skutkowało tym, że nie miał głowy ani czasu do bieżących spraw propagandy. Nadto przyjęta dyrektywa o niekonfrontacyjnych wyborach – *casus* wart Nagrody Nobla dla pomysłodawcy (?) – ograniczała lub wręcz uniemożliwiała aktywną i bezpardonową walkę polityczną, którą zresztą na ogół strona solidarnościowa prowadziła. Marginalizacja działań propagandowych, sprowadzających się jedynie do kontaktu i jakiegos tam instruktażu dla prasy, radia i TV, wiązała się również z rozstrzygniętym już wcześniej, ustalonym wynikiem wyborczym, bowiem gwarantował on dla strony koalicyjnej 65% miejsc w przyszłym Sejmie. Miał to być jedyny sposób na dalsze utrzymanie władzy, bo, jak wspominał Stanisław Ciosek, „Ludzie po prostu mieli nas dosyć”. Przy inaczej prowadzonej kampanii wyborczej jej wynik mógłby być na pewno lepszy, notabene niezmiennący rozpoczętego procesu zasadniczych przemian politycznych i ustrojowych, ale dający szansę na inny ich przebieg. Defensywa strony koalicyjnej, bardzo wysokie procentowe wymogi stawiane kandydatom

z listy krajowej, nieporównywalne do liczby głosów otrzymywanych przez startujących spoza niej, ale również kilkudziesięcioletnie nawyki szerokiego aparatu władzy, zawsze dotąd zwycięskiego, zaważyły również na wynikach czerwcowych wyborów.

Nadto prognozy, a właściwie wróżby, Wydziału Organizacyjnego KC o zdecydowanym naszym sukcesie w nadchodzących wyborach były na tyle przekonujące, co i oczekiwane, że nawet Wojciech Jaruzelski podczas telekonferencji z I sekretarzami KW, w której uczestniczyłem, ostrzegał, aby z tym zwycięstwem nie przesadzać. Nie dziwić więc może w tej sytuacji przesyłka projektów wyborczych plakatów, którą otrzymałem od zaniepokojonego takim stanem rzeczy premiera Mieczysława Rakowskiego. Wykorzystałem je, polecając druk i kolportaż, co oczywiście nie mogło ani zmienić wyników kampanii, ani też stanowić antidotum na wyjątkową, wizualną aktywność strony opozycyjnej.

Niedawno Ciosek wspominał, że propaganda z czasów PRL miała siemniężny charakter w stosunku do obecnej. To prawda, co nie zmienia faktu, że po opisanych wyborach, 29 lipca 1989 r., odszedł z funkcji sekretarza KC PZPR odpowiedzialnego m.in. za tę dziedzinę działalności. Ale nie przede wszystkim za to, bo sam słusznie pisał: „Do przewidzenia było, że padnie na tych, którzy najpierw negocjowali z opozycją, doprowadzając do Okrągłego Stołu, potem przy nim zasiedli, a na końcu współtworzyli kampanię wyborczą starej władzy. Cóż, spłonąłem na partyjnym ołtarzu razem z Czyrkami i Barcikowskim, ale nie narzekam”.

Zapewne przez wielu jest nie do uwierzenia stwierdzenie, że zakres samodzielnych decyzji kierownika wydziału w KC, oczywiście z uwzględnieniem proporcji spraw, był mniejszy niż I sekretarza Komitetu Powiatowego. W strukturze centralnej instytucji PZPR pełniłem funkcję wykonawczą, niejako z natury pozbawioną własnej inicjatywy, bo wyznaczaną decyzjami Biura Politycznego i bezpośredniego przełożonego – odpowiedzialnego za propagandę sekretarza KC. Podejmowanie samodzielnych, ważących decyzji mogło mieć miejsce w sytuacji krytycznej, w której jest się skazanym tylko na siebie, albo dzięki wspólnemu widzeniu spraw z przełożonym.



W tej biurokratycznej strukturze, jak w każdej podobnej, obawa, niechęć, a nawet strach w skuteczny sposób zabijały inicjatywę, a wraz z nią odwagę we wprowadzaniu *novum*. Nadto krępowały obowiązkowa, jakże często tylko fasadowa, kolegialność i rozliczne układy charakterystyczne dla wszystkich centrów władzy. Ograniczały tempo procesu decyzyjnego, co w rzeczywistości i w powszechnym odczuciu traktowano jako ociążałość i stałe spóźnianie się.

Okres mojej pracy należał niewątpliwie do wyjątkowych, wymagających jak powietrza nowych idei, pomysłów, programów wraz z ich

Głównego RSW, rozpoczynając tam pracę 4 listopada 1989 r.

Nie sądziłem jednak, że tam polegnę tak szybko, wręcz odwrotnie, byłem przekonany, że pomimo bardzo wielu trudności i niesprzyjającej politycznej aury szereg trafnych i szybkich działań potrafi zachować tę jednostkę, oczywiście w innej strukturze i zakresie działalności, dla lewicowego ruchu w Polsce. Była to, od początku listopada 1989 r., prawie pięć miesięcy trwająca wyjątkowo ciężka, nerwowa i nadzwyczaj absorbująca harówka w świetle stale ponawianych, acz ciągle nieudanych, prób demontażu spółdzielni. Przyniosło to ten efekt, że nowa władza, pod

nagonki na RSW, której przewodziła „Gazeta Wyborcza” z hasłem „Zlikwidować molocha”, wydawało się gestem samobójcy. Podjąłem tę decyzję z przekonaniem, że pomimo wszystkich trudności uda się zreformować koncern... Taka też atmosfera panowała w jego kierownictwie, które przez dłuższy czas skutecznie odpięrało wszelkie kolejne próby rozbicia bądź likwidacji RSW. Pragnę przy tej okazji serdecznie podziękować wszystkim tym, którzy aktywnie takie stanowisko podzielali, a szczególnie mój pokłon składam, niestety już nieżyjącej, pani wiceprezes Alinie Tepli, której, nie tylko w tamtych dniach, wszyscy bardzo wiele zawdzięczamy.

W moich planach i wyobrażeniach o przekształceniu spółdzielni nie przewidziałem, bo nic pozornie na to nie wskazywało, że nowy polityczny dysponent ucieknie się tak szybko do bolszewickiej metody, łamiąc obowiązujące prawo. Przecież tak niedawno, bo w sierpniu 1989 r., premier Tadeusz Mazowiecki z sejmowej tribuny zapewniał o państwie prawa, jakim stać się miała Polska pod solidarnościowymi rządami. W praktyce okazało się, jak to nieraz bywało w historii, że nowa władza szybko zapomniała o wcześniejszych, publicznie wygłaszanych zobowiązaniach i przyjęła specustawę o likwidacji RSW.

Sławomir Jerzy Tabkowski

Od lat 90. po dziś „Kuznica” nigdy nie była rozpieszczana przez lewicowe partie.

szybkim wdrożeniem w życie. Tak to się właśnie toczyło przez prawie dwa lata, poza okresem, gdy wśród moich pięciu szefów sekretarzami KC ds. propagandy byli Mieczysław Rakowski i Zdzisław Balicki. Tyle że w obu tych sytuacjach nasza bardzo dobrze układająca się współpraca trwała nie dłużej niż po trzy miesiące. Miałem absolutnie dość pracy na obecnym stanowisku i choć stosunki z ostatnim szefem układały się dobrze, podjąłem się samodzielnie funkcji, w ówczesnych warunkach niejako straceńczej, prezesa Zarządu

przemownym naporem środowiska Lecha Wałęsy i różnych politycznych obaw, nie wspominając już o typowym skoku na kasę, musiała uciec się do złamania obowiązującego prawa spółdzielczego, przeprowadzając specustawę o likwidacji RSW. Tego szaleńczego czasu w mojej zawodowej karierze oczywiście nie żałuję – w zaistniałej sytuacji, jak to powiedział Rakowski – zrobiłeś wszystko, co tylko było możliwe. (...)

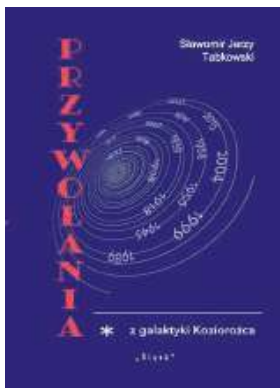
Przyjęcie stanowiska prezesa w nowo tworzącym się układzie politycznym i w atmosferze wściekłej

Zachęcam do lektury „Przywołania z galaktyki Koziorożca”, bo jej autor Sławomir Jerzy Tabkowski jest mądrym i wnikliwym obserwatorem. Zrobił w życiu wiele ciekawych i sensownych rzeczy. Był uczestnikiem historycznych wydarzeń na przełomie lat 80. i 90. Jest z pokolenia, którego rodzice przeżyli wojny, rewolucje, Holokaust, wędrówkę ludów ze wschodu na zachód Polski. Sam brał udział w wielkim skoku cywilizacyjnym i edukacyjnym, jakiego w Polsce Ludowej doświadczyli miliony Polaków. Z wykształcenia socjolog, z zainteresowań dziennikarz i wydawca, a z powołania humanista. Był szefem „Gazety Krakowskiej” i Krajowej Agencji Wydawniczej w Krakowie, prezesem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego. A w międzyczasie politykiem. Kierownikiem wydziału w KC PZPR i na koncówce giganta RSW Prasa Książka Ruch jej prezesem. Polityka, jak sam mówi, przyniosła mu wiele gorzkich rozczarowań. Trafił do niej, gdy uratowanie starego systemu było już niemożliwe.

Choć jak się patrzy z obecnej perspektywy, to widać, że można było powalczyć o transformację mądrzejszą i uczciwszą. Zwłaszcza wobec tych, którym dziki polski kapitalizm przyniósł wiele upokorzeń. Skrzywdzono miliony ludzi, którzy bezradnie patrzyli na cwaniaków zagarniających wypracowany przez nich majątek. Ale na to autor nie miał wpływu. Mógł tylko protestować i robił to na wielu frontach.

Sławek pisze o losach własnych i swojego pokolenia szczerze, bez owijania w bawełnę. Choć po krakowsku, czyli elegancko. Jego opowieść jest wiarygodna. Dużo w niej znanych nazwisk. I wydarzeń zarówno z pierwszych stron gazet, jak i mało znanych a ciekawych. Także tych z ostatnich lat. Warto więc kupić. I przeczytać.

Jerzy Domański



Sławomir Jerzy Tabkowski
Przywołania z galaktyki Koziorożca,
Śląsk, Katowice 2021

Rozmawia Marek Książek

„A na pytanie Pana Hrabiego: – Co w takim razie oznaczają w naszym kraju słowa pluralizm i demokracja? To odpowiadam, że co to jest pluralizm i demokracja, to wie teraz tylko Lech Wałęsa, ale wygląda na to, że prawidłową odpowiedź schowali na później bracia Kaczyńscy”. Pamiętasz, skąd ten cytat?

– Pamiętam, to cytat z mojej pierwszej książki, „Przeżyłem, Panie Hrabio”, która wyszła chyba w 1991 r. Tak sobie zafantazjowałem...

Fantazja się spełniła, można powiedzieć, że 30 lat temu antycypowałeś obecną rzeczywistość polityczną Polski.

– Na to wygląda. Ale jeszcze parę rzeczy napisałem, które później się sprawdziły.

Jak Jarosław parł do władzy

Skoro miałeś takie prorocze wizje, to jak oceniasz tę demokrację i pluralizm w wydaniu jednego już tylko, za sprawą katastrofy smoleńskiej, z braci Kaczyńskich?

– Niedawno napisałem piosenkę, która tak się zaczyna: „Mamy wciąż

Telewizja „narodowa” dla mnie nie istnieje, chyba że nadaje jakiś ważny mecz.

demokrację i mamy pluralizm / Demokracji za dużo – czas już ograniczyć / Niezbyt pluralistyczny jest i kapitalizm / Zamiast żywić i bronić – każe grosze liczyć. (...) Mamy najnowszy ZBoWiD, nietykalne spółki / I jedynie słuszne partie i poglądy...” Jednym słowem, wróciły dawne czasy.

Pewnie pamiętasz, skąd się Kaczyńscy wzięli przy Wałęsie?

– Dobrze znałem Henryka Wujca, nawet niedawno byłem na odsłonięciu muralu w Warszawie, poświęconego zmarłemu Heniowi... I pamiętam, jak mi wtedy mówił: „Ci Kaczyńscy ciągle się pchają do tego koryta”. Bo już wtedy było widać, że zwłaszcza Jarosław miał niebawem parcie do władzy. Oni od samego początku nie lubili Wałęsy, ale się go trzymali, bo mieli w tym polityczny interes. I swój cel Jarosław zrealizował.

Optymistyczny obserwator otoczenia

Nie było władzy, której bym czapkował

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ

– satyryk, pisarz, felietonista, kompozytor

Te wątki przewijają się w twoich kolejnych książkach, poczynając od wydanej na początku lat 90. serii „Między Wortujęm a Przyszłozbożem”. Skąd takie dziwne nazwy?

– Wymyśliłem, że Wortuję to takie przysłowiowe polskie gówno, a Przyszłozboże to przyszłość. W tej serii ukazało się dziewięć takich książeczek. I najczęściej ich podpisywałem, co stwierdziłem z pewnym zdziwieniem, podczas występów w Australii, Kanadzie, USA czy Niemczech. Jakim cudem tam się znalazły? Po prostu wtedy nie było jeszcze internetu i jak ktoś dzwonił z tych krajów do Polski, pytając, co słychać, to pytany,

w nakładach po 50-60 tys.! W zeszłym roku wyliczyłem, że w sumie sprzedało się ponad milion egzemplarzy! Wspomniana książka „Przeżyłem, Panie Hrabio” rozeszła się w nakładzie 300 tys. albo i lepiej. Wydało ją wydawnictwo ART-B, Bagsik i Gąsiorowski, którzy później dali się poznać jako aferzyści finansowi. Mnie powiedzieli, że wyczerpał się nakład, a okazało się, że potem książkę sprzedawano na festiwalu piosenki w Sopocie. Mogli więc wydrukować więcej i zbili majątek! Ta książeczka miała jeszcze inny walor – były w niej rysunki Szymona Kobylińskiego, który zgodził się je stworzyć dla początkującego autora.

Jak się znalazłem w „Szkle kontaktowym”

Byłeś już wtedy popularnym satyrykiem, występowałeś w kabarecie, skąd więc nagle potrzeba pisania książek?

– Zawsze ciągnęło mnie do pisania, a w liceum pedagogicznym miałem świetną polonistkę Ritę Kuhn, autochtonkę, która później wyjechała do Niemiec. Ona zawsze pilnowała mnie tylko z ortografii, mówiąc przy

zamiast odpowiadać, pakował którąś z tych książeczek do koperty i wysyłał za granicę. Słży tam lawinowo.

Chyba zrobiłeś na nich niezły biznes?

– Przede wszystkim wydawnictwo. Byłem wtedy świeżym autorem i nie mogłem za wiele żądać. A te książeczki ukazywały się

Krzysztof Daukszewicz – ur. w 1947 r. w Wichrowie koło Dobrego Miasta, skończył liceum pedagogiczne, krótko pracował w szkole, był dyrektorem domu kultury w Szczytnie, gdzie m.in. stworzył kabaret Gwuść. Pod koniec lat 70. zamieszkał w Warszawie z drugą żoną, Małgorzatą z domu Kreczmar (zmarła w 2006 r.), występował w kabarecie Pod Egidą, od 2006 r. jest stałym komentatorem „Szkła kontaktowego” w TVN24, napisał kilkadziesiąt książek, głównie satyrycznych, obecna żona Violetta to dziennikarka i pisarka, autorka m.in. biografii Marii Czubaszek. Na początku września br. artysta odebrał Nagrodę im. Henryka Panasa, przyznaną przez olsztyńskie oddziały Stowarzyszenia Dziennikarzy RP i Związku Literatów Polskich. Został uhonorowany za całokształt pracy dziennikarsko-literackiej, związki z regionem Warmii i Mazur oraz wierność swoim przekonaniom.



Wręczenie Nagrody im. Henryka Panasa na olsztyńskim zamku.

całej klasie, że jeśli chodzi o wypracowania, to „Krzysiek zawsze napisze sześć stron”. Już wtedy miałem lekie pióro.

I dziś uchodzisz za pisarza. Jak wygląda twój warsztat pracy? Czytasz gazety, oglądasz telewizję, słuchasz rozmów rodaków?

– Gazetami mam cały pokój zalany... I muszę ci powiedzieć, że takie zbieranie prasy ma pewien walor, bo ostatnio trafiłem na wywiad z Kukizem sprzed pięciu lat, gdy mówił o uczciwości politycznej. Jest to świadectwo, że już wtedy gadał głupoty, a teraz jeszcze większe.

Gadał głupoty, ale do niedawna był częstym gościem u Moniki Olejnik w „Kropce nad i”.

– Można to zrozumieć, bo on w pewnym sensie jest charyzmatyczny, wyzwał w ludziach emocje, w przeciwieństwie np. do Adama Bodnara, który jest postacią wybitną, ale nudną.

I słuchając wywiadów z politykami, robisz notatki, analizujesz w samochodzie lub łowiąc ryby? A potem wykorzystujesz na scenie albo w „Szkle kontaktowym”?

– Cały czas chodzę z notesikami, w których zapisuję spostrzeżenia i pomysły, bo one szybko wpadają do głowy, ale nieraz szybko ulatują z pamięci. Miałem takie sytuacje, że nie zanotowałem, a potem trzy dni chodziłem i męczyłem się, żeby

odtworzyć sytuację, w której ten pomysł powstał. Teraz zawsze mam przy sobie karteczki i obojętnie gdzie jestem, zaraz zapisuję, chyba że jadąc samochodem, nagrywam na dyktafon. A w nocy, jak czasami na coś wpadnę, kilka razy latam do biurka, żeby ten pomysł zanotować, nie budząc żony.

Rozumiem, że masz w domu swój pokój pracy twórczej?

– Mam, ale jest w nim taki bałagan jak w garażu. Mogę się w nim połapać tylko dlatego, że są w nim punkty z rzeczami, do których trafia

Chyba publiczność docenia moją szczerość.

w ciemno. Niestety, moja żona odkryła te punkty i czasem idę po ulubione nożyczki, a ich w konkretnym miejscu nie ma... Viola wzięła!

À propos „Szkła kontaktowego”, w którym jesteś od początku, jak tam trafiłeś?

– Zawdzięczam to poparciu Brunona Miecugowa z Krakowa, pisarza i satyryka, z którym byłem mocno zaprzyjaźniony. I on powiedział swojemu synowi Grzegorzowi: „Bierz Krzyśka Daukszewicza, to jest szybki facet”. I tak już 15 lat jestem w „Szkle”.

W którym czasie sprawiasz wrażenie, jakbyś nie był przygotowany do audycji.

– Przychodząc do studia, w ogóle nie interesuję się, jakie są materiały do programu. Staram się wcielić w rolę widza, który dopiero wieczorem zasiada przed telewizorem, żeby zobaczyć, co się działo w ciągu dnia. Albo więc błyskawicznie na to zareaguję, albo po prostu dam d...

To audycja publicystyczno-satyryczna; później TVP zaczęła nadawać podobną „W tyle wizji”. Popełniła plagiat?

– Raczej skopiowała pomysł, tylko w drugą stronę. Obejrzałem chyba dwa odcinki, bo to jest ponad moje siły. Kanału TVP Info nie oglądam, ponieważ tam od początku do końca jest fałsz. W ogóle telewizja „narodowa” dla mnie nie istnieje, chyba że nadaje jakiś ważny mecz. A i tak przełączam na TVP Sport.

Jak Nina Terentiew prostowała kabarety

Ale w TVP Info występuje satyryk i kabareciarz Jan Pietrzak.

– On mi w jakimś sensie pomógł na początku kariery, bo trzy lata występowałem Pod Egidą. Dlatego nie powiem o nim złego słowa, choć wiem, że ostro skrzył w prawo.

Natomiast dzisiejsze kabarety odwołują się, przynajmniej za pośrednictwem telewizji, do niskich gustów publiczności.

– Uważam, że to duża „zasługa” Niny Terentiew. Bo chciała kabarety odpolitycznić. Kiedyś robiłem programy kabaretowe w telewizyjnej

Dwójce, w tym „Na tronie”. Dwa sezony byliśmy na antenie i szykowaliśmy się do trzeciego. Przyjechaliśmy z producentem i reżyserem Jerzym Garsteckim na Woronicza, Niny nie było, a jej zastępczyni tak nas powitała: „Panie Krzysiu, od Ninki mam prośbę, żeby pan trochę zszedł ze swojego poziomu, bo publiczność staje się coraz prostsza i potrzebuje dowcipów, z których śmieją się wszyscy”. I jeszcze coś w tym stylu. Posłuchałem jej i w którymś momencie mówię: „Wie pani co, od prostych dowcipów macie prostych artystów”. A do reżysera: „Jureczku, idziemy!”. Nie podpisaliśmy dalszej umowy, przyjechałem do Nart koło

► Pasymia (gdzie satyryk miał dom – przyp. red.), powiedziałem Małgosi, że skończyła się moja przygoda z telewizją, a gdy się obudziłem następnego dnia o piątej i stwierdziłem, że nie mam na głowie żadnego scenariusza – a był słoneczny poranek – to siadłem na tarasie z piwkiem w ręce i skonstatowałem: „K... nic nie muszę!”. Od tej pory nie dałem się wciągnąć w żadne tego typu przedsięwzięcie.

Ale jeździsz po kraju, dajesz koncerty, śpiewasz, wygłaszasz monologi... Utrzymujesz się w tej branży już prawie pół wieku! Masz na to jakąś receptę?

– Po prostu w tym czasie nie dałem ciała! Część tej publiczności wychowałem. Młodych trochę się pojawia, a jak ze sceny widzę jakąś modłą osobę, to mówię, że chyba przyprowadziła chorych rodziców. A na poważnie: chyba publiczność docenia moją szczerość. Mało tego,

zdaniu zaczyna uprawiać czarnowidztwo, po kilku minutach zaczyna mnie zwyczajnie nużyć.

Ale gdy oglądasz telewizję, jakąkolwiek, to tam pełno tego pesymizmu.

– Dlatego w telewizorze mam wszystkie możliwe kanały sportowe. Mogę je oglądać od szóstej rano do późnego wieczora! Co prawda, mam w reperaturze kilka piosenek, w których pokazują świat w czarnym kolorze, ale ludzie przychodzą na koncerty, żeby się pośmiać, pobawić. Po co mam ich dobijać?

Generalnie jesteś człowiekiem pogodnym? To się bierze z kresowych korzeni?

– Wilniuki zazwyczaj są pogodnymi ludźmi – albo raczej pogodnymi z życiem. Przez te kresy ciągle przechodziła jakaś armia, w jedną i drugą stronę, ciągle ktoś ich palił, zabijał, a oni nie mieli na to wpływu. Przez te wieki pojęli, że śmierć, sława i sukces to pojęcia względne.

Cały czas chodzę z notesikami, w których zapisuję pomysły, bo one nieraz szybko ulatują z pamięci.

jak czasami zawaham się z jakimś żartem, już ten dowcip przepada, tak publiczność jest wyczulona.

Publiczność, która chodzi na bileutowane koncerty, konkretnie „na Daukszewicza”.

– Ona nawet nie chodzi „na Daukszewicza”. Już od kilku kasjerek dowiedziałem się, że ludzie przychodzą „na pana Krzysia” (śmiejch)! Być może to również zasługa „Szklą kontaktowego”.

Jak w żadnym ustroju nie dałem ciała

Najnowszą książkę, „Nareszcie w Dudapeszcie”, przy której pomagał ci syn Aleksander, zakończyłeś spostrzeżeniem: „Gdybyście na końcu tej książki zapytali: kogo mamy w życiu szukać, to odpowiem jednym słowem: OPTYMISTÓW. Optymiści to najpotężniejsza broń w każdej walce”. A przecież optymiści to źle poinformowany pesymista. Lub odwrotnie.

– Spotykam różnych ludzi i naprawdę wolę się spotykać z optymistą. Bo zawsze jest z tego jakaś radość. A taki, co już w pierwszym

Taką mądrość wyniosłem od rodziców, którzy przeżyli wojnę, tata był artylerzystą, a we wrześniu 1939 r. trafił do niewoli niemieckiej. Ale miał racjonalne podejście do wydarzeń politycznych. I mimo że po wojnie był prostym drwalem na Warmii, choć z korzeniami szlacheckimi, nadleśniczy z Wichrowa przyjeżdżał do niego, żeby się poradzić w takiej czy innej sprawie. Po prostu cechowała go mądrość życiowa. Kiedyś powiedział: „Pamiętaj, synu, żeby żyć uczciwie, bo jak cię wyrzucą z pracy, zawsze znajdziesz dość sił, żeby na kawałek chleba w lesie zarobić”. Mama również miała taką mądrość życiową i chyba przejąłem ją od nich... **Ostatnio odebrałeś w Olsztynie Nagrodę im. Henryka Panasa, cennionego pisarza, m.in. za wierność swoim przekonaniom.**

– Opowiem anegdotkę: po jednym z koncertów dwójka młodych ludzi przyprowadziła do mnie, na wózek inwalidzkim, swojego 90-letniego dziadka, któremu zafundowali urodzinowy bilet na mój koncert. I ten dziadek tak mówi: „Panie Krzysiu, lubię pana piosenki, lubię listy do Hrabiego, ale najbardziej cenię

pana za to, że nie dał pan d... w żadnym ustroju”. Dla mnie to był prawdziwy komplement! Nie było władzy, której bym czapkował.

Kiedyś pisałeś felietony do tygodnika PRZEGLĄD. Jak wspominasz tamten okres?

– Bardzo fajnie, skumplowałem się z kilkoma redaktorami, rozstaliśmy się w zgodzie, zresztą od czasu do czasu dzwonią do mnie z redakcji PRZEGLĄDU z pytaniem o opinię na temat aktualnych wydarzeń. W tej chwili nie piszę felietonów do żadnych gazet i nie wiem, czy chciałbym na nowo tego się podejmować. Już mi się nie chce.

Ale książki chce ci się pisać. W rodzinie jest was dwoje piszących, doliczając żonę, Violetę Ozminkowską-Daukszewicz.

– Troje piszących, bo jeszcze syn Alek pisze różne scenariusze do gier komputerowych. Ostatnio przysłał mi dobrze napisany wiersz, ale i najmłodszy syn wziął się do pisania.

Grzegorz, aktor znany z serialu „Na dobre i na złe”?

– Krzyś, syn... z nieprawego łoża, który jest z braćmi bardzo zaprzyjaźniony.

A córka z pierwszego małżeństwa?

– Sylwia mieszka w Suwałkach, ma męża leśnika i też pisze wiersze.

Podobno chcesz napisać z żoną wspólną autobiografię?

– Viola chce zrobić ze mną wywiad rzekę o tym wszystkim, co w życiu przeżyłem. A przeżyłem naprawdę wiele mniej lub bardziej zabawnych momentów. Ale ja bym chciał napisać książkę, w której rozmawiamy ze sobą o tym, co nas spotkało, bo ona też ma niesamowicie barwne życie. Dość powiedzieć, że brała ślub w Las Vegas, który skończył się jednodniowym pożyciem małżeńskim, wjechała w Himalajach na siedmiotysięcznik, jechała do Włoch z wariografem, żeby sprawdzić, czy mówi prawdę, ale pod Mławą ją cofnęli, trzy dni siedziała z Beatą Sawicką w hotelu w Poznaniu, gdzie postanka schowała się po prowokacji CBA, tak więc tych przygód ma dużo. Poza tym jest niesamowicie dowcipna i znajomi mówią, że powinna być stand-uperką.

Nie namówisz jej na wspólne występy na scenie?

– Nie, bo w tej robocie jestem singlem.

Marek Książek

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Czas niemocy

Myśleliśmy, że Korek jest chorowity, ale od kiedy w zabałaganionej szafie znalazła się jego metryka z azylu, wiemy już, że po prostu jest bardzo stary; teraz już, zamiast szukać panaceum na jego częstomocz, po prostu ścieramy podłogę (psie pieluchy nauczył się ściągać), zamiast go ciągnąć na długie spacery, idziemy tylko na najbliższy skwerek. Kanapies rasy wielokrotnie zmieszanej ma u nas dom spokojnej starości, bidok już nie ma sił, żeby wskoczyć na łóżko, więc mu rozłożyliśmy dywaniki miękkie na podłodze. Żle nie ma, trudno to nazwać życiem pieskim – na spacerach już się nie cieszy, gdyby mógł, załatwiałby sprawy definitywnie na balkonie, ale nie chcemy narażać sąsiadów z niższych pięter na nieświeży prysznic. Trzeba zatem choć wokół domu, a jako że dom w oku cyklonu, nawet tych kilkaset metrów wystarczy, żeby zaznać przygód.

Ostatnio np. nieszczepcy rozbiły nam za rogiem namioty na chodniku, dzień po tym, jak medycy i pielęgniarki założyli swoje Białe Miasteczko. Poczułem w tym jakiś fałszywy rym, przykrą parodię, bardzo mnie zatem ucieszył sabotaż w wykonaniu zaprzyjaźnionego stróża nieporządku, który informował przechodniów, że w tych namiotach są darmowe szczepienia bez kolejki. Chętnych nie brakowało, nieszczepcy jako wyznawcy teorii spiskowych poczucia humoru nie mają, zrobiła się tęga awantura, braunści zostali perfekcyjnie strolłowani, zwinęli majdan, może zresztą nie mieli zamiaru koczować dłużej, to nie jest ich *modus operandi*, wołał krzyk i wiecowe tłumy niż cierpliwe okupowanie skrawka miejskiej przestrzeni.

Kawałek dalej pod Sejmem strajk głodowy solidarnych z uchodźcami, gdyby kto zapomniał o hańbie pod Usnarzem tylko dlatego, że zablokowano media dekretem. Polscy żołnierze nadzorują powolną śmierć bogu ducha winnej grupy nieszczęśników, tłumacząc, że przecież „tylko wykonują rozkazy” – nie wierzyłem, że przyjdzie mi kiedyś usłyszeć to tłumaczenie poza filmem historycznym o ludobójcach. Władze tak zapamiętałe walczyć z kłamstwem historycznym o „polskich obozach”, że skoncentrowano niechciany element ludzki pod gołym niebem, obywateli bez baraków i komór gazowych, pod lufą polskiego karabinu ludzie umierają od nadmiaru świeżego powietrza, bo nie dość, że niejadalne, to jeszcze śmiertelnie zimne.

Jeśli kto nie ma dość determinacji na głodówkę solidarnościową, niech chociaż pójdzie do kina zobaczyć

„Aidę” Jasmili Žbanić (rozmowa z reżyserką na s. 50). Wstrząsający film o rzezi w Srebrenicy, do której doszło za sprawą bierności żołnierzy sił ONZ, którzy „nie mogli łamać procedur”. Serbscy watażkowie mogli, wyróżnili z górą 8 tys. mężczyzn i chłopców pod nosem sił międzynarodowych, skierowanych do ochrony ludności cywilnej. Przez większą część tej porażającej relacji z największej zbrodni wojennej w pohitlerowskiej Europie oglądaliśmy tłumy uchodźców, błagających o ratunek zza odrutowanego płotu. Niemoc zrodziła przemoc; Žbanić zrealizowała wstrząsające studium bezradności wobec zła – oficerowie UNPROFOR jak mantrę powtarzają rozgrzeszające łgarstwo „zrobiliśmy wszystko, co możliwe” – rewers zdania o „wykonywaniu rozkazów”. Żeby uratować ludzkie życie, czasem trzeba rozkazom się sprzeciwić, to też jest możliwe, niemożliwością zaś jest ucieczka od odpowiedzialności za cudzą śmierć, jeśli się do niej na czyjeś zlecenie przyczyniło. Wskutek blokady informacyjnej spowodowanej stanem wyjątkowym

Ziemowit Szczerek: „W Polsce, żeby być potraktowanym godnie, trzeba być nienarodzonym lub martwym”.

jesteśmy zdani na przekaz mediów Łukaszenki, a te nadają o przeciąganiu trupów przez granicę – na razie (stan na 20 września) Białoruś prowadzi w tym makabrycznym meczu trzy do jednego, a nasz premier Krzywousty zapewnia, że ci, którzy zmarli po naszej stronie, „zostaną potraktowani godnie”. Ziemowit Szczerek z właściwym sobie wisielczym humorem zauważa na Facebooku: „W Polsce, żeby być potraktowanym godnie, trzeba być nienarodzonym lub martwym”.

Dość tego spaceru, Korek powróci nogami, mnie się uginają od przygnębienia, omiatam wzrokiem witrynę księgarni – tam zawsze pocieszenie, nawet w książkach przygnębiających. Wśród nowości i wznowień właśnie błyszczą okładka „Ślicznotki doktora Josefa” – zapoznanego arcydzieła prozatorskiego Zyty Rudzkiej, opowiadającego o przekleństwie starości i traumach poobozowych. Nie ma co się zrażać, kto nie czytał, ten trąba; wesoło już było.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



ul. Brzeska



PRAGA

wczoraj i dziś

W numerze 32. prezentowaliśmy zdjęcia Alberta Krystyniaka dokumentujące dzień powszedni warszawskiej Pragi w latach 70. XX w. W naszej redakcji narodził się pomysł skonfrontowania utrwalonych obrazów ulic sprzed 50 lat z dniem dzisiejszym. Co pozostało, a co odeszło w przeszłość? Zdjęcia miejsc, które przed półwiekiem fotografował Albert Krystyniak, wykonał **nasz redakcyjny fotograf Krzysztof Żuczkowski**.



Skrzyżowanie ulic Stalowej i Środkowej





ul. Okrzei



ul. Wrzesińska



Rozmawia Kuba Armata

„Aida” jest świadectwem największego ludobójstwa w Europie od czasów II wojny światowej, czyli masakry w Srebrenicy w 1995 r. To ważny i bolesny film, a jednocześnie wyrzut sumienia dla całej Europy. Dla pani, pochodzącej z Bośni, to osobiste doświadczenie?

– Wojnę przeżyłam w Sarajewie, więc bezpośrednio nie doświadczyłam tego, co wydarzyło się w Srebrenicy, ale dla mnie jako Bośniaczki to coś bardzo bolesnego. Już po wojnie życie w Bośni sprowadzało się do tego, że dosłownie każdego dnia wychodziły na jaw kolejne dramatyczne historie. Matki nie mogły odnaleźć grobów dzieci, zaczęto ścigać odpowiedzialnych za to przestępców, którzy uparcie zaprzeczali, jakoby zrobili coś złego. To wypełniało nasze życie. Widać było ogromny dramat, który wiele mówił o ludzkiej naturze i człowieczeństwie. We mnie jako reżyserce pojawiło się pytanie, jak o tym opowiedzieć. Przez wiele lat nie potrafiłam znaleźć na nie odpowiedzi. Liczyłam na to, że ktoś mnie uprzedzi i zrobi na ten temat film, bo to prawdziwe pole minowe. Jeśli na nie wejdziesz, pojawia się cała rzesza nieprzychylnych ci ludzi. Każdy ma swoją prawdę, własną interpretację zdarzeń w Srebrenicy. Nie było łatwo podjąć decyzję o zrobieniu tego filmu. Jest niezwykle ważne, by o tym mówić. To, co się dzieje aktualnie nie tylko w Europie, ale i na całym świecie, przypomina wydarzenia z Bośni lat 90. A przecież na błędach z przeszłości powinniśmy się uczyć.

Co ma pani na myśli, mówiąc, że dzisiejsza atmosfera przypomina tamtą?

– Chociażby to, w jaki sposób do niedawna Donald Trump wypowiadał się na temat konfliktów, które sam wywoływał. Nieodpowiedzialność, jaka go cechowała, jest dokładnie tym, co robili politycy w Jugosławii w latach 90., nie ponosząc konsekwencji. Mogli zmieniać fakty w taki sposób, by pasowały do ich narracji. Mieli możliwość kontrolowania mediów i publikowania w nich swojego przekazu. To zaproszenie dla wszelkiej maści psychopatów, otwarcie przed nimi szeroko drzwi. Kiedy się stworzy klimat, w którym staje się to

Gdyby Srebrenica wydarzyła się dzisiaj

Ponad 25 lat po masakrze wciąż nie wypracowaliśmy mechanizmów zatrzymania nienawiści



**JASMIŁA
ŽBANIĆ**

– reżyserka filmu
„Aida”

Jasmila Žbanić – bośniacka reżyserka i scenarzystka. Jej film „Grbavica” w 2006 r. zdobył trzy nagrody, w tym Złotego Niedźwiedzia, na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie. Tam też światową premierę miała jej kolejna produkcja „Jej droga” (2010). Z kolei „Aida” nominowana była do Oscara w kategorii najlepszy film międzynarodowy. Žbanić to jeden z najważniejszych kobiecych głosów we współczesnym kinie europejskim.

dopuszczalne, będziemy zmierzać w złym kierunku. Działalność wielu dzisiejszych polityków przypomina mi tamtą atmosferę. To jawne zaproszenie do przemocy.

Powiedziała pani, że temat Srebrenicy to rodzaj pola minowego. Podobnie chyba było z pani głośnym filmem z 2006 r. „Grbavica”, który miał poważne problemy z dystrybucją na Bałkanach. Czy rany kryjące się za historią z „Aidy” wciąż w Bośni i Serbii są otwarte?

– Niestety, wciąż jesteśmy bardzo podzielonym społeczeństwem. Polityczne siły rządzące naszymi krajami nie różnią się zbyt wiele od tych z lat 90. Jugosławia była krajem socjalistycznym, by później zostać sprywatyzowana. To, co wcześniej należało do ludzi, przeszło w ręce prywatne. Proces ten kontrolowany był przez partie polityczne, których członkowie bardzo na tym się wzbogacili. Im nie jest więc na rękę, by w naszym kraju było normalnie. Potrzebują konfliktu, by utrzymać zainteresowanie. Nie kupuję narracji, że Bośniacy z Serbami się nienawidzą i trwa to od 500 lat. To nieprawda. To sposób budowania polityki jako licencji na zabijanie.

„Aida” jest trudnym filmem do dystrybucji. Pamiętam, jak było w przypadku „Grbavicy”, kiedy dzwonili do nas właściciele kin i wprost mówili, że jeśli będą grali film, kino zostanie zdewastowane, a może i spalone. Co ciekawe, „Grbavica” okazała się przebojem na czarnym rynku, co dowodzi, że ludzie chcieli ją zobaczyć. Zawsze zatem znajdzie się jakiś sposób, nawet, a może zwłaszcza wtedy, kiedy jest to zabronione.

Odczuwała pani dużą presję, by zrobić „Aidę”, a może właśnie jej nie robić?

– Czułam tę presję zwłaszcza w momencie decyzji. Każdy ma swoją wersję zdarzeń, ale i tego, jak powinien wyglądać film. Wielu problemom musiałam po drodze stawić czoła. Temu, że jestem kobietą, temu, że jestem z Bośni. Zdawałam sobie sprawę, że nie wchodzi na spokojne terytorium, gdzie wszyscy witaliby mnie z otwartymi ramionami. Na temat Srebrenicy wciąż toczy się wiele gorących sporów. Chociażby tak absurdalne jak ten, czy doszło tam do ludobójstwa, czy nie. Oczywiście, że doszło, co zostało potwierdzone

przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze i nie wiem, jak można to kwestionować. Zdawałam sobie jednak sprawę, że pojawi się po drodze wiele komplikacji. I rzeczywiście były, w zasadzie na każdym etapie produkcji.

W pani filmie udział bierze wielu statystów. To często ludzie, którzy musieli wrócić do swojej przeszłości. Trudno było im przejść przez to raz jeszcze, gdy wspomnienia ożyły?

– To był bardzo emocjonalny plan. Aktorka grająca główną rolę, Jasna Đuričić, pochodzi z Serbii, co mogło wzbudzać kontrowersje. Zarówno dla mnie, jak i dla niej nie miało to żadnego znaczenia. Mogę powiedzieć, że dla niej, która wiedziała, co wydarzyło się w Srebrenicy z rąk Serbów bośniackich, zagranie w „Aidzie” było wielkim przeżyciem. W przypadku statystów, przynajmniej do pewnego momentu, nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak trudne może to być. Nie było czasu, by poznać niemal 400 opowieści. W trakcie zdjęć byliśmy jednak świadkami

fizycznym. Temperatura sięgała 40 st. C, a w miejscu, gdzie kręciliśmy, nie było żadnych drzew ani cienia. Czułam jednak, że ci ludzie mają potrzebę opowiedzenia tej historii. Przekonywali, że należy zrobić ten film, byli bardzo wspierający. Podobnie zresztą jak cała ekipa, a była to koprodukcja aż dziewięciu europejskich krajów. W tym Polski, skąd pochodzą kompozytor Antoni Komasa-Łazarkiewicz, montażysta Jarosław Kamiński oraz kostiumografka Małgorzata Karpiuk.

Srebrenica w tamtym czasie została ogłoszona przez ONZ jedną ze stref bezpieczeństwa, nie wolno było napadać jej ani bombardować. Ochraniać ją miał holenderski batalion, 400 żołnierzy.

– Kiedy robiłam dokumentację do filmu, odkryłam wiele rzeczy, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Na dowódcach sił ONZ spoczywała bardzo duża odpowiedzialność, ale uważam, że nawet przy ograniczonych środkach i naciskach politycznych mogli zrobić znacznie więcej. Mieli prawo otworzyć ogień,

Wielu sprawom musiałam stawić czoła. Temu, że jestem kobietą, temu, że jestem z Bośni.

kilku momentów, gdy ich reakcja była dla nas szokiem. Podczas sceny, gdy serbscy żołnierze wchodzi na teren obozów i pytają, czy ludzie mają broń, dwie kobiety doznały niemal załamania nerwowego. Byliśmy zmuszeni wezwać pogotowie. Ten moment coś w nich uruchomił. Do tego stopnia, że aktor, który grał żołnierza, musiał je przekonywać, że to tylko rola i wcale nie jest serbskim wojskowym. Te osoby nie były nawet ze Srebrenicy, ale w tym czasie jako małe dziewczynki przebywały w innym obozie i pamiętały coś podobnego. Zdałam sobie wtedy sprawę, że wśród statystów jest wielu strauatyzowanych ludzi.

Wiele było takich momentów?

– Kiedy planowaliśmy jakąś scenę z udziałem żołnierzy, podszedł do mnie jeden ze statystów i powiedział, że było inaczej. Opowiedział mi o tym ze szczegółami i uznałam, że musimy być wierni jego świadectwu. To był trudny i wyczerpujący plan, także pod względem

gdy weszli tam serbscy żołnierze. Tymczasem nie padł ani jeden strzał. Ponoszą sporą odpowiedzialność za śmierć niewinnych ludzi. Kiedy rozmawiałam ze świadkami tych zdarzeń, przekonywali, że żołnierze za nimi nie przepadali, mieli uprzedzenia do muzułmanów i być może dlatego nie reagowali. Nie zgadzam się jednak z taką narracją, że ktoś jest albo dobry, albo zły. Rozmawiałam z holenderskimi żołnierzami i to też było dla mnie niezwykle poruszające. Kiedy to się wydarzyło, niektórzy mieli zaledwie 18 lat. Sama mam córkę w tym wieku. Spotkałam młodą kobietę, która była obiecującą sportsmanką, ale nie miała pieniędzy na kontynuowanie kariery. By zdobyć fundusze, zaciągnęła się do wojska i Srebrenica była jej pierwszą misją. Wylądowała nagle w samym środku wojny. To byli zwykli żołnierze, którzy zostali postawieni w ekstremalnej sytuacji i nie wiedzieli, co robić, jak się zachować. Musieli za to wykonywać rozkazy. Dlatego staram się

► nie generalizować w filmie, że wszyscy myśleli w ten sam sposób. Pokazuje pani też dowódcę Sił Zbrojnych Republiki Serbskiej, odpowiedzialnego za masakrę w Srebrenicy gen. Ratka Mladicia.

– Wiedziałam, że nie mogę go pominąć, bo był tam kluczową postacią. Wszyscy wiedzą, jak wygląda Mladić. Jeśli próbowałabym upodobnić do niego aktora, to pewnie spotkałabym się z komentarzami, że to nie on. To zawsze ryzyko, kiedy opowiada się o prawdziwych postaciach. Miałam przez pewien

Czy z pani doświadczeń wynika, że masakra w Srebrenicy jest dobrze znanym faktem poza Bośnią czy Serbią?

– Z moim montażyście Jarkiem Kamińskim pojechaliśmy do łódzkiej Filmówki, gdzie chcieliśmy pokazać film jego studentom. To byli ludzie mniej więcej od 20. do 27. roku życia. W sali siedziało 16 osób. Dziesięć nigdy nie słyszało o Srebrenicy, kolejne sześć znało tę nazwę, ale nie wiedziało, co tam się wydarzyło. To było cenne doświadczenie, bo pomogło mi w kolejnej wersji montażowej,

tendencje, na które trzeba rzucić trochę światła. Wielu populistycznych polityków rośnie dzisiaj w siłę. O tym mówiłam w kontekście Trumpa. Nie można stwarzać pretekstów do odbierania człowiekowi jego podstawowych praw. A to się dzieje. Z mojego punktu widzenia to pierwszy krok do tego, co się wydarzyło w Bośni.

Bardzo przykro mi to mówić, ale uważam, że gdyby Srebrenica miała wydarzyć się dzisiaj, niewiele by się zmieniło. Europejscy politycy nie kiwnęliby palcem, gdyby usłyszeli, że w jakimś miejscu jest 30 tys. ludzi, wśród nich muzułmanie, i idzie na nich wojsko. Trudno mi wyobrazić sobie Viktora Orbána czy prezydenta pańskiego kraju, który publicznie mówiłby, że musimy bronić praw człowieka. Przeraża mnie, że ponad 25 lat po masakrze i wielokrotnie padających słowach, że już nigdy więcej, wciąż nie wypracowaliśmy mechanizmów zatrzymania nienawiści.

Z czego to pani zdaniem wynika?

– Nie uczymy się na błędach. Musimy się dowiedzieć, gdzie tkwią korzenie naszych problemów. Niektórzy w naszym filmie widzą atak na ONZ. Uważam, że istnienie tej organizacji jest niezbędne, ale jednocześnie nie może ona być pod taką kontrolą



czas pomysł, by filmować go jedynie od tyłu. To jednak dodawałoby mu tajemniczości, a tego nie chciałam. Mladić jest zbrodniarzem wojennym, ale także jest człowiekiem. Nie chciałam pokazywać go jako potwora, bo wydaje mi się, że każdy z nas mógłby zrobić coś złego, gdyby postawiono go w określonych okolicznościach.

Nie chodzi o usprawiedliwienie jego czynów, ale taka narracja jest niebezpieczna, gdyż może to być sposób na oddalenie tego problemu od nas. Ci ludzie muszą być z nami, siedzieć przy tym samym stole, ponieważ to jedyna szansa, byśmy wyciągnęli z tego jakąś lekcję i uniknęli takich sytuacji w przyszłości. Dlatego Mladić musiał mieć ludzką twarz, choć najważniejsze było, by grający go aktor uchwycił wewnętrzną prawdę o nim. Na YouTube znajdują się filmy z każdej akcji Mladicia, która jest w „Aidzie”. Pozwoliłam sobie na niewielkie ingerencje z uwagi na dramaturgię filmu, ale założenie było takie, by trzymać się rzeczywistości.

Nie można stwarzać pretekstów do odbierania człowiekowi jego podstawowych praw. A to się dzieje.

w której pewne rzeczy musiałam wyłożyć bardziej wprost. Kiedy robisz film o Holokauście, ludzie wiedzą, czym był, znają pewne fakty, można natychmiast przejść do właściwej historii, jak chociażby w „Synu Szawła” (2015) węgierskiego reżysera László Nemesa. Okazuje się, że w przypadku masakry w Srebrenicy odpowiedzi na podstawowe, wydawałoby się, pytania wcale nie są oczywiste.

Film jest, jak pani powiedziała, koprodukcją dziewięciu europejskich krajów. Czy mimo zagęszczającej się atmosfery politycznej czuje pani jakąś europejską wspólnotę, solidarność?

– Każdy z tych krajów miał potrzebę zrobienia tego filmu, bo panowało przekonanie, że ta historia powinna być znana w całej Europie. Choć myślałam, że ważnym powodem był też fakt, że widać w tych krajach niepokojące

polityków. Kontaktowałam się z Davidem Harlandem, który przygotował finalny raport o masakrze w Srebrenicy. Miał on dostęp do wszystkich dokumentów, rozmawiał z kluczowymi postaciami, w tym z Mladiciem. Dałam mu scenariusz do przeczytania, widział też wersję roboczą filmu. Zależało mi na tym, by jak najbardziej trzymać się prawdy.

Nie jestem dobra w tworzeniu struktur, ale mogę powiedzieć, gdzie widzę luki. Naszym głównym problemem jest zbyt mały poziom empatii. To dla mnie słowo klucz. Gdyby było jej więcej, do takiej tragedii w ogóle by nie doszło. Zresztą dzisiaj odnosi się to do problemu uchodźców. Jeśli spojrzymy na nich jak na ludzi, będzie zdecydowanie lepiej. Musimy nad tym pracować. Najlepiej już od etapu szkolnego.

Kuba Armata

KURTYNA W GÓRĘ

MIĘDZY OKŁADKAMI

KLUB DRAPIEŻCÓW

Reportaż „Klubben” Matildy Voss Gustavsson wstrząsnął szwedzką opinią publiczną. Jego publikacja wstrzymała przyznanie Literackiej Nagrody Nobla w roku 2018. Zebrane relacje 18 kobiet, które doznały przemocy w elitarnym klubie, będącym symbolem kultury wysokiej, zachwiały wiarą w autorytety moralne i artystyczne. Odważne kobiety przerwały milczenie. To były „rozmowy jak otwieranie rany”, powiedziała jedna z nich reporterce.

Teraz grupa absolwentek warszawskiej Akademii Teatralnej sięgnęła po książkę Gustavsson, aby opowiedzieć o przemocy wobec kobiet, o molestowaniu, o gwałtach. Dołączyły w ten sposób do ruchu #MeToo – powstał pierwszy w Polsce spektakl z nim związany, w którym aktorki i pozostałe twórczynie uczestniczyły na równych prawach. Koordynatorką całości jest Weronika Szczawińska.



Wszystko rozgrywa się bez dekoracji w roboczym oświetleniu. Widzowie siedzą po bokach „klubowej” sali, wypatroszonego z rzędów wnętrza sali widowiskowej TR Warszawa. Początkowo dialog toczy się leniwie. Siedzące wśród widzów aktorki powtarzają plotki, dzielą się swoimi spostrzeżeniami. To najpierw tylko sugestie czy przypuszczenia, że w klubie ktoś zachowuje się zbyt obcesowo, może nawet nachalnie, ale wraz z upływem czasu okaże się, że to wstęp do relacji o drapieżcach seksualnych. Wtedy aktorki wychodzą na środek, atmosfera się zgęszcza.

Aktorki szukają własnych, odrębnych sposobów opowiadania o przemocy, choć nie zapominają, że grają – pod koniec jedna z nich przypomina: przecież mieliśmy państwu pokazać sztukę, i po chwili dokonuje striptizu, przybierając pozę „Dyskobola” Myrona. Twórczynie tego spektaklu stawiają pytanie: co w tym spotkaniu ważniejsze: przekaz czy jego forma?

Tomasz Miłkowski

„Klub”, scenariusz i reżyseria Weronika Szczawińska, Teatr Collegium Nobilium, premiera w TR Warszawa, 3 września 2021

ACH, TE BABY!

Będzie event, muzyka, poczęstunki i rozrywka. Najważniejszy jednak jest spektakl, który otwiera sezon 21/22 w TEATRZE XL – tak zapraszał na pierwsze jesienne przedstawienie nowy, mały teatr stołeczny, który ma w nazwie „rozmiar ponadprzeciętny”. W sztuce grają tylko dwie, znakomite aktorki: Diana Karamon i Izabela Górską, ale mamy tu do czynienia z kilkunastoma osobami – rodzicami dziewcząt, katechetą, mężami, kochankami, fryzjerką itp. I choć sztuka powstała w Grecji, jej przekaz jest aktualny także u nas. Śmiejemy się, że dwóm kobietom nie wszystko się udaje, że czasem omija je szczęście. Dlaczego?



Bronisław Tumilowicz

Chrisa Spilioti, „Madonny i ladacznice”, tłumaczenie Ewa T. Szyler, reżyseria Grzegorz Mrówczyński, Teatr XL w Warszawie, spektakl 18 września 2021

Ann Cleeves

Długi zew

tłum. Sławomir Kędziński

Czwarta Strona, Poznań 2021

Żegnamy Jimmy’ego Pereza i serię szetlandzką – kwartet, który rozrósł się do oktetu, a przenosimy się do hrabstwa Devon, w okolice Barnstaple. Nie zabraknie nam jednak pejzaży wybrzeża, bo tu rzeki Taw i Torridge wpadają do Atlantyku – i właśnie na plaży zostają znalezione zwłoki mężczyzny z wytatuowanym na karku albatrosem. Jakie brzemie win dźwigał niczym stary żeglarz Coleridge’a? Kierujący śledztwem Matthew Ven szybko zaczyna się zastanawiać, czy nie przekazać komuś dochodzenia, gdy się okaże, że ofiara związana była z centrum kulturalno-opiekuńczym, którym zarządza jego mąż. Przedwcześnie posiwiły, ukrywający się za elegancją stroju Matthew pozornie nie pasuje do towarzyskiego Jonathana o aparycji surfera, ma też kontrastową, obiecującą z czytelniczego punktu widzenia dwójkę podwładnych i szefa, który udaje, że pracuje. A wracając do brzemienia win, skrzywdzić kogoś można nawet niechcący, pytanie, czy uzna się swoją odpowiedzialność.

Aleksandra Pańko



Natasha Trethewey

Memorial Drive. Wspomnienia córki

tłum. Kaja Gucio

Cyranka, Warszawa 2021

Natasha Trethewey, choć zdobyła wiele nagród literackich i dziennikarskich – w tym Pulitzera – nie jest w Polsce powszechnie znaną autorką. To może się zmienić za sprawą skromnej objętościowo, ale bogatej literacko książki „Memorial Drive. Wspomnienia córki”. Na bogactwo powieści składa się warstwa narracyjna i plastyczny, obrazowy język (świetny przekład Kai Gucio!). Autorka wpuszcza czytelników do swojego trudnego życia. Pokazuje przeszłość, od czasów dzieciństwa na pograniczu dwóch światów (los dziecka z mieszanego rasowo małżeństwa), przez wczesną młodość naznaczoną domową przemocą i milczeniem, po moment tragicznego zabójstwa matki. Trethewey z własnych doświadczeń tka niezwykle uniwersalną opowieść o rasizmie w rzekomo równościowym świecie, o spirali przemocy domowej w epoce kobiecej emancypacji, w końcu o literackiej inicjacji – która niekiedy zaczyna się od zrozumienia, że jest się innym. Albo od rany, która nigdy się nie zagoi.



Rafał Piłkuła

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Jacek Pałkiewicz

Znakomity podróżnik, dziennikarz, odkrywca źródła Amazonki, synonim przełamania barier, twierdzi, że życie daje każdemu tyle, ile sam ma odwagę sobie wziąć, a on nie zamierza zrezygnować z niczego, co mu się należy

Jeszcze zupełnie niedawno podróżowanie stanowiło doniosły element mojego życia. Potem nagle wszystko zastygło, zabrakło samolotów, kontroli paszportowych i celnych, jet lagu. Przymusowa izolacja w domu stała się utrapieniem. Ustawiczną peregrynację zastąpiła martwa cisza, a okno domu stało się ekranem świata. Pojawił się głód hoteli, odliczania stref czasowych, dziewiczego lasu tropikalnego czy folkloru mieszkańców odległych krain.

Uświadomiłem sobie, że za moimi plecami już równe 50 lat aktywności reporterskiej, każdorazowo związanej z wędrówką, której nie powstydziliby się nawet Odyseusz, symbol losu współczesnego człowieka, odzwierciedlający parabolę ludzkiego życia, a także wyprawę w głąb samego siebie. Wymagające wysiłku i poświęcenia eskapady po bezdrożach stały się dla mnie podstawą egzystencji i inspirowały do podejmowania nowych wyzwań. Były również źródłem refleksji na temat dobra i zła, miłości i nienawiści,

Jestem wrogiem numer jeden pandemii społecznej XXI w. – konsumpcjonizmu.

życia i śmierci, ludzkiego losu, jego przemijania i kruchości.

Nadeszła chłodna refleksja nad metamorfozą znanego mi świata. Dokonał żywota ZSRR, upadł mur berliński, pojawiła się Europa bez granic. Jednocześnie poczynił milowe kroki postęp technologiczny, masywny komputer z lat 70. został zastąpiony laptopem, a potem tabletem. Nasze życie zrewolucjonizował internet, główne medium codziennej informacji. Google zintegrował się z codzienną egzystencją. Wikipedia przybrała kształt największej encyklopedii świata. Facebook poszerzył się o Twittera, Instagram, YouTube'a.

Nastąpiła eksplozja zakupów online, zadomowił się międzynarodowy terroryzm, Skype stał się platformą umożliwiającą łączenie się z całym światem. Jeszcze przedwcześniej istniała technologia 3G, wczoraj używaliśmy 4G, a dzisiaj nadchodzi już 5G. Na naszych oczach rozwija się sztuczna inteligencja. Nic nie może się równać z jakością życia, jaka istniała w ostatnich dziesięcioleciach.

Po wielokroć angażowałem się na rzecz zdrowia naszej planety. Co więcej, jestem wrogiem numer jeden pandemii społecznej XXI w. – konsumpcjonizmu za sprawą wyimaginowanych potrzeb. Nie szczędzę

Żyjąc na krawędzi

Pięć dekad porywającej wędrówki
Jacka Pałkiewicza



Popiersie Jacka Pałkiewicza wykonane przez wybitnego rosyjskiego rzeźbiarza Iwana Korżewa.

krytyki wszystkim nałogowym zakupowiczom, którzy uwypuklają problem ubóstwa i pogłębiające się nierówności społeczno-ekonomiczne.

Delektuję się poczuciem znakomitego przeżytego czasu i ukojenia z powodu wcielenia w życie ambitnych projektów. Podejmowałem karkołomne wyzwania, poznawałem nieprzyjazne krainy oraz żyjących tam mieszkańców. Zawsze czyniłem to, co przynosiło mi satysfakcję. Nieraz odnosiłem sukcesy tam, gdzie inni musieli się poddać. Jestem osobą spełnioną, nad wyraz uprzywilejowaną, która wygrała los na loterii.

Dzieciństwo spędziłem w prowincjonalnym miasteczku na Mazurach. Tam też ukształtował się mój charakter. Harcerstwo nauczyło mnie szacunku i podziwu dla natury, a pochłanianie książki rozbudziły głód

świata. Zauroczony powieściowymi bohaterami wędrowałem ich śladami, wodząc palcem po wielkim podświetlanym globusie. Nauczyłem się na pamięć całego atlasu geograficznego, mojej biblii, i śniłem o dalekich wyprawach. W PRL zwykli ludzie nie mieli szans na wyjazd za granicę, ale ja nie rezygnowałem z prawa do wolności. Zachłanność świata popchnęła mnie do nielegalnego pokonania żelaznej kurtyny. Wylądowałem we Włoszech, tam założyłem rodzinę.

Kto boi się ryzyka, nie zazna nigdy smaku przygody.

Zaczynałem od zera. Z czasem nazwisko Pałkiewicz czy Palki, jak mówią Włosi, pojawiło się obok dwóch innych Polaków, Jana Pawła II i „Zibiego” Bońka. Pracowałem w sztandarowej gazecie „Corriere della Sera”, gościłem w liczących się mediach, wiele moich publikacji ukazywało się w innych krajach (zob. www.palkiewicz.com). Zwróciłem na siebie uwagę szkołą survivalową, pojawiły się sukcesy na polu eksploracyjnym. Samotnie pokonałem Atlantyk w roli dobrowolnego rozbitka. Teoretycznie dwa razy zaistniałem w Księdze rekordów Guinnessa: jako pierwszy człowiek, który samotnie pokonał ocean łodzią ratunkową, oraz ten, który pływał w charakterze drugiego oficera na statkach panamskich, nie mając za sobą żadnej szkoły morskiej. Piszę „teoretycznie”, bo do oficjalnego zarejestrowania rekordu powinno się wnieść dosyć istotną opłatę do kasy tej instytucji. Nie zrobiłem tego, bo tak odnotowane rekordy mają dla mnie wyłącznie aspekt komercyjny.

Byłem wolny, posiadałem bezcenny „europejski” paszport i byłem w stanie wcielić w czyn moje credo: „Życie daje każdemu tyle, ile sam ma odwagę sobie wziąć, a ja nie zamierzam zrezygnować z niczego, co mi się należy”. Krystalizowałem młodzińcze marzenia w świecie niezmienionym od jego zarania. Tego, co wyniosłem z pasjonujących dzieł Roberta Stevensona czy Daniela Defoe, mogłem dotknąć własną ręką, wziąć to pod lupę. Wielokrotnie byłem tam, gdzie nie dotarli podziwiani przeze mnie herosi. Kiedyś

w Wenezueli wspiąłem się na tajemnicze *tepui*, góry o płaskich wierzchołkach opisane przez Arthura Conan Doyle’a w „Zaginionym świecie”. Było to wyjątkowe przeżycie, bo miejsce stanowiące temat wielu legend, które autor znał tylko ze słyszenia, ja mogłem podziwiać osobiście.

Nieraz pytają, czy czegoś żałuję. W przeszłości utrzymywałem, że nie, ale to nieprawda. Boli mnie serce, że nie znalazłem niezbędnej równowagi między karierą a rodziną.

Przegapiłem dzieciństwo swoich synów, bo byłem gościem w domu. Nie poświęciłem wystarczająco dużo czasu mojej żonie Lindzie, kobiecie o niebywale bogatym wnętrzu i wrażliwości.

Każdy, kto chce wejść na podium i być bardziej rozpoznawalny, nie może biernie czekać, aż zostanie doceniony. Musi budować sieć relacji, szukać sposobów na obwieszczenie swoich zasług i pozytywnych cech oraz dbać o autopromocję i w nią inwestować. Nie miałem własnego agenta, zmuszony byłem sam prowadzić jednoosobową agencję

Na wyprawach z dala od utartych dróg ciekawość jest silniejsza od lęku.

public relations. Dzisiaj nie wystarczy coś zrobić. Guru zarządzania powtarzają przy każdej okazji, że można być genialnym fachowcem w jakiejś dziedzinie albo posiadać najlepszy wyrób na świecie, ale nikt się o tym nie dowie, dopóki nie rozgłosi się tego światu i nie nauczy się sprzedawać swojego produktu.

Nie umniejszam swoich zasług ani sukcesów, ale wbrew temu, co niektórzy mi wytykają, nie uprawiam lansu. Po prostu dbam o swój wizerunek i nie ograniczam się wyłącznie do „opakowania”, wyglądu zewnętrznego czy sposobu mówienia i poruszania się, bo to rzeczywiście zostaje dostrzeżone, ale tylko na początku. Potem trzeba się wykazać osobistym potencjałem i profesjonalści doceniają to, co robię. Nieraz w mediach

społecznościowych piszą, że jestem nadętym narcyzem afiszującym się sukcesami. Ale to mnie nie razi. Na szkoleniach menedżerów marketingu podkreśla się, że tak myślą tylko biedni. Bogaci dbają o promocję swojej wartości.

Nigdy nie godzę się na kompromisy, nawet jeśli zagrażają realizacji nakreślonych celów. Nie boję się poruszać na krawędzi oddzielającej krąg zachowań ryzykownych od bezpiecznych. To fakt, rzeczywiście nie przebiegam w słowach, używam barwnego języka. Nie jestem też facetem, który mówi „przepraszam”, gdy ktoś w tramwaju nadeptnie mi na nogę. Fakt, jestem trochę oschły, szorstki.

Żyjąc na krawędzi, niejednokrotnie stałem moje myśli ku Stwórcy, szukając wsparcia. Wiara uskrzydlała mnie, podnosiła na duchu, sprawiała, że nie czułem się sam na polu walki. Nazywam to ekwipunkiem ratunkowym rozbitka, pozwalającym mu utrzymać się na powierzchni. Bywało, że igrałem z ogniem, świadomie podejmowałem ryzyko, ale nie po to, by poczuć w żyłach pulsującą adrenalinę. Na wyprawach z dala od utartych dróg ciekawość jest silniejsza od lęku. Kto boi się ryzyka, nie zazna nigdy smaku przygody.

Pomimo porywającego życia pojawia się jednak gorycz związana ze zbliżającym się nieuchronnie „końcem wędrówki”. Czas okazuje się bezlitosny, chociaż zdecydowanie spokojniej niż większość innych podchodzę do procesu starzenia się i konfrontacji z tym, co nieuniknione. W melancholijną zadumę wprawia mnie powszechna afirmacja młodości, urody i tężyzny fizycznej. Sędziwy wiek bywa często postrzegany jako ułomność czy wręcz osobista klęska. I chociaż wciąż jestem młody duchem i tak postrzegam otaczający świat, nic nie zmienia tej gorzkiej prawdy, że barwny film mojego życia dobiega końca. Tam, za Wielką Bramą, nie mogę już liczyć na życzliwość tego świata.

www.palkiewicz.com

Cuda z Bieszczad

Czarny czosnek wspomaga odporność, działa przeciwzapalnie i jest pyszny



Rozmawia Paula Leśniewska

Co to jest czarny czosnek?

– Czarny czosnek powstaje podczas procesu fermentacji, zwanego reakcją Maillarda. Cała procedura wygląda tak: najpierw wkładamy świeży czosnek do specjalnego pieca. On tam sobie siedzi ok. 30 dni w temperaturze 60-80 st. C i kontrolowanej wilgotności. Potem wyjmujemy i *voilà* – mamy czarny czosnek. Brzmi jak bułka z masłem, a jednak sporo może pójść nie tak. Kluczem jest specjalnie przystosowana komora i odpowiednia kontrola całego procesu.

Robicie go sami?

– Tak, to rodzinny biznes. Robimy czarny czosnek mniej więcej od dwóch lat. Ja zajmuję się głównie sprzedażą – przez stronę internetową: bieszczadzki-czosnek.pl, oraz przez portal Allegro – a moi rodzice produkcją. Mieszkają w Bieszczadach już 20 lat. Tata miał wcześniej firmę w Lublinie, ale zrobił klasyczny manewr – rzucił wszystko i wyjechał w Bieszczady. Kilka lat później dołączyła do niego mama. Zajmowali się różnymi rzeczami – na początku produkcją węgla drzewnego, potem przez kilkanaście lat prowadzili ekologiczną hodowlę owiec. Ale przy zwierzętach, wiadomo, mnóstwo pracy, świątek, piątek trzeba się nimi zająć. Mamy sporo ziemi, bardzo urodzajnej, więc mój tata wymyślił, żeby zamiast hodować zwierzęta, po prostu coś posadzić. Zaczął czytać w internecie i trafił na czarny czosnek.

I chwyciło.

– Pierwszą, próbną partię zrobiliśmy w zwykłym, nieprzystosowanym piecu, ale i tak po miesiącu wyjęliśmy

z niego czosnek z czarnymi ząbkami. Okazało się, że smakuje mniej więcej tak, jak to opisywano w internecie. Wtedy już wiedzieliśmy, że chcemy się tym zająć na poważnie, i zaczęliśmy się rozglądać za dobrym piecem. Można taki kupić w Chinach, bez problemu przysyłają do Polski. Ale tata stwierdził, że zrobi go sam, poczytał i rzeczywiście go wykonał. A dalej już metodą prób i błędów doszliśmy do tego, co mamy teraz.

Czym się różni czarny czosnek od białego?

– Czarny czosnek nie ma w sobie ostrości, więc nie obciąża tak wątroby i żołądka. W smaku jest trochę



Czarny czosnek nie ma w sobie ostrości, więc nie obciąża tak wątroby i żołądka.

słodkawy, trochę kwaśny, niektórzy mówią, że jest podobny do suszonych śliwek. Nasz czosnek nie powoduje zgagi, jest delikatny i stanowi dobrą alternatywę dla tych, którzy chcą korzystać z leczniczych właściwości czosnku, ale nie mogą jeść świeżego z różnych powodów. **No właśnie, słyszałam, że czarny czosnek ma nieprzeciętne właściwości zdrowotne.**

ADAM LATO

– producent muzyczny, jedna trzecia zespołu robiącego ekologiczny czarny czosnek w Szczawnem w Bieszczadach

– Można powiedzieć, że to ulepszony czosnek świeży. Podczas fermentacji powstają w nim szczególnie związki organiczne – np. S-allylcysteina. Czarny czosnek obniża cholesterol, ma działanie przeciwzapalne, przeciwutleniające, przeciwalergiczne, a nawet przeciwcukrzycowe, mówiąc w uproszczeniu, bo zmniejsza insulinooporność. Niedawno jedna z naszych klientek, która ma cukrzycę, opowiadała mi, jak długo szukała naturalnego specyfiku, który pomógłby jej w zbijaniu cukru. W końcu, po wydaniu małej fortuny, ktoś polecił jej czarny czosnek. Kupiła u nas, zaczęła jeść i po jakimś czasie rzeczywiście poziom cukru w jej krwi spadł.

Wy też go jecie?

– Tak, my wszyscy: i ja, i rodzice, i moja żona. Tata długo miał problem z nadciśnieniem, brał wprawdzie leki, ale dorzucił do jadłospisu czarny czosnek. Po jakimś czasie ciśnienie się uregulowało. Sęk w tym, że nie można oczekiwać rezultatów po zjedzeniu ząbka raz na tydzień. Kluczowa jest regularność.

Więc ile go jeść?

– Dwa ząbki dziennie, tylko konieczne codziennie. Jeżeli główka jest bardzo duża, to wystarczy jeden ząbek, jeżeli mała, to trzy. Ale mamy klientów, którym tak posmakował nasz czosnek, że zjadają znacznie więcej. Kiedyś zadzwoniła do mnie zaniepokojona pani i mówi: „Kurczę,

zjadłam wieczorem dwie główki, tak mi smakował, i nie mogłam zasnąć". I rzeczywiście – w takiej ilości czosnek może mieć działanie pobudzające. Dlatego zawsze mówimy, że lepiej jeść go rano.

Kto nie powinien próbować czarnego czosnku?

– Na pewno ktoś, kto ma alergię na czosnek. W innych przypadkach zachęcam.

Mówiłeś o specyficznym smaku czarnego czosnku. Czy można go wkomponować w jakąś potrawę?

– Jak najbardziej. To jest tzw. piąty smak, umami – można powiedzieć naturalny wzmacniacz smaku. Kiedy pierwszy raz moi znajomi powąchali czarny czosnek, stwierdzili, że pachnie jak maggi, taka przyprawa z glutaminianem sodu. To oczywiście sztuczna substancja, która wzmacnia smak i zapach potraw, natomiast czarny czosnek jest jej prozdrowotną, naturalną alternatywą. Szczególnie świetnie się wkomponowuje w dania kuchni azjatyckiej. Ale nadaje się nie tylko do przyprawiania orientalnych potraw. Ja go dorzucam np. do rosółu, żeby miał pełniejszy smak i jeszcze lepsze właściwości. Dobrze się nadaje do różnych sosów, dipów, w Azji dodają go często do owoców morza. Ostatnio widziałem w sklepie zestaw mięs na grill w marynacie z czarnego czosnku, sami też próbowaliśmy to zrobić i wyszło naprawdę dobre.

Styszałam, że powstało coś takiego jak lody z czarnym czosnkiem.

– Tak! Zgadałem się ze świetnym kucharzem-cukiernikiem, który pracuje w jednej z lubelskich restauracji, i on zrobił takie lody. Wrzucili je na próbę do karty i rozeszły się niesamowicie szybko, bo to ciekawy smak, niebanalny, coś innego. Prawdopodobnie zagości na stałe w menu, być może jako dodatek do ciasta, bo same lody nie były bardzo słodkie.

Mimo to wydaje mi się, że w Polsce czarny czosnek nie jest popularny.

– U nas to nadal świeży temat. Na szerszą skalę robi się go w Hiszpanii. Większość czarnego czosnku na rynku w Europie pochodzi właśnie stamtąd, natomiast oryginalnie czarny czosnek jest z Chin. Można oczywiście sprowadzać go z Azji do Polski, ale my baliśmy się, jak będzie z jakością. Zdarza się przecież u nas w sklepach świeży czosnek

chiński i wiadomo, że nie jest on zbyt smaczny. Dlatego naszą produkcję postanowiliśmy zrobić porządnie, z polskiego, ekologicznego czosnku. Uprawiamy go sami w Szczawnem, w Bieszczadach. Mamy także kilku sprawdzonych ekologicznych rolników z tego rejonu, od których dokupujemy. Teraz właśnie mamy nową, świeżutką partię czarnego czosnku odmiany Polski Harnaś – bardzo mocnej w smaku, bardzo trwałej i o świetnych właściwościach.

Lody z czosnkiem w jednej z lubelskich restauracji rozeszły się bardzo szybko.

Ludzie się interesują?

– W sezonie letnim mieliśmy mały przestój, bo nie mogliśmy kupić czosnku z certyfikatem ekologicznym, więc zainteresowanie było mniejsze. Natomiast nasza baza stałych klientów cały czas rośnie – ludzie są zaintrygowani, bo czytają o właściwościach zdrowotnych czarnego czosnku. W sieci jest sporo badań. My też chcemy się do nich dołączyć, więc zaczęliśmy współpracę z dr hab. Krystyną Winiarczyk z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Myślę, że w ciągu paru miesięcy wspólnie opublikujemy

badania nad wartościami odżywczymi naszego czosnku. Dobrze mieć takie rzeczy czarno na białym.

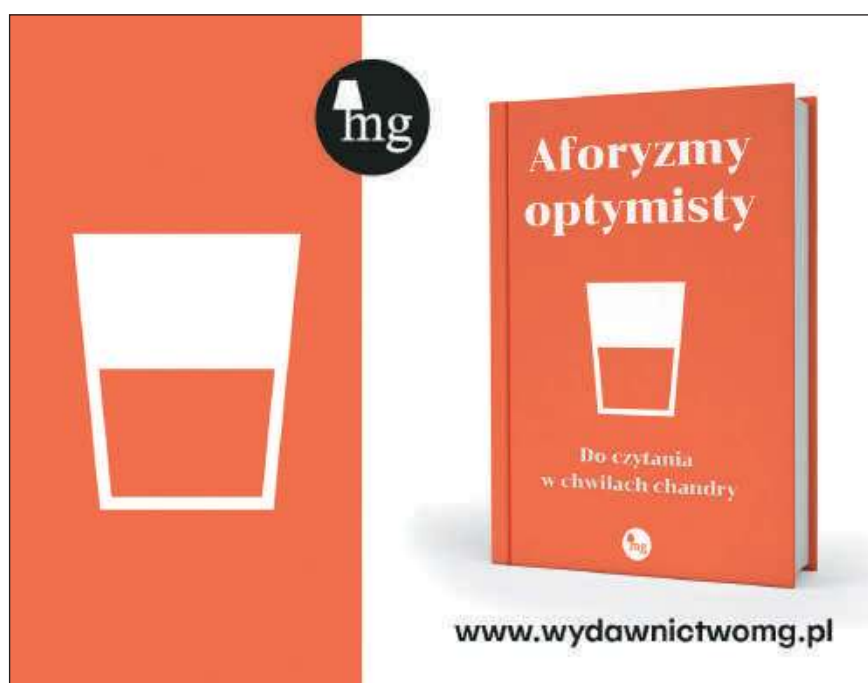
Jak szybko trzeba zjeść wasz czosnek?

– Najczęściej polecamy zjeść go w ciągu pół roku. Natomiast jeżeli przechowuje się go w oryginalnym opakowaniu, szczelnie zamkniętym, w chłodnym i ciemnym miejscu, to spokojnie nawet rok po wyjęciu z pieca taki czosnek nadal nadaje się do zjedzenia. My już przeprowadzaliśmy takie próby. Gdyby czarny czosnek leżał w zbyt ciepłym miejscu, to wysechłby i tyle – wtedy można by go sproszkować i zrobić sypaną przyprawę, co też mamy w planach. Niektórzy trzymają czosnek w lodówce, ale nie ma takiej potrzeby, można przechowywać go w szałce, o ile nie jest blisko źródła ciepła.

Dlaczego warto spróbować?

– Jeszcze parę lat temu ze względu na mój zawód, wyjazdy, koncerty i siedzenie przez to po nocach, miałem problemy z zatokami, często łapały mnie przeziębienia. Zrobiłem kilka zmian w swoim życiu, dodałem czarny czosnek i teraz czuję się dużo zdrowszy, znacznie mniej choruję. Myślę, że warto go kupić, spróbować, smak jest charakterystyczny, ale naprawdę wielu ludziom smakuje. A jak nie, to chociaż można wybrać się na lody do Lublina.

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl



Czy spełnią się marzenia o Katarze?

Chłodnym okiem o futbolowej kadrze



Paulo Sousa nie pomylił się, wysyłając na boisko w drugiej połowie meczu z Anglią 22-letniego skrzydłowego Kamila Jóźwiaka.

Maciej Polkowski

Tak to już jest, że kadencja każdego selekcjonera kadry narodowej stanowi oddzielny rozdział w futbolowej historii kraju. Od 21 stycznia br. szefem jest Portugalczyk Paulo Sousa. Pod jego czujnym okiem biało-czerwoni rozegrali 11 spotkań – po trzy wygrali i przegrali, a pięć zremisowali. Przed nimi jeszcze cztery grupowe mecze eliminacji mistrzostw świata, których wyniki zadecydują, czy wystąpimy w finałowym turnieju w Katarze. Ten, komu powierzono stworzenie zespołu najlepszych z najlepszych, podejmuje się szczególnego wyzwania. Jego robota przypomina puzzle – z różnorodnych elementów trzeba złożyć całość. Konstruowanie narodowej jedenastki można niekiedy spuentować fragmentem „Układanki” Wojciecha Młynarskiego: „Po co my tu główkujemy, wyteżamy się od nowa, po co dopasowujemy, jak się nie da dopasować?!”.

Sousa nie jest cudotwórcą

Zarzuca mu się, że wiele jego decyzji i działań jest niezrozumiałych. Mnie to nie przeszkadza, najważniejsze, żeby był skuteczny. Z dotychczasowych wypowiedzi selekcjonera wynika, że stara się przede wszystkim natchnąć zespół odwagą i pewnością siebie.

Przed konfrontacją z Anglią mówił o broniieniu możliwie daleko od własnego pola karnego. W tym taktycznym aspekcie można dostrzec postępek i oceniać go pozytywnie. Spoglądając na liczby – za jego kadencji nie straciliśmy jeszcze bramki po nieudanym wysokim pressingu, gdy przeciwnik budował atak na swojej połowie. Co więcej, po odbiorach na połowie przeciwnika

zdobywaliśmy bramki w inauguracyjnym meczu eliminacyjnym z Węgrami oraz z Anglią na wyjeździe i podczas towarzyskiego spotkania z Rosją. Raczej nie ma co się oszukiwać, że Polska wygra grupę eliminacyjną, więc wszystko, co pomoże poprawić naszą pozycję w walce o mundial w Katarze, jest dla Sousy istotne. Naszym celem jest drugie miejsce, a bramki zdobyte w eliminacjach mają znaczenie nie tylko w grupie, ale też przy ustalaniu rozstawienia drużyn w barażach.

Zważywszy na okoliczności podjęcia pracy z kadrą Polski, trudno było się spodziewać, że portugalski

osiągnięte dzięki żelaznej defensywie, czy ofensywnym fajerwerkom, to już dylemat do rozstrzygnięcia przez selekcjonera i jego sztab.

Na zakończenie wątku o szkoleniowcu garść wypowiedzi z internetowej opinii publicznej. „Szkoda, że wciąż nie można się doczekać dwóch-trzech meczów kadry Sousy we w miarę optymalnym składzie. Gość ma od startu jazdę po bandzie – od razu o punkty i zawsze drużyna przetrzebiona. A mimo to o tym nie gada i nie żali się – i za to też ma plusa. Życzę mu, żeby poukładał tę grę obronną – i będzie OK. Progres kadry pod wodzą Sousy

Paulo Sousa stara się przede wszystkim natchnąć zespół odwagą i pewnością siebie.

szkoleniowiec objawi się jako piłkarski cudotwórca. Nie zobaczyłem nowego pomysłu na kadrę, ale rozumiejąc sytuację i brak czasu, należało spokojnie czekać. Czasem to aktorzy są winni, że zagrali fatalny spektakl. Czasem winę ponosi reżyser, który zaangażował do grania takich, a nie innych wykonawców. Sousa nie miał szansy szybkiego wdrożenia tego, co przekazał piłkarzom w teorii. Znał zawodników tylko z nagrań wideo oraz konferencji online, nie widział ich na treningu. Był zmuszony wierzyć, iż gracze w swoich zagranicznych klubach tak perfekcyjnie się przygotowują, że będą w stanie realizować opracowaną taktykę.

W sztabie pierwszej reprezentacji łącznie z Sousą jest 12 osób. A jednak odczuwamy niedosyt kadrowy. Zastanawia brak chociaż jednego polskiego szkoleniowca w roli asystenta – to niewybaczalny mankament. Nieodzowna wydaje się także obecność psychologa – naprawdę miałby co robić.

Nie można odmówić Sousie, że tylko zdecydowanie mocniejsi rywale (Anglia podczas meczu wyjazdowego oraz Hiszpania podczas Euro 2020) górowali nad nami w jakości stworzonych sytuacji. Warto też odnotować postęp w meczach z Anglią. Trzeba oddać Portugalczykowi, że prowadzona przez niego drużyna strzelała bramki w każdym spotkaniu. Najważniejsze są regularne zwycięstwa, a czy zostaną

widać gołym okiem. Trener ma niezły pomysł na grę naszej drużyny i wygląda na to, że wyniki przyjdą z czasem. Pytanie tylko, czy włodarzom PZPN wystarczy cierpliwości, np. w przypadku braku awansu na MŚ. Widać coraz więcej ładu i składu w grze reprezentacji Sousy. Poza tym gość jest naprawdę kumaty i ma autorytet wśród zawodników. Oni widzą, że jest na poziomie trenerów, jakich mają w klubach. Ćwierkacze, dajcie pracować selekcjonerowi, powstrzymajcie się od swoich żalosnych tweetów, bo niktogo to nie obchodzi. Już nieraz było tak, że trener (czy to Nawalka, czy Beenhakker) wyciągał gościa spod ziemi, a ten zaczynał grać i coś znaczyć w reprezentacji. Sousa pokazał meczami z Anglią czy Hiszpanią, że ta drużyna potrafi grać. Trzeba tylko selekcjonerowi dać trochę spokoju, on wie, co robi”.

Odmieniony kapitan Lewandowski

– Cieszymy się, że mamy Roberta Lewandowskiego. Nie ma tak, że przychodzi nowy prezes PZPN i nagle znajduje się czterech nowych Lewandowskich – stwierdził ów nowy prezes PZPN Cezary Kulesza.

Z każdym rokiem Lewandowski jest piłkarzem bardziej kompletnym, wielowymiarowym, świadomym, doświadczonym, ale w kadrowej odmianie trudno nie zauważyć efektów zmiany selekcjonera.

Niby o tym za głośno nie mówiono, ale między Lewym a Brzęczkiem nie było tzw. chemii. Wszystko sprowadzało się do tego, żeby naszemu wyborowemu snajperowi chciało się chcieć. Wcześniej znerwicowany i sfrustrowany brakiem goli i nagle strzelający je, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, u Sousy, nawet na smutnym dla nas Euro, nawet z takimi rywalami jak Hiszpania czy Szwecja, a do tego czarujący techniką i ciągiem na bramkę jak w meczu z Albanią.

Choć za nami tylko 11 spotkań pod wodzą Sousy, to w liczbach już widać, że Lewandowski odżył w tej kadrze. Snajper Bayernu Monachium u żadnego poprzedniego selekcjonera tak często nie wpisywał się na listę strzelców. Dość powiedzieć, że dziewięć goli Lewandowskiego przez pół roku w kadrze Sousy to więcej, niż nasz napastnik zanotował podczas dwuletniej współpracy z Brzęczkiem. Wtedy dla kadry zdobył tylko 22% strzelanych przez nas goli. Te dziewięć z 22 bramek kadry Sousy czyni Lewego zdobywcą nieco ponad 40% goli biało-czerwonych. Takich statystyk nie miał nawet za najlepszych lat w erze Nawalki (37/99 goli kadry).

Niedawno selekcjoner Sousa wyznał z brutalną szczerością: „Tutaj jest tylko Robert Lewandowski”. Podczas minionego wrześniowego trójmeczku kapitan dwoił się i troił – rzeczywiście wyrastał ponad wszystkich kadrowiczów. Lewandowski to światowy top! Typowa dziewiątka – silny, umiemy schodzić, by tworzyć przewagę, niesamowity egzekutor, profesjonalista, zawsze ciężko pracujący dla zespołu, potrafi grać kombinacyjnie. Aż chciałoby się powiedzieć – Lewy, graj tak wiecznie!

Drużyna, jaka jest, każdy widzi

Naszą kadrę usiłujemy porównać z czołowymi europejskimi reprezentacjami. Taki ambitny zamiar rodzi wiele pytań. Czy mamy lepszych zawodników niż inne kraje na danych pozycjach? Jedynym pewniakiem jest Lewandowski, a inni, chociażby Piotr Zieliński, podobno dysponują niepoślednim potencjałem, ale w reprezentacji jakoś trudno to zauważyć. Czym nadrabiamy braki? W prestiżowych meczach



Przez pół roku w kadrze Sousa Lewandowski strzelił więcej goli niż przez dwa lata w kadrze Jerzego Brzęczka.

► zaangażowaniem i agresywnością na pograniczu fauli. Czy w spotkaniach stać nas na dominowanie? Niestety, nie umiemy utrzymywać się przy piłce i kontrolować meczu. Wynika to z mankamentów techniczno-taktycznych. Z naciskiem na niedoskonałą technikę: gra jeden na jednego zarówno w ataku, jak i w obronie, utrzymanie się przy piłce pod presją, podanie i przyjęcie piłki, gra kombinacyjna, rozumienie gry. Plusem jest więcej niż przyzwyczajenie do skuteczności, chociaż paradoksalnie nasza linia obronna raczej słabo potrafi kreować atak. Mamy duże problemy z wyprawianiem ataku od własnej bramki. Na co możemy liczyć? Jesteśmy średniakiem w Europie.

I naprawdę jest co poprawiać, czego przykładem wyjazdowe spotkanie w San Marino. Jeśli Polska w ostatnich meczach wchodziła w drugą połowę lepiej, niż kończyła pierwszą, to tym razem sytuacja się odmieniła. Biało-czerwoni przeszli do historii jako druga drużyna w tym roku (obok Kosowa) i trzecia w ciągu ostatnich trzech lat (obok Kazachstanu), której San Marino zdołało

strzelić gola. Niedaleko własnego pola karnego Piątkowski zagrywał do Helika tak, jak nie zagrywali nawet amatorzy z San Marino. Wyłożył piłkę rywalowi, co ten skutecznie wykorzystał. Jeśli ktoś z polskich kibiców miał nadzieję, że Polska wreszcie nie straci gola w spotkaniu z jedną z najsłabszych drużyn świata, to bardzo się zawiódł.

Warto porównać wiek zawodników tworzących tzw. trzon zespołu w finałach mistrzostw świata w 1974 r. i ewentualnie w 2022 r. Bramkarze: Tomaszewski – 26, Szczęsny – 32; stoperzy: Gorgoń – 24, Glik – 34 i Żmuda – 20,

Bednarek – 26; pomocnicy: Deyna – 26, Krychowiak – 32; napastnicy: Lato – 24, Lewandowski – 34. Jest nad czym się zastanawiać. Ci, którzy występowali w Niemczech przed prawie półwieczem, dopiero z przystępem rozpoczynali kariery, a obecni, jeżeli zagrają w Katarze, to na jej zakończenie. Jeszcze całkiem niedawno nie bolała nas od przybytku głowa, jeśli chodzi o bramkarzy. Teraz, po rezygnacji Łukasza Fabiańskiego

(oficjalne pożegnanie 9 października podczas spotkania z San Marino), mamy tylko Wojciecha Szczęsnego, ale jemu – zwłaszcza ostatnio – zdarzały się poważne wpadki. Przy obecnych trendach taktycznych – trzech albo pięciu nominalnych defensorów – kluczowymi postaciami są stoperzy. Parę Kamil Glik-Jan Bednarek trudno nazwać monolitem. Zasłużony, ceniony i szanowany Kamil już nie zachwyca ani szybkością, ani zwrotnością. Cóż, PESEL coraz częściej daje znać o sobie. W pomocy Grzegorz Krychowiak stał się nieprzewidywalny. Gra w kratkę, co gorsza ma coraz częstsze problemy z trzymaniem nerwów na wodzy. Kolekcjonuje kartki zarówno w klubie, jak i w reprezentacji. Wreszcie w ataku nasz numer jeden – Robert Lewandowski. Trzeba pogodzić się z tym, że zbliża się do kresu nietuzinkowej (sportowo-marketingowej) kariery. Ponad miarę spełniony, jeśli chodzi o dokonania klubowe, i z niedosytem reprezentacyjnym. Liczba występów i rekord bramkowy nie wypełnią braku sukcesów w biało-czerwonej jedenastce na najważniejszych futbolowych imprezach.

W październiku Polacy zagrają z San Marino i Albanią, a w listopadzie zmierzą się z Andorą i Węgrami. Aktualnie nasi reprezentanci zajmują w swojej grupie trzecie miejsce i cały czas zachowują szanse na to, aby w przyszłym roku zagrać w finałowym turnieju mistrzostw świata. Najprawdopodobniej reprezentacja Polski – jeśli dobrze pójdzie – zajmie najwyżej drugie miejsce w grupie. Baraże do mundialu są dwustopniowe i bardzo trudne. Trzeba w pojedynczych meczach (bez rewanżów) pokonać dwóch rywali, przy czym

Widać, że Lewandowski odżył w tej kadrze.

może się zdarzyć, że oba spotkania trzeba będzie zagrać na wyjeździe. A rywalami – w najgorszym razie – mogą być Holandia, Chorwacja czy Portugalia. Co istotne, te baraże są rozgrywane dopiero pod koniec marca 2022 r. Oby Paulo Sousa, jego współpracownicy oraz miliony polskich kibiców mieli o czym rozmyślać podczas długich zimowych wieczorów.

Maciej Polkowski

Chiny i świat sinologów

Jak ważne są Chiny, Ameryka wie przynajmniej od początków prezydentury Obamy, który ogłosił to oficjalnie. Nieoficjalnie wiedziała to już od czasów Kissingera. My wiedzieliśmy jeszcze wcześniej, bo ChRL w 1956 r. oficjalnie, głosem swojego premiera, sprzeciwiała się temu, by Związek Radziecki interweniował zbrojnie w Warszawie.

W polskim MSZ na Chiny zaczęto zwracać uwagę pod koniec ostatniego dziesięciolecia minionego wieku. Dobrym początkiem była wizyta prezydenta Kwaśniewskiego w 1997 r. Potem nasze MSZ poszło za ciosem, kiedy w 1999 r., na przełomie rządów Geremka i Bartoszewskiego, dyrektorem Departamentu Azji i Pacyfiku został Jacek Bylica. 36-letni sinolog, absolwent MGIMO. To była zapowiedź zmiany! Właśnie on zaczął dbać o to, by przynajmniej jeden z ubiegających się o aplikację kandydatów do MSZ był sinologiem. Potem Bylica był dyrektorem innych departamentów, ambasadorem przy OBWE w Wiedniu. Od kilkunastu lat pracuje w NATO i Europejskiej Służbie Działalności Zewnętrznych.

Nestorem polskich sinologów jest Ksawery Burski, absolwent Uniwersytetu w Pekinie jeszcze z lat 50. Najpierw był ambasadorem w Indonezji, potem w ChRL. Najwybitniejszym polskim i nadal bardzo aktywnym znawcą Chin jest naszym zdaniem prof. Bogdan Góralczyk. Jego książkę „Chiński Feniks” polecamy wszystkim, którzy interesują się stosunkami międzynarodowymi. Brat profesora, Zdzisław, również sinolog, był w drugiej połowie lat 90. ambasadorem w Pekinie. Dodajmy, bardzo tam popularnym. Gospodarze przyznali mu nawet tytuł Honorowego Obywatela Pekinu. Potencjalnym następcą Bogdana Góralczyka może być dr hab. Józef Pawłowski, obecnie młody prodziekan

Wydziału Orientalistycznego UW, mający również doświadczenie dyplomatyczne. W latach 2010-2014 pracował w Pekinie, z sukcesami zarówno w wydziale politycznym, jak i konsularnym.

Niestety, obecnie na kierowniczych stanowiskach w Departamencie Azji i Pacyfiku nie ma nikogo, kto znałby chiński. Ostatni był wicedyrektor (ds. Chin i Azji Wschodniej) Konrad Maziarz, absolwent stosunków międzynarodowych w Szanghaju, z chińskim językiem wykładowym. Jego miejsce półtora roku temu zajął specjalista od basenu Morza Bałtyckiego, były zastępca ambasadora w jednym z państw bałtyckich, bodajże w Estonii, Tomasz Kobzdej.

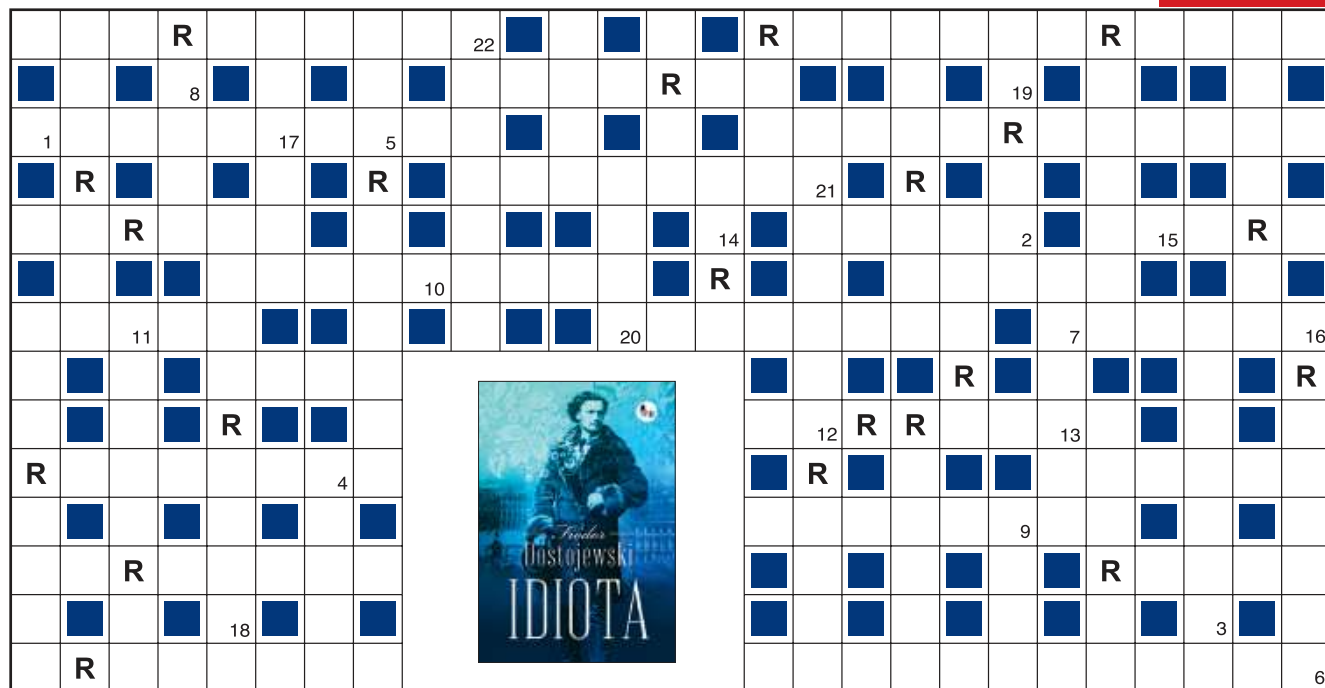
Dwa tygodnie temu nową dyrektorką DAP została Barbara Szymanowska. Jej poprzednik, Witold Sobków, został ponownie dyrektorem politycznym MSZ. Pani Szymanowska jest urzędniczką służby cywilnej, przeszła wszystkie szczeble dyplomatyczne, aż do ambasadorowania w Hanoi. Ostatnio koordynowała pomoc rozwojową dla Azji. Jest też bardzo dobrze wspomnianą z czasu pracy w Departamencie Współpracy Rozwojowej. Ale teraz przyszło jej cięższą nałożyć zbroję... Mamy więc pytanie: Pani dyrektorko, czy rzeczywiście sinolodzy muszą jeździć do Japonii? Jest już tam jeden, na stanowisku ambasadora, a wyładował drugi. I choć jest w MSZ ponad 10 lat, to w Chinach jeszcze nie pracował, mimo że tych placówek mamy tam sporo, bo w Pekinie, Chengdu, Hongkongu, Kantonie czy Szanghaju... Zaliczył natomiast placówkę w basenie Morza Bałtyckiego!

Swoją drogą zadrwiła z nas historia. W 1956 r. potrzebowaliśmy Czou En-laja, by z Warszawy nie dać zrobić Budapesztu. Od 2015 r. sami go sobie urządzamy.

Attaché



Chińscy astronauta Nie Haisheng, Liu Boming i Tang Hongbo przed kapsułą, którą wrócili na Ziemię po misji Shenzhou 12, mającej na celu zmontowanie chińskiej stacji kosmicznej. 17 września 2021 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- udziałowiec spółki
- ...z różkami – o urwisie
- ortodontyczny albo kierowniczy, partyjny
- odezwa, wezwanie
- kreślą je ptaki na niebie (gdy patrzy romantyk)
- mięso na pilaw lub kofty
- brzęczy w portfelu
- długie, obszerne, arabskie okrycie z kapturem

- prawość, przymiot lub gruntowana niewieścią
- ...świata, czyli Tybet
- drobna, podrzędna rola
- na okulary, telefon, też na papierosy
- owłosiony brat Jakuba
- pryska z paleniska
- wydaje wonny zapach przy spalaniu

- skalowanie, wzorcowanie przyrządów
- chętnie używa makinetki
- jest nią w kafejce filmowa Amelia
- odbitka dokumentu
- wierni świeccy
- ...dwurożna, nazywana maciejką
- potencjał, predyspozycje, szanse
- stolica Kenii
- stanowi podstawową formę wypowiedzi w epice
- spłot włókien przewodzących bodźce
- bajkowa czapka

- rozdyma je rumak
- ciężarek na wadze szalkowej
- jak ...nocny przepada dziewczyna w „Świteziance”
- kamforowy, różany, sandałowy
- narzędzie walki, broń
- potocznie o biurze odwiedzanych przez bezrobotnych
- „Ptasie...” Tuwima
- ryby, żaby i... raz wpadły na pomysł taki
- pochyla wśród maszyn prostych
- mazowiecka rozpostarta szeroko u Broniewskiego
- ekwiwalent
- dywan bywa weń zwijany

- ściek uliczny
- można w niej się zamknąć jak ślimak
- cecha rycerskiego postępowania
- wyśmiewanie się z kogoś, drwienie
- lniana lub bawełniana do naczyń
- papieska korona używana do 1965 r.
- komplikacja, przeszkoda, przeciwność
- w jego skład wchodzi stateczniki poziome i pionowe
- wolna posada
- Walery z felietonów Wiecha
- grzeczność i elegancja jak rezydencja królewska

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1032”. Do rozlosowania książki „Idiota” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 października 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1029” z nr. 37: Każda nowina się starzeje.

Nagrody otrzymują: Stefania Gąsiorowska z Leska, Danuta Morawska z Gorzowa Wielkopolskiego, Bogumił Zalewski z Konstancina-Jeziorny.

PENETRACJE

MONDE
diplomatique

MARTIN SCORSESE,
REŻYSER

W centrum znajdował się jeden reżyser, którego wszyscy znali, jeden artysta, którego imię stało się synonimem kina i tego, do czego kino jest zdolne. Było to nazwisko, które natychmiast przywoływało określony styl, określoną postawę wobec świata. W pewnym sensie stało się utartym zwrotem. Powiedzmy, że chcesz opisać surrealistyczną atmosferę na przyjęciu, na ślubie lub pogrzebie albo na politycznym zebraniu, albo, jeśli już o to chodzi, szaleństwo całej planety – wystarczy, że powiesz „jak u Felliniego”, i każdy natychmiast zrozumie, co masz na myśli.

TYGODNIK
ANGORA

MAREK PALCZEWSKI,
MEDIOZNAWCA

Według prognoz świat czeka fala największej w historii migracji setek milionów ludzi. A według GUS do 2050 r. na polskim rynku zabraknie 10 mln pracowników! Nie czas zatem budować zasieki z drutu kolczastego. Lecz czas już myśleć, jak zareagować wspólnie z Unią na to wyzwanie cywilizacyjne, które na pewno nas nie ominie. W 2050 r. spora część obecnego twardego elektoratu PiS już nie zagłosuje na żadną partię. Co zostawią w spadku swoim dzieciom i wnukom?

charaktery
magazyn psychologiczny

**PROF. TOMASZ MARU-
SZEWSKI, PSYCHOLOG**

Holenderski psycholog Douwe Draaisma w tytule swojej książki zadał pytanie: Dlaczego czas płynie szybciej, kiedy się starzejemy? Zwraca on uwagę na pewne paradoksy związane ze spostrzeganiem czasu. Siedemdziesięciolatce ostatnie pięć lat minęło jak z bicza strzelił. Natomiast kiedy pomyśli on o ostatnich pięciu latach dwudziestolatka, odnosi wrażenie, że trwały one znacznie dłużej. A przecież obiektywnie godziny, dni, miesiące trwają tak samo długo.

zwierciadło

GRAŻYNA TORBICKA,
DZIENNIKARKA FIL-
MOWA I KRYTYCZKA

Zdarzało się, że mama zabierała mnie na dyżury do telewizji. Strasznie się tam nudziłam. Mama robiła zapowiedź, potem puszczano program, a że wszystko było na żywo, to się siedziało i czekało, aż program się skończy i będzie kolejna zapowiedź. Zawsze kiedy szłam z mamą ulicą, a ona uśmiechała się do przechodniów, pytałam zdziwiona, czy ich wszystkich zna. Mówiła: „Nie, ale oni znają mnie. W końcu codziennie jestem w ich domach”. Było powszechnie wiadomo, że kiedy Loska zapowiada w telewizji jako spikerka mecz reprezentacji, to zawsze wygrywaliśmy. Nic dziwnego, że mama była ulubienicą Kazimierza Górskiego i całego świata piłkarskiego. Gdyby teraz sobie to przypomniano, może to Euro skończyłoby się dla nas inaczej.

Aby język giętki...

MAJA OSTASZEWSKA O KOŚCIELE

Na granicy z Białorusią nie powinno stać polskie wojsko, ale polski Episkopat. Jezus też nie miał jasnej karnacji skóry.

RAFAŁ WOŚ O LEWICY

Sejmowe ugrupowanie o nazwie Lewica istnieje tylko z nazwy. Ten pomysł po prostu nie wypalił.

MICHAŁ RUSINEK

O SPOTKANIACH ONLINE

Zmieniła się nasza komunikacja. Kontakt nie zaczynamy od „Dzień dobry”, tylko od „Czy mnie widać?” i „Czy mnie słychać?”.

MAREK BELKA O ANDRZEJU DUDZIE

Człowiek bez właściwości. Słaby. Ma bardzo skrajne poglądy.

KINGA PREIS O KINDZE DĘBSKIEJ

Na pewno nie jest to rozmemłana i rozhisteryzowana kobieta, która nie wie, czego chce. Spiera się z aktorami, ale też bardzo im pomaga.

ANDRZEJ SAPKOWSKI O SOBIE

Nie mam najmniejszego zamiaru ograniczać się ani próbować dopasowywać do szerszej widowni.

SUSANA OSORIO-MROŻEK

O MĘŻU SŁAWOMIRZE

Uważał, że zawsze mam rację, że jestem najbardziej interesującą kobietą na świecie. I tak przez 25 lat.

MARIA PESZEK

O OJCU JANIE PESZKU

Mając 78 lat, kiedy był bardzo chory, sześć godzin dziennie uczył się tekstu. Pokonał chorobę, pokonał strach, mózg nietknięty.

CEZARY ŻAK O POCZĄTKACH

Na romanistykę mnie nie przyjęli. Bałem się wojska, poszedłem więc do zawodówki: naprawa sprzętu gospodarstwa domowego.

ANNA DYMNA O PORANKACH

Rano budzę się z kotem na głowie, mruczy głośno, a ja go uciszam: śpij jeszcze, śpij.

MAGDA MOŁEK O ZŁOŚCI

Złość pomaga stawiać granice. Póki się nie wściekniemy, nic się nie zmieni.



Mała Peruwianka z dystryktu Pichari w regionie Ayacucho wśród liści koki.

Czy ta krowa, proszę pana, była dobrze wychowana?

Nauczenie krów korzystania z toalet może znacząco zmniejszyć wpływ hodowli na środowisko – przekonują naukowcy z Niemiec i Nowej Zelandii. – Jeśli wychwycimy 10 lub 20% moczu, znacznie ograniczymy emisję gazów cieplarnianych i wymywanie z gleby azotu – tłumaczy prof. Douglas Elliffe z Uniwersytetu w Auckland. Badacze testowali swój pomysł, zachęcając 16 cieląt do załatwiania wiadomej potrzeby w kojcu latrynowym – w zamian za oczekiwane zachowanie otrzymywały one paszę. To musi się udać!

Moda, by mieć coś z głową

Trwa globalna rywalizacja raperów w kategorii „oryginalne upiększenia głowy, które jednocześnie pozwalają pochwalić się kasą”. Do stawki, w której mocną pozycję mają zwłaszcza Lil Uzi Vert (wstawił sobie w czoło diament) oraz Post Malone (sprawił sobie licówki wysadzone klejnotami), dołączył Dan Sur. Artysta zastąpił włosy złotymi łańcuchami, które zostały mu zainstalowane pod skórą czaszki za pomocą haczyków. Wyjaśnił, że wszyscy teraz farbują włosy, a on chciał zrobić coś innego. „Złote, a skromne”, pochwaliłby jego wybór pewien filmowy arcybiskup!

Jak trwoga, to do mamra

W Australii uciekinier z zakładu karnego po 29 latach nieoczekiwanie zadeklarował chęć powrotu za kraty. W 1992 r. Darko Desic, odsiadujący karę 13 miesięcy



więzienia za uprawę konopi indyjskich, utorował sobie drogę na wolność m.in. piłą do metalu. Zbieg, który mimo intensywnych wysiłków policji pozostał nieuchwytny, niedawno zgłosił się na policję. Okazuje się, że życie obecnie już 64-latka gwałtownie się pogorszyło po wybuchu pandemii. Gdy stracił pracę i został eksmitowany, powrót na prycze stał się atrakcyjną alternatywą dla życia na ulicy. Mówiąc po bajkowo-mickiewiczowsku: facet uznał, że „w niewoli przysmaki” nie są wcale takie złe.

Z czym do skupu, gdy brak łupu?

Do trzech mężczyzn, którzy w gminie Trzydnik Duży dopuścili się kradzieży szyn kolejowych, karma wróciła w bolesny sposób. – Mieli podwójnego pecha, bo nie dość, że wpadli w ręce stróżów prawa, to w dodatku ktoś ich okradł z łupów, które sami skradli. Kiedy schowali szyny w jednej z kryjówek, kilka dni przed wizytą mundurowych „okradli” ich inni złodzieje – poinformował Paweł Cieliczko, oficer prasowy lubelskiej policji. Złoczyńcom życzymy zrozumienia aluzji od losu i powrotu na właściwe tory.

Šovšić strzela, klub smycze nosi

Chorwacki piłkarz Damir Šovšić oczekuje od pracodawców... wyprowadzania swojego psa. Sandecja Nowy Sącz, w której aktualnie występuje 31-letni pomocnik, przystała na taki zapis w kontrakcie i zapewniła Huntowi odpowiednią opiekę. Co ciekawe, zawodnik już kiedyś grał we wspomnianym klubie, w sezonie 2017/2018, i wówczas psina również mogła liczyć na opiekę jego





Lew Arco w gdańskim zoo i orangutan w Parku Narodowym Tanjung Puting na wyspie Borneo.

pracownika. – Jeśli masz niski budżet, a chcesz powalczyć na rynku transferowym, musisz dać piłkarzowi coś, czego nie dadzą inni – skomentował Arkadiusz Aleksander, do niedawna prezes Sandecji. Ciekawe, na co w mieście nad Dunajcem mogą liczyć futboliści akwaryści.

Globus do aktualizacji

Rdzenni mieszkańcy Nowej Zelandii chcą, by zmieniła ona nazwę na Aotearoa. „Maori już dawno powinien odzyskać należny mu status głównego i oficjalnego języka tego kraju. Jesteśmy krajem polinezyjskim”, czytamy w petycji Partii Maorysów, która chce, by jej postulat spełniono do 2026 r. Co więcej, ugrupowanie domaga się odpowiedniego przemianowania miast i mniejszych miejscowości. Bo sama zmiana nazwy państwa to za mało...

Frykasy dla smutasów

Estoński raper Tommy Cash zaproponował sieci McDonald's, by włączyła do oferty smutną wersję Szczęśliwego Posiłku, czyli słynnego zestawu dla dzieci. Na jego profilu na Instagramie pojawiła się konkretna wizja depresyjnego młodszego brata Happy Meala, z rybnym burgerem z czarnym chlebem, ogórkami zamiast frytek i, jak się wydaje, wódką w rolach głównych. Co ważne, Sad Meal miałby być serwowany w czarnych opakowaniach z odwróconym uśmiechem – wówczas do pełni nieszczęścia brakowałoby już chyba tylko salmonelli.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski **e-mail:** p.ciszewski@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

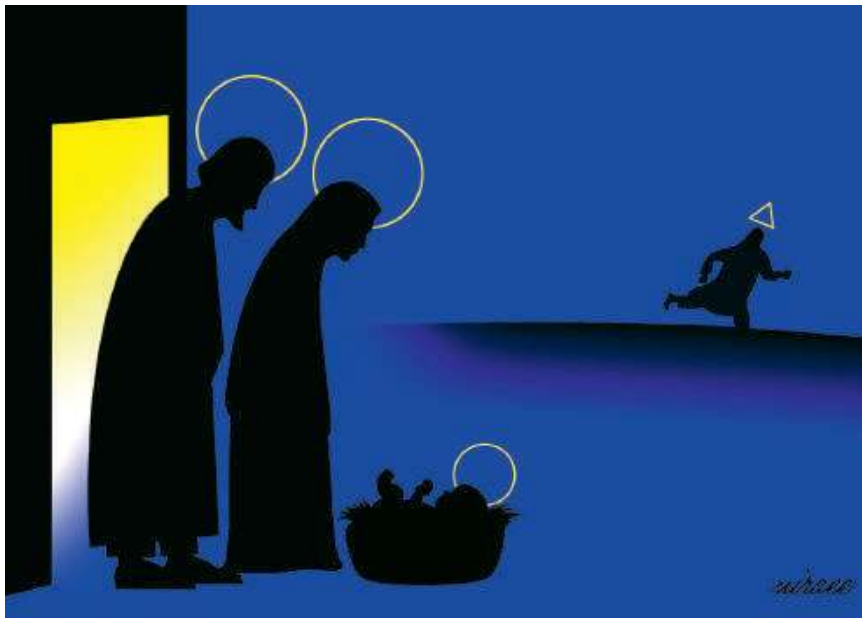
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Grand Prix – Ali Miraei (Iran), Stepchild.



I Nagroda, złoty medal, dział ŻART I SATYRA – Marek Szymańczuk (Polska), Czarne chmury nad Rzeczpospolitą.

patronat **PRZEGLĄDU**

SATYRYKON

– LEGNICA 2021



II Nagroda, srebrny medal, dział ŻART I SATYRA – Bambang Sulistyo (Indonezja), Temperature check.



Nagroda dyrektora Muzeum Karykatury w Warszawie – Max Skorwider (Polska), Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina.

Satyrykon to konkurs otwarty dla rysowników, grafików, malarzy, rzeźbiarzy, plakacistów i fotografików, organizowany przez Legnickie Centrum Kultury i Fundację Kulturalno-Społeczną Satyrykon. Warszawska prezentacja 44. edycji pozwala widzom przekonać się, jak te same zjawiska i problemy odczytywane są przez artystów z wielu krajów, z różnych perspektyw. W kategorii ŻART I SATYRA pojawiają się liczne odniesienia do obecnej sytuacji na świecie, w tym pandemicznych ograniczeń sanitarnych. Tegorocznym tematem wiodącym jest zaś RODZINA, i to w kontekście nie tylko relacji codziennych, ale również aktualnych problemów i zjawisk społecznych.

**Muzeum Karykatury
im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Koźnia 11
do 31 października**

SARIANI

CYKL WYDARZEŃ w Sauna0Studio

1.

TRANS, KULTURA, PRZEPŁYW
ŚRODA, 29.09.2021, GODZ. 18

2.

SAUNA, ODPLYW, PRZYPŁYW
CZWARTEK 28.10.2021, GODZ. 18

3.

WARSZTAT Z MUZYKI ELEKTRONICZNEJ
ŚRODA, 24.11.2021, GODZ. 18

4.

PANEL DYSKUSYJNY
PIĄTEK 26.11.2021, GODZ. 19

5.

JERZY MACZYŃSKI.
JERRY & THE PELICAN SYSTEM.
KONCERT
ŚRODA, 1.12.2021, GODZ. 19



XL TEATR

SEZON 21/22 DLA ZAKOCHANYCH W DOZNANIACH

MADONNY I ŁADACZNICE,
RANDKA W TEATRZE,
OPOWIEŚCI Z DRESZCZYKIEM,
SCENY Z ŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO,
ZA SZEKSPIRA TO BYŁA...,
PRZYPADKI WARSZAWSKIEGO AMANTA

KUP BILET NA:
WWW.TEATRXL.COM

TEATR XL - TU MI WOLNO
PLAC HALLERA 5 LOK 10
03-464 WARSZAWA

PARTNERZY MEDIALNI



PARTNER

